

Elizabeth Rolls

Kobiece sztuczki

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jack Hamilton spoglądał w głąb obszernej sypialni. Wzrok miał utkwiony w plecach wychodzącego lekarza. Do niedawna uważał zabijanie posłańca zwiastującym złą nowinę za reakcją prostactwa i haniebną, ale teraz zrozumiał, jak wielki pokusę bywa ona dla pechowców w godzinie próby.

Miesiąc! Cholera jasna! Cały miesiąc! A tymczasem sezon polowań dobiegnie końca. Czym się zajmiesz przez te wszystkie dni? Gra w szachy? Siedzenie w stajni i patrzenie bezradnie na przynajmniej kilka koni?

Przed wszystkim powinien był uważać, aby Ognik się nie potknął i nie upadł. Pochwycił współczujące spojrzenie lokaja Finchama i po cichu zaklął paskudnie, zirytowany własnym bezmyślnością. Marc upiecze go na wolnym ogniu, gdy usłyszy o wypadku. Jack zastanawiał się przez chwilę, czy informować przyjaciela, co się stało. Po namyśle uznał, że nie warto kłamać. Tylko tego brakowało, aby hrabia Rutherford w środku zimy jechał taki kawał drogi do Leicestershire jedynie po to, by usłyszeć, że pan domu nie może polować.

Jack pocieszał się myślą, że jeśli napisze, zostanie przez Marca skarcony na piśmie, a wtedy może po prostu nie czytać odpowiedzi.

Niewiele myśląc, sięgnął po szklaneczkę brandy i zaklął głośno, ponieważ złamany obojczyk dał o sobie znać.

- Panie Hamilton...

Lekarz stał w drzwiach i uśmiechał się niepewnie.

- Warto, aby nosił pan rękawicę na temblaku, dopóki ktoś się nie zrobie.

- Proszę? - Jack nie wierzył własnym uszom. - Na temblaku?

- Wystarczy trójcietna chusta, aby podtrzymała ramiona - wyjął skwapliwie doktor Wilberforce. - Trzeba złożyć ją na pół, a końcówki związać na karku i...

- Nie jestem głupkiem! Wiem, jak zrobić temblak, do jasnej cholery!

- Nie w tym, sir.

Pojednawczy ton lekarza nie przekonał Jacka, który postanowił nie zwracać uwagi na zduszony chichot ubawionego tym wymianami zdań Finchama. Lokaj zachował odrobinę przyzwoitości i uśmiechnął się kaszle.

- Problem w tym, że danielowi pańskiemu pokroju, silni i pełni wigoru, szybko zapominają o doznanych urazach i forsują ramiona -

tłumaczył cierpliwie lekarz. - Temblak przypomina, e trzeba je oszcz dza .

- B d to sobie u wiadamał, ilekro spojrz na moje konie i psy, które zamiast polowa , z nudów dostan szału - burkn ł Jack.

- Rozumiem, sir. - Lekarz u miechn ł si lekko. -Ogromnie mi przykro, e musi pan korzysta z moich usług.

- Przykro panu? Nie wiem... Aha! - Jack zachichotał mimo woli. - Jasne. Przepraszam, Wilberforce. Sam jestem sobie winny. Dzi ki za pomoc. Pozdrowienia dla pa skiej ony. Słyszałem, e spotka was niedługo wielka rado .

-To prawda, sir. - Lekarz, który niedawno si o enił, przytakn ł z u miechem. - Na mnie ju czas, bo Alice zapowiedziała, e b dzie czeka z kolacj . Wolałbym, eby tego nie robiła, poniewa czasami pó no wracam do domu, ale ona chce, eby my razem siadali do stołu. Dobranoc. Prosz by dobrej my li. Nie jest tak le. Mógł pan skr ci kark.

Wyraz niedowierzania na twarzy Jacka Hamiltona i pełne jawnego oburzenia prychni cie wymownie wiadczyły, e w opinii chorego złamany obojczyk to porównywalne nieszcz cie. -

Lekarz przyjaznym gestem uniósł dło , u miechn ł si na po egnanie i wyszedł. Jack ostro nie si gn ł po szklaneczk brandy i upił spory łyk. Zacny trunek powinien da ukojenie, ale tak si nie stało.

Bolała go głowa, dokuczala r ka, a ycie wydawało si pozbawione sensu. Zirytowany nagłym przypiływem melancholii wstał, przeklinaj c złamany obojczyk oraz rami , paskudnie zwichni te i przed chwil nastawione przez lekarza. Poruszył si nazbyt energicznie, wi c natychmiast poczuł ból.

- Czy ja nie pan poło y si do łó ka? - zapytał Fincham, podnosz c z podłogi surdut do konnej jazdy oraz niedbale rzucon koszul .

- Do łó ka? - Jack wybałuszył na niego oczy. - O tej porze? Słyszałe , co powiedział lekarz, Fincham? Nie skr ciłem karku, złamałem tylko obojczyk. - Si gn ł po surdut trzymany przez lokaja, który tym razem miał si otwarcie.

- Racja, sir. Gdyby to si ja nie panu przytrafiło, to bym nie darował i kijem zap dziłbym ja nie pana do łó ka. Chwileczk . Zaraz pomog . - Nie zwa aj c na protesty chlebowdawcy, asystował mu przy ubieraniu.

Jack miał przynajmniej jeden powód do zadowolenia: lubił lu ne surduty, wi c teraz łatwo mu b dzie zdejmowa je bez niczyjej pomocy.

Nagle poczuł ból i zakłócił cicho.

- Dziękuję - powiedział do lokaja. - Zejdź ci z oczu. Bądź w bibliotece.

Trzeba napisać list do Marca. Na pewno oboje z Meg ucieszą się, a może zostaną w Alston Court i piastować dwumiesięcznego synka. Zapewne podczas chrzcina przyjął zaproszenie, bo zrobiło im się przyjacielu samotnika.

Zabrał brandy i wyszedł z sypialni. Biedny stary Jack. Sam jak palec w Leicestershire. Tak przypuszczalnie myśleli tamci dwoje. I słusznie.

Na miłość boską! Skąd te ponure myśli? Co go napadło, do diabła? Chyba uderzył się w głowę mocniej, niż się dzielił. Marc i Meg nie odwiedzają go z litością. Przyjął zaproszenie, ponieważ się z nim zaprzyjaźnili. Marcus Langley, hrabia Rutherford, był jego najlepszym druhem. Ale z Meg tego nie zmienił.

Jack usiadł przy zagraconym biurku, niezdarnie przysunął bliżej papier i pióro. Było tu pełno wycieków pod nosem, sięgnął po nożyk, aby je zaostrzył. Zaczynał w te słowa:

„Drogi Marcu!

Z pewno ci rozbawi ci ta wiadomość, ale musisz ostrzec, e...”

Skończył list i złożył kartkę. Marc był szczęśliwym ojcem, bo miał on i syna. To największa radość, jaka może spotkać człowieka, jeżeli nie liczy kolejnych synów i córek. Tamtym dwojgu również marzyło się więcej dzieci.

Zadrzał lekko i z ponurą miną spojrzął w ogień. Nie wiadomo dlaczego biblioteka, która zawsze wydawała mu się bardzo przytulna, teraz sprawiała wrażenie pustej i zimnej.

Sposób myślenia Jacka zmienił się po powrocie z chrzcina małego spadkobiercy Marca, a jego chrześniaka. Uświadomił sobie, że w domu jest przeraźliwie cicho. Alston Court, główna rezydencja Marca, nawet po wyjściu mnóstwa gości, tętniło życiem. Zewsząd dobiegały odgłosy domowej krzątaniny. Tak samo jak przed laty, gdy Jack był tam w dzieciństwie. Zupełnie jakby Marc i narodziny pierwszego syna przywróciły rodowej siedzibie dawną żywotność.

Dla Marca nawet złamany obojczyk i zwichnięte ramiona nie byłyby teraz problemem. A może jednak. Jack uśmiechnął się tajemniczo, gdy uświadomił sobie, że pewien aspekt tych dolegliwości stanowiłby jednak dla przyjaciela uciążliwość. Ale podejrzewał, że przemysłowy hrabia Rutherford na pewno znalazłby wyjście z sytuacji.

Zirykowany przyznał w końcu sam przed sobą, co powoduje u niego

takie rozdrażnienie. Chciał mieć syna. I bardzo dobrze. Od kilku lat był tego wiadomy. Kolejne

romanse pozostawiały uczucie zawodu i niedosytu. Marzyło mu się co wieczek ukradkowe schadзки z rozczarowanymi atrakcyjnymi lub modnymi kurtyzanami. Chciał mieć kogo wywyżczyć dla siebie, lecz znalezienie właściwej kandydatki nie było łatwe.

Przez ostatnie cztery sezony rozglądał się pilnie, ale dyskretnie. Wolał unikać przybywających do Londynu ambitnych matek. Każda z nich chciała pchnąć łapy w jego ramiona swojej nudnej córki. Nie czytał sobie równie, aby w wiadomym celu przedstawiano go wszystkim bogatym pannom na wydaniu.

Chciał się ożenić z miłością, a nie z rozsądkiem. Nie wyobrażał sobie obustronnie korzystnej transakcji zawartej, aby spłodzić dziedzicę, a przyszłej żonie zapewnić wysoką pozycję w towarzystwie. Dlatego prowadził poszukiwania bardzo dyskretnie. Chyba przesadził z ostrością, bo ani dziewczęta wzbudzały jego zainteresowanie, ani ich matki nie miały pojęcia, na co się zanoszą. Kilkakrotnie spotykał się, a niejedną upatrzoną panią przyjął o wiadczyni innego konkurenta. Jack nie dbał o to i rozglądał się za nową kandydatką.

To mu powinno dać do myślenia. Nie bez zdziwienia uwiadomił sobie, że w granicach rzeczy naturalnej mu nie zależało. Wszystko to były urocze, ciche i łagodne dziewczęta, które niedawno ukończyły pensję dla pań z dobrych domów, dojrzałe, rozumne, zgodne i niekłopotliwe. Skoro miały tyle zalet, dlaczego żadna nie wzbudziła w nim silniejszego zainteresowania?

Na dobrą sprawę każda z tych młodych dam powinna mu odpowiadać, a tymczasem uważał je za dołmaczki, wręcz nudne. Co gorsza, choć wyobraźnia miał bogatą, nie potrafił wyobrazić ich sobie w łóżku.

W zadumie pociągnął łyk brandy. Rzecz jasna namiotnicy i podobnie nie były najlepszymi doradcami przy wyborze przyszłej żony. Podstępnie atakowały jednak mężczyznę, wykorzystując jego słabości, przytębiały wola, pozbawiały zdrowego rozsądku. Według Jacka żona lepiej szukać bez udziału zmysłów, bo jedynie wtedy można uniknąć niepotrzebnego ryzyka.

Nie mógł się w tym połapać. Żadna z upatrzonych pań nie zasługiwała na miano żony: jedna w drugą ładne, pełne uroku młode damy. Wszystkie lubiły życie, jakie i jemu się podobało. Miały te

podobne zainteresowania. Wi kszo ch tnie mu przytakiwała.

Dobrze byłoby mieszka tu z on . Wieczorami zamiast siedzie z nosem w ksi kach, mógłby rozmawia . Przytuliłaby si do niego w łó ku. Miła, słodka dziewczyna, która pomogłaby mu zapanowa nad zło ci po upadku z konia i złamaniu obojczyka. Marzyło mu si ciche, łagodne stworzenie, przy którym nie musiałby stawa na głowie ani wywraca swego ycia do góry nogami. Dziewczyna taka jak Meg,

Jack skrzywił si . Co go napadło, do jasnej cholery? Nie zamierzał chyba wzdycha do ony najlepszego przyjaciela. Z drugiej strony jednak musiał przyzna , e gdyby poznał Meg, nim wyszła za Marca, sam uderzyłby do niej w konkury. Lubił kobiety takie jak ona. Była urokliwa, szczerze oddana m owi, zgodna i łatwa w codziennym po yciu; uosobienie wdzi ku, a zarazem kobiecej godno ci. Na dodatek wysoka. Drobne kobietki wydawały si przestraszone jego pot n postur i słusznym wzrostem. Musiał jednak przyzna , e Meg nie zawsze mu przytakiwała. Marcowi te si czasem sprzeciwiała i potrafiła z uporem trwa przy swoim zdaniu.

Mniejsza z tym. Trzeba przyzna , e Marca zawodzi niekiedy logika, zwłaszcza gdy rzecz dotyczy bezpiecze stwa albo zdrowia Meg. Jack u miechn ł si szeroko. Przyjaciel wpadł w to małe stwo jak liwka w kompot, ale on nie da si zaskoczy . Trzeba podej do sprawy metodycznie. Najpierw wykaz po danych cech, a potem szukanie kandydatki, która je uosabia. Krótko mówi c, logiczne, racjonalne podej cie do sprawy. Przede wszystkim nie mo na pozwoli , eby o wyborze kandydatki na on decydowały cielesne pop dy. Nami tno i dza maj swoje zalety, ale nie szukał kochanki, lecz ony. Po danie bywa zwodnicze, ci gnie ludzi na manowce i sprawia, e le lokuj uczucia. W najlepszym razie kapry ny to przewodnik, w najgorszym - podst pny oszust.

Tylko głupiec nie potrafi uczy si na swoich bł dach. Jack był starszy, m drzejszy, wi c jak przystało na dojrzałego m czynn , panował nad pop dami. I bardzo dobrze. Podsumowuj c: szukał młodej damy podobnej do Meg. Nic prostszego! Problem w tym, e nie znał ani jednej panny, która by j przypominała. Kopia nie istniała, a oryginał okazał si niedost pny. Meg wyszła za m z miło ci, a jej ukochany był najlepszym przyjacielem Jacka.

Nie mo na traci nadziei. Gdzie tam czeka na niego odpowiednia kandydatka na on . Trzeba znów pojecha do Londynu, bywa na

balach i przyjaciach, szuka do skutku. Prawdopodobieństwo, że właściwa panna na wydaniu znajdzie się na prowincji, w leśnych ostwach Leicestershire, wydawało się bliskie zeru.

Dwa dni później Jack zmierzał do ogrodu, który w zimowej szacie sprawiał wrażenie smutnego i opuszczonego. Wracał ze spaceru po zagajniku tuż za ogrodowym murem. W drzewka wśród ciemnych, przysypanych niegłębokimi drzew była dla niego przystojna. Pnie i konary wydawały się boleśnie skręcone, obumarłe. Wiatr jawił mu się jako ponury i odpychający padół płaczu i królestwo beznadziei. Nawet siedemnastowieczny dwór, zbudowany dość chaotycznie, był z pozoru nieprzyjazny, jakby opustoszały. Odczucie całkiem bezzasadne, niemal mieszkane, ponieważ oprócz właścicielki mieszkała tu liczna służba.

Jack miał za sobą nieprzespaną noc. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bolesne jest złamanie obojczyka. Zwicznymi ramionami dokuczało mu równie, choć zostało fachowo nastawione. Miał wrażenie, że kałdy mi się górnej połowy ciała połączony jest z barkiem, a ból przypominał, że jego konie oraz myliwska sfora popróbnij z koniecznością.

Na szczęście zdołał umknąć służącemu, który ustawnie naprzykrzali się, przybiegając z ciepłymi kompresami i miękki poduszkami. Nie szczęśliwie mu równie współczujących spojrzeń. Z dala od nich mógł wreszcie odetchnąć pełną pierś. Nie przewidział jednak, że zerwie się gwałtowny północny wiatr, którego podmuchy co kilka chwil przyprawiały go o paroksyzm bólu. Miał nadzieję, że zdoła przez nikogo niezauważony przemknąć do biblioteki i zaszyje się tam na długie godziny.

Miał także doświadczenia. Odwiedzający go siedzący okazali się wyjątkowo nietaktowni. Nie chciał wysłuchiwać rozwlekłych opowieści o wyjątkowo udanych polowaniach, w których ziemiaństwo z najbliższej okolicy miało przyjemność uczestniczyć. Nie życzył sobie również, aby siedzący z porozumiewawczym uśmiechem powtarzali, że do wesela się zagoi. Jeśli kolejna wdzięczność się dzierlatka oznajmi, że specjalnie dla niego sporządzona balsam niezawodny w przypadku takich dolegliwości, które obecnie mu dokuczają, nie odpowiadał za siebie oraz za konsekwencje swego wybuchu złości.

Zdesperowany polecił Evansowi, aby przez kilka następnych dni odprawiał z kwitkiem wszystkich odwiedzających. Gdyby w końcu nie wytrzymał nerwowo i wylał na dekolt jakiejś troskliwej panny całą

zawarto flakonu z balsamem, trudno byłoby mu potem wytłumaczyć takie zachowanie. O tym myślał, przeskakując niski mur otaczający dworski ogród. Niespodziewanie wpadł na osobę, idącą po drugiej stronie.

Wyrwało mu się przekładne przekleństwo. W tym samym momencie zorientował się, że intruz nie jest mężczyzną,

- Niech ci diabli, dziewczyno! - zawołał, starając się chociaż trochę pohamować wściekłość. - Dlaczego nie patrzysz, gdzie idziesz?

Ostro nie pomacał obolałych rami. Miał wrażenie, że mimo nieprzyjemnego zderzenia kontuzja się nie odnowiła, ale czuł się fatalnie. Co gorsza, ilekroć spojrzał na zarumienione policzki, do głowy przychodziły mu głupie myśli. Na miłość boską! W jego wieku? Był przecież statecznym trzydziestosześcioletnim, a nie dwudziestoletnim młodzieńcem, któremu tylko jedno w głowie.

- O miłość boską, zauważyła, że i pan nie rozglądał się zbyt pilnie, przeskakując mur.

Jack popatrzył uważnie na dziewczynę. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek się spotkali, ale było w niej coś znajomego.

Łnie z gniewu zielone oczy rzuciły groźne spojrzenia, gdy lustrował jej niemodny płaszcz ze szkarłatnej wełny, zabłocone buty i potargane włosy. Długie wilgotne kosmyki barwy mahoniowego opadały na plecy i ramiona. Przemknęło mu przez myśl, że kiedy wyschną, będą kasztanowe.

Do czego to podobne, aby ta panna czyhała na niego w ogrodzie? Kim jest? Skąd ta przemożna pokusa, aby dotknąć jej podbródka, unieść twarz i zetrzeć krople wody z zadartego, piegowatego noska? A może szałowa?

Kimkolwiek była ta dziewczyna, nie miała prawa włóczyć się po jego ogrodzie, nawet jeśli czuł się przy niej jak pełen wigoru dwudziestolatek... a może właśnie dlatego? Kto jej pozwolił wzbudzać w nim takie odczucia w chwili, gdy był tak umęczony cierpieniem, że niemal związał się z bólem, nie mogąc cieszyć się nagłym przypiływem młodzieńczej werwy.

- Czy w Leicestershire wszyscy mężczyźni są takimi gburami? - spytała uprzejmie.

Jack z trudem panował nad złością. Do diabła! O co jej chodzi? Czemu tak się ciska? Przecież to on został praktycznie staranowany w swoim własnym ogrodzie. Wkrótce już wiedział, czemu tak się obruszyła.

- Mogłabym wybaczyć słowa, których użył pan, gdy na siebie wpadli my, ale godzi się chyba przeprosić za przekleństwa wypowiedziane pochopnie w obecności damy.

Jack spojrzał na nią spod łba. Szczwana lisica! Ogarniła ty zło ci zmierzył szyderczym spojrzeniem szczupłą postać w znoszonym, mokrym ubraniu. Nieznajoma sprawiała wrażenie ubogiej i zaniedbanej.

- Przed damą na pewno bym się pokajał - zaczął sarkastycznie. - Proszę mi wybaczyć, że się nie zorientowałem, kto wtargnął bez zaproszenia do mojego ogrodu. Jasno i wyraźnie nie zapowiedziałem słuszenie, a dla nikogo nie ma mnie w domu. Proponuję, aby pani wróciła do swojego powozu. Skoro jest pani damą, na pewno prędzej czy później spotkamy się w salonach.

Jack przeczuwał, że pod ohydny, bezkształtny płaszcz kryje się zgrabna figura. Było coś w postawie tej panny, co pozwalało mu tak się dziwić. Ale licznotka! Dygotała z zimna. Gdzie są jej rodzice? Dlaczego pozwolili, aby ryzykowała zdrowie oraz dobrą reputację, włączając się samotnie?

- To oczywiście, że w powozie łatwiej się rozgrzać niż tutaj, w moim towarzystwie - stwierdził beznamiętnie i dodał po chwili namysłu, zmierzwiwszy taksówką spojrzeniem jej postaci: - Zapewniam pani, że moda się zmieniła i w Leicestershire nikt nie paraduje w przylegającym do ciała mokrym kaszmirze, szczególnie w środku zimy.

Zarumienione policzki jeszcze bardziej poczerwieniały.

- Pan Jonathan Hamilton? - zapytała nagle. Skłonił się bez słowa.

- We własnej osobie. - Przemknęło mu przez myśl, że nieznajoma wyglądała jak rozszłoszczony elf.

- W takim razie papa chyba na głowę upadł!

Po tej zagadkowej uwadze okrążyła się na pięcie i pomaszerowała w stronę domu. Jack szedł za nią powoli, podziwiając lekki krok i niezwykle gracy widoczny w każdym ruchu. Dziewczyna skręciła za róg dworu, zmierzając w stronę podjazdu. Zamyślony Jack podszedł do bocznych drzwi. Przy odrobinie szczęścia niezauważony przez służbę przemknął do biblioteki. Potem znalazł sposobność, aby przeprowadzić dyskretnie ledźstwo dotyczące nieproszonego gościa.

Nagle wydało mu się, że mimo dokuczliwej zimy wszystko wokół pojaśniało. Silny wiatr szarpał gałęzie drzew widoczne na tle pochmurnego nieba. Zapewne niedługo znowu spadnie śnieg. Jack lubił

obserwowa przez okno wirujące białe płatki. Na widok szalejącej nie ucy nabierał wigoru. Dom już nie wydawał mu się ponury i opuszczony. Óławy piaskowiec niemal ją niał na tle zimowego krajobrazu. Jack zapomniał o bólu cym ramieniu i przyspieszył kroku.

Znaczyć chrząkanie zwróciło jego uwagę. Podniósł głowę znad księgi i zirytowany popatrzył na kamerdynera. Miał nadzieję, że słuchanie nie wie o jego niedawnej eskapadzie. Niech myli, że cały ranek przesiedział w bibliotece.

- Nie ma mnie w domu dla nikogo, Evans. Chyba wyrażam się jasno.

- Tak, sir. Naturalnie. Tak właśnie powiedziałem, ale skoro ja nie pan wrócił ze spaceru...

- Nie ma żadnego ale. Z jakiego spaceru? O co ci chodzi? - Spojrzał znowu na stronę księgi, ale nie mógł się skupić. Powinien się domyślić, że jego krótki wypad zostanie zauważony. Mniejsza z tym. Postanowił zignorować obecność Evansa w nadziei, że ten zniechce się i wyjdzie.

Niestety, kamerdyner był równie nieustępliwy jak ten cholerny ból w złamanym obojczyku.

- Ja nie pan wyszedł na spacer do lasu, więc nie wie o gościach. Proszę tylko zadysponować, które pokoje pani Roberts ma przygotowane dla...

- Jakże pokoje? - przerwał zdumiony Jack.

- Właśnie mówi. Pani Roberts chce wiedzieć, gdzie ma umieścić tych państwa - odparł z naciskiem Evans. Był spokojny i pewny siebie, ponieważ słuchał w Wyckham Manor, gdy jego obecny chlebodawca biegał po domu w krótkich spodenkach.

- Mamy go ci, Evans? - Zainteresowany Jack popatrzył na lokaja. - Nikogo nie oczekuję, prawda?

- Pan Bramley i...

- Bramley? Wielbny Edward Bramley? Kuzyn ojca? - Jack poczuł ulgę. I co jeszcze? Z pewnością nic było to rozczarowanie. Wykluczone, aby wielbny Bramley miał coś wspólnego z panną, która wtargnęła do ogrodu. To na pewno zbieg okoliczności. Jack położył księgę na niskim stoliku i zapytał:

- Do diaska! Co on tutaj robi? Chce się u nas zatrzymać na dłużej?

- Całkiem możliwe. Młoda dama powiedziała...

- Jaka młoda dama? Chcesz mi wmówić, że zjechał do nas w towarzystwie jakiej dzierlatki? Evans, na wypadek, gdyby miał

problemy ze wzrokiem, chciałbym ci u wiadomi , e wielebny Bramley jest rówie nikiem mojego zmarłego ojca. Mo e czas obszedł si z nim łaskawiej ni z innymi wiekowymi d entelmenami. - Umilkł, bo nagle z przera eniem u wiadomił sobie, e nie mo na wykluczy takiej ewentualno ci. Kto wie, co ł czy wielebnego Bramleya z tamt młódk spotkan w ogrodzie.

- Wzrok mam nie najgorszy, sir - zaprzeczył Evans uspokajaj cym tonem - a prawa natury pozostały niezmienione. Panna Bramley jest córka wielebnego.

Ta informacja sprawiła, e Jack zacz ł pow tpiewa w stało podstawowych zasad rz dz cych wiatem. Czy by nie odnosiły si do starego Bramleya? Niezbyt dobrze pami tał go sprzed lat, ale miał pewno , e duchowny nie był onaty. Wydawał si oderwany od codzienno ci, ył w celibacie, najch tniej oddawał si pracy naukowej, a na kobiety nie zwracał uwagi. Interesowały go wył cznie bohaterki greckich tragedii. Wydawało si niemo liwe, eby spłodził dziecko i został ojcem takiej rezolutnej i wygadanej panny.

- Rany boskie! Przyjechali na dłu ej? - Jack układał ju sobie w głowie wiarygodne przeprosiny.

- Tak, ja nie panie. Mam wprowadzi wielebnego Bramleya?

- Oczywiście cie! Natychmiast zapro go tutaj, do biblioteki.

Evans wyszedł pospiesznie, ale nie zdołał ukry szerokiego u miechu. Jack wolał nie pyta , co tak rozbawiło lokaja i dlaczego odwiedziny starego duchownego najwyra niej poprawiły mu nastrój. Ostro nie usiadł w fotelu.

Po kilku minutach drzwi si otworzyły.

- Wielebny Edward Bramley - zaanonsował Evans.

Na widok podstarzałego krewnego Jack pomy lał, e mijaj ce lata niewiele zmieniły w jego wygl dzie. Wielebny nadal był niski i szczupły, a jego twarz rozja niał lekki, pogodny u miech.

- Wielebny Bramley! - zawołał, podchodz c do niego. - Jak miło pana tu widzie . Od ostatniej wizyty min ło dwadzie cia pi lat.

Starszy m czyzna przyjrzał mu si uwa nie.

- Na miły Bóg, słuszna uwaga. Jack, prawda? Jaki ty podobny do wi tej pami ci ojca.

- Miło mi to słyse . - Jack u miechn ł si szeroko. - Co pana tutaj sprowadza? My lałem, e osiadł pan na stałe w Kornwalii. Prosz podej do kominka i usi przy ogniu. Z pewno ci jest pan

zmarzni ty.

- Owszem. - Wielebny kiwn łą głow . - Musz przyzna , e w dwukółce było troch chłodno. Pocztowy dyli ans równie do ciepłych nie nale ał, ale przynajmniej mieli my ze sob бага e. Och, co za ulga!
- Wyci gn łą dłonie w stron kominka.

- Dwukółka? Dyli ans? Co pana skłoniło do korzystania z takich rodków transportu? A pa ski бага ? Co si z nim stało? - Je li wielebny Bramley i jego córka przyjechali od strony Londynu, zapewne około pierwszej w nocy zatrzymali si u Bella w Leicester.

Wielebny Bramley popatrzył na niego z roztargnieniem.

- Co prosz ? Dyli ans? Szczerze mówi c, słabo si w tym orientuj . Kresyda zajmuje si takimi sprawami. Zdołała przekona wła ciciela zajazdu, eby wstawił mi łó ko do palarni. A je li chodzi o бага , powiedziała, e trzeba wszystko zostawi .

- Kresyda? - powtórzył Jack. - Łó ko w palarni gospody Bella? Dobry Bo e!

- Chyba znasz Kresyd , co, chłopcze? - Wielebny Bramley zmarszczył brwi. - Mówisz, e nie widzieli my si dwadzie cia pi lat? W takim razie nie było sposobno ci. Ma około dziewi tnastu lat. A mo e dwadzie cia? W ka dym razie dwudziestu pi ciu jeszcze nie sko czyła, tego jestem pewny.

- To pa ska córka? - Jack mimo woli zastanawiał si , gdzie ta dziewczyna spała ostatniej nocy.

- Zapewne. - Wielebny Bramley zamrugał powiekami. - Mam wszelkie powody, by twierdzi , e to moje dziecko.

- S dzi pan - powtórzył machinalnie zakłopotany Jack, cho starszy pan zawsze był ostro ny w wyra aniu opinii. - Na miły Bóg, jak do tego doszło?

- Całkiem naturalnie. - Wielebny Bramley opacznie zrozumiał ostatni uwag . Obrzucił kuzyna przenikliwym spojrzeniem. - Wydaje mi si , mój chłopcze, e powiniene ju wiedzie , sk d si bior dzieci.

Jack poczuł, e si rumieni. Przez to obolałe rami stracił jasno my li. W przeciwnym razie nie zadałby duchownemu tak dwuznacznego pytania.

- Tak. W moim przypadku nie obyło si bez pewnego zaskoczenia. Musz przyzna , e byłem wielce zdumiony... Kto by pomy lał, e tak szybko i łatwo.

Łysina wielebnego poczerwieniała, mo e od ognia, a mo e z za enowania. Jack całkiem serio brał pod uwag tak mo liwo , wi c uznał, e trzeba skierowa rozmow na bezpieczniejsze tory.

-Nie wiedziałem, e był pan onaty. Starszy pan kiwn ł głow .

-Nie planowałem o enku, lecz Amabel była w kłopotcie, gdy niespodziewanie straciła posad i została odprawiona. Pewien młody łajdak tak si jej przysłu ył. Mniejsza z tym. Potrzebowałem gospodyni, wi c lub był najlepszym wyj ciem z sytuacji.

Słuchaj c tych wynurze , Jack u wiadomił sobie, e jego kuzyn o enił si z lito ci. -Kim była Amabel?

-Kim była? - Wielebny Bramley popatrzył na swego rozmówc . - Chyba ju mówiłem. To moja ona. -Pokr cił głow . - Matka Kresydy - dodał, jakby chciał usun wszelkie w tpliwo ci co do pochodzenia córki.

Jack uznał, e nie warto dr y tematu.

- A gdzie teraz jest? - zapytał.

- W grobie, drogi chłopcze. Wła nie tam, w grobie. Sam odprawiłem nabo e stwo ałobne. Kresyda pogodziła si z t strat .

Jack u wiadomił sobie, e przez dwadzie cia pi lat wielebny Bramley nie zmienił si ani troch .

- Pytałem o Kresyd - wyja nił i natychmiast si poprawił. - To znaczy o pann Bramley.

- Ach tak - odparł starszy pan z wyra n ulg .-Przez moment obawiałem si , czy nie barak ci pi tej klepki. Trudno powiedzie , dok d poszła moja córka. Zdrzemm łem si w salonie przy kominku. Nareszcie było mi ciepło. Kiedy obudził mnie twój lokaj, Kresyda wzi ła swój płaszcz, którym mnie okryła, i wyszła.

- Swój płaszcz? Jak to? - spytał zdziwiony Jack. Nie miał poj cia, dlaczego ojciec Kresydy, to znaczy panny Bramley, drzemał okryty płaszczem córki, jakby nie miał swego. Łatwo si domy li , gdzie poszła w odzyskanym okryciu.

- A tak, tak. Po yczyła mi go, kiedy jechali my dwukółk .

- Na miło bosk ! Dlaczego nie uprzedzili cie mnie listownie o swoim przyje dzie? Ch tnie wysłałbym po was powóz nawet do Kornwalii.

Wielebny Bramley sprawiał wra enie zdziwionego. Był zbity z tropu.

-Dobrze pami tam, e napisałem do ciebie. Mo e list zagin ł na

poczcie? Musisz zapytać Kresydę, mój chłopcze. Ona zajmuje się takimi sprawami.

Panna Kresyda Bramley kucnęła przy kominku w salonie, dokąd jej ojciec wprowadził surowy, budzący respekt kamerdyner pana domu. Wyrzucała teraz, jak zwykle, na chwilę. Wyrzucała sobie równie, jak i opowiadała o Kornwali. Jak to się dzieje, że mimo wszystko starczy jedno spojrzenie, by przestali okazywać jej szacunek i zaczął się pomijać?

Czy tak się dzieje z powodu tych okropnych piegów? A może winne są rude włosy?

Jak mogła stracić panowanie nad sobą do tego stopnia, aby wrzeszczeć bez opamiętania na wysokiego, ciemnowłosego d entelmena spotkanego w ogrodzie? Powinna się domyślić, że stoi przed nią kuzyn, niechcący ubogim krewnym. Wrócił już do domu i natychmiast posłał po jej ojca. Miała nadzieję, że papa jako duchowny i uczony zrobi lepsze wrażenie niż ona, jego pyskata córka.

Chociaż ten pyszałek nie musiał być wobec niej taki opryskliwy. To prawda, że niespodziewanie stanęła mu na drodze, ale nie ona spadła na niego z muru jak ciężki worek, co zresztą mogło się dla niego skończyć poważną kontuzją. Z drugiej strony jednak mało kto stanowiłby poważne zagrożenie dla człowieka takiej postury. Nawet wysoki Andre w swoim wytwarzanym sylwetką nie miał równie szerokich barów.

Rozgoryczona odsunęła od siebie tę myśl. Po co wspomina wiarołomnego szubrawca? Nie ma sensu wracać do przeżytych rozczarowań. Dostała od życia niezłą naukę i teraz wiedziała, jak d entelmeni odnoszą się do dziewcząt bez posagu i rodzinnych koneksji. Ich zapewnienia o dożgonnym uczuciu mogą na miódz bajki włożyć. Trzeba sobie uwiadomić tę smutną prawdę, a złe chwile wyrzucić z pamięci i skupić się na nowych problemach.

Rozejrzała się uważnie po salonie. Od papy wiedziała, że ich kuzyn, pan Jonathan Hamilton, jest niezmiernie bogaty. Odziedziczył krocie. Rodzina stała się kupno wiekowego opactwa przerobionego na ziemską dwór, ale obecny właściciel nie trwonił pieniędzy na modne i wytworne urządzenie salonu. Wystrój wnętrza i sprzęty były stare, lecz w salonie nie widziało się oznak zaniedbania, cechujących podupadłe domy i fortuny. Meble znakomitej jakości, starannie czyszczone i polerowane, lśniły i pachniały wieńcami. Krzesła i fotele miały nowe tapicerki. Dlatego właścicielka nie Kresyda kucnęła na podłodze przy kominku, zamiast usiąść wygodnie. Bała się zabrudzić nowiutkie obicia

wilgotnym ubraniem.

Przypadł jej do gustu ten salon. Sprawiał wrażenie pomieszczenia, w którym domownicy chętnie przesiadują. Może pan Hamilton należał do konserwatywnych ziemian, którzy nie lubi zmian i nowomodnych pomysłów. Wcale by się dziwiła, gdyby się okazało, że przez cały rok mieszka w swoim majątku, dobrowolnie zaszywa się na wsi. Miejmy nadzieję, że obecność uczonego pastora i jego córki nie będzie mu przeszkadzała. Tak czy inaczej obszerny, nieco chaotycznie zbudowany dwór na skraju ciemnego lasu sprawiał wrażenie przyjaznego i zachęcał, aby wstąpić do jego progi.

Wspomnienie o aroganckim panu Hamiltonie szybko ją otrzeźwiło. Pobocznice! Pozory myli. W tępocie, aby była tu mile widziana. Zbyt duży różnicę od bogatego pana domu. Pod obszernym zimowym płaszczem nosił zapewne elegancki strój. Wzdrygnęła się na myśl, że cały bagaż musiała zostawić w gospodzie jako zastaw, aby właściciel zgodził się użyczyć jej marnej dwukółki. Gdyby przywiozła ze sobą rzeczy, mogłaby teraz włożyć suche ubranie.

Na szczęście dzięki jej płaszczowi papa nie przemókł do suchej nitki w otwartym powozie. Wyrzucała sobie jednak, że nie pilnowała ojca jak należało. W przeciwnym razie nie miałby sposobności, aby oddać płaszcz ubogiemu. Sama była sobie winna, że zmokła i przemarzła w podróż.

- Powinna chyba pożyczyć sukni od gospodyni - powiedziała do tańczących zyków ognia.

- Bardzo słusznie, panno Bramley - usłyszała dobiegający zza pleców znajomy głos. Poderwała się natychmiast, ale straciła równowagę i z hukiem upadła na podłogę. Była wściekła, że tak się skompromitowała w obecności pana Hamiltona.

Po minie poznała, że on jest tego samego zdania.

- Byłoby zdecydowanie lepiej, gdyby przywiozła pani ze sobą bagaż. Mniejsza z tym. Pani Roberts na pewno z radością pożyczy pani jedną z sukien.

Podszedł bliżej. Kresyda nie знаła dotychczas o równie imponującej posturze. Obcisłe spodnie opinały długie, muskularne nogi. Siedząca na podłodze Kresyda mimo woli musiała na nie patrzeć. Wysokie buty z najprzedniejszej skóry były doskonale uszyte i starannie utrzymane, choć spacerze trochę zabłocone. Pan Hamilton nie nosił modnych ubrań, dopasowanych i wciśniętych w pasie, lecz nie ulegało wątpliwości, że szyje dla niego najlepszy krawiec.

Zbita z tropu podniosła głowę. Umiechała się, zdradzając lekkie rozbawienie i sporo cynizmu. Szare oczy pod ciemnymi brwiami zdawały się dostrzegać każdy szczegół. Poczuli się jak przemoczona dziewczarka. Chciała się podnieść i nagle poczuła, że mocna dłoń chwyta jej łokieć, pomagając wstać. Przeszedł ją dreszcz, gdy silne palce zacisnęły się na ramieniu.

- Sama dam sobie...

Umilkła, gdy odetchnęła głębiej i cofnęła ramiona. Ponownie zachwiała się i z głuchym łomotem usiadła na podłodze.

- Cholera jasna! - rzuciła odruchowo. Takich słów nie wypadało używać pannie z dobrego domu, na dodatek córce pastora, szczególnie w obecności dżentelmena, który na domiar złego niedawno słyszał z jej ust podobne przekleństwo.

- Słuszna uwaga, panno Bramley - powiedział obojętnym tonem. Rozzłoszczona chciała go spoliczkować. Arogancki pyszałek!

Wyciągnęła do niej drugą rękę, silnie i pomocnie. Podniosła wzrok, aby powiedzieć mu, co o nim myśli. Ujrzała twarz pobladłą i skurczoną z bólu.

- Co panu dolega?

- Nic, panno Bramley. Drobiazg. Niegroźna kontuzja barku - odparł i zacisnął usta.

Ogarnięta wyrzutami sumienia zastanawiała się, czy naprawdę tak bardzo ucierpiała, skacząc przez mur i teraz, podczas niefortunnej szarpaniny. Czy by niedawna kontuzja się odnowiła? Może nie był takim osiłkiem, na jakiego wyglądał?

- Ja nie panie!

Ten okrzyk przestraszył Kresydę. To kamerdyner niespodziewanie wyłonił się zza pleców postawnego chlebobdawcy. Dopiero teraz spostrzegła obecność służącego.

- Dlaczego nie słucha pan doktora Wilberforce'a? Trzeba nosić temblak! Ci głębiej pan zapomina, że nie wolno forsować ramienia.

Kresyda odetchnęła z ulgą, bo już wiedziała sobie, że pan Hamilton nabawił się kontuzji przed ich niefortunnym spotkaniem w ogrodzie.

- Och, daj spokój, Evans! Powiedz pani Roberts, aby pogrzebała w swoich rzeczach i znalazła jak suknię dla panny Bramley.

- Słucham, ja nie panie? - Kamerdyner był mocno zdziwiony.

- Chyba wyrażam się jasno. Aha, już wiem, o co ci chodzi. - Nadal stał z wyciągniętym ramieniem, uważył obserwując Kresydę. Zlustrował

j od stóp do głów, a potem przyjrzał si ładnej buzi.

Patrzy na mnie, jakbym była klacz wystawion na aukcj , pomy lała z oburzeniem.

Okazał si wyj tkowym impertynentem, a mimo to dr czyły j wyrzuty sumienia, bo kiedy na niego wpadła, z pewno ci mocno ucierpiał. Było jej przykro, e sprawiła mu ból. Nie zwracaj c uwagi na wyci gni t r k , wstała i wygładziła spódnic .

Otworzyła usta, eby go przeprosi , ale odezwał si pierwszy.

- No, tak, Evans. Pani Roberts musi znale co w mniejszym rozmiarze. Suknie, które nosi, stanowczo b d zbyt obszerne. Niech poszuka tak e jakiego paska. Na pewno si przyda.

- Dobrze, ja nie panie.

Kresyda uwa nie obserwowwała wychodz czego lokaja. Mogłaby przysi c, e jest rozbawiony, cho nie miała pewno ci, czy mieje si z niej, czy ze swego chlebowdawcy. Westchn ła i odwróciła si do pana domu.

Gdy popatrzył na ni z u miechem, przest piła z nogi na nog , kr c c w palcach wst ki płaszcza. Buty miała przemoczone. Nagle u wiadomiła sobie, e jest zzi bni ta i bardzo zm czona. Zdawała sobie równie spraw , e oboje z ojcem nie maj prawa niczego da od pana Hamiltona, zwłaszcza e nie mogła powiedzie mu całej prawdy. Ojciec sobie tego nie yczył. Zreszt nawet gdyby zwierzył si kuzynowi, czy spotkałby si ze zrozumieniem? Mo e ten gbur pokazałby im drzwi? Nie mogła ryzykowa . Papa do si ju naje dził. Mo e z czasem znajdzie sposób, aby wyja ni panu Hamiltonowi, co si naprawd wydarzyło - e papa przez ni stracił ródło utrzymania. Nie zamierzała pozostawa tu długo na łaskawym chlebie. Postanowiła wyjecha , gdy tylko znajdzie posad . Leicestershire jest tak daleko od Kornwalii, e plotki i pomówienia raczej tu nie dotr .

- Panno Bramley?

- Tak, sir? - Poczwała, e si rumieni.

- Czy zechciałaby pani zdradzi mi, czemu zawdzi czam t wizyt ?

- Papa był zmuszony opu ci parafi w Kornwalii -oznajmiła zgodnie z prawd . Im mniej szczegółów, tym lepiej. - Nie miał dok d pój .

- Rozumiem. Czy by?

- Oczywiście cieszyć si z odwiedzin - zapewnił, starannie dobieraj c

słowa. - Ubarwi nieco moją nudną egzystencję. Szkoda tylko, że nie otrzymałem wczoraj jej listu. Wołałbym, żeby mnie uprzedzono o waszym przyjeździe. Wielebny sugerował, że pani do mnie pisała.

Gdybym wiedział, że chcecie złożyć mi wizytę, kazałbym wczoraj przygotować pokoje, a rano wysłałbym powóz do zajazdu.

- O jakim liście pan mówił?

- To oczywiście. Chyba pani wiadomo, jak się pisze takie zawiadomienia. „Drogi kuzynie, nie spotkaliśmy się dotąd, ale chciałabym cię uprzedzić, że zamierzamy złożyć ci wizytę i zostać na dłuższą chwilę. Spodziewaj się nas tego dnia. Pozdrawiam serdecznie. Kuzynka”. Aha, wiem! Kuzynka Kresyda.

- Bardzo mi przykro - powiedziała cicho. Najwyraźniej nie wystarczyło stać nad papierem w czasie pisania listu. Powinna była osobiście cię wysłać ten przeklęty list. Ich kuzyn bez wątpienia uznał, że nie napisała, aby uniknąć odmowy.

Gdy zobaczyła na jego twarzy drwiciwy uśmiech, ogarnęła ją rozdrażnienie.

Nie zamierzała oczyszczać się z zarzutów, umyślnie zrzucając winę na ojca. Przyrzekła sobie równie, że nie zdradzi się i nie okaże złośliwości.

Uniósł brwi, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że przeczyłby sobie dowiedzieć się czegoś więcej. Przychodziły jej do głowy rozmaite, ale całkiem niewłaściwe odpowiedzi. Ugryzła się w język i powtarzała sobie w duchu, że według Biblii przyszło należeć do ludzi pokornego serca. To oni posiadają ziemię. Akurat! Nawiasem mówił, że pan Hamilton nieprędko doczeka się od niej usprawiedliwienia. Podjęła decyzję i zacisnęła usta.

- Kiedy może się spodziewać waszego bagażu?

- Gdy się po niego pośle - odparła krótko, żeby nie przeciągać struny. Trudno powiedzieć, jak długo zdoła nad sobą panować.

- Proszę?

- A tak! - odparła gniewnie, niezadowolona z tłumienia uczuć. - Uznałam, że to niewłaściwe, abym wydawała rozkazy słudze, póki nie zostaniemy dopuszczeni przed pańskie oblicze.

Na moment przykryła powieki, w myślach powtarzając modlitwę, którą wbił jej do głowy ojciec na wypadek, gdyby krewki temperament groził kolejnym wybuchem złości. „Panie Boże, uczy mnie naczyniem zgody i pokoju”.

- Oczywiście - odparł zamyślonym głosem - najlepiej byłoby postarać się o

zamkni ty powóz, w którym zmieściłyby się bagaż. Możliwe, że nawet wynajmiesz komfortowy dyliżans, aby staremu ojcu oszczędzić trudów podróży marnym pojazdem zatrzymując się na każdej stacji pocztowej. Nie wspomnij o noclegu w palarni u Bella.

Aroganccy bogacze mają tyle pieniędzy, że nie wiedzą, co z nimi robić, więc powinni raczej pilnować swego nosa i nie zwracać innym głowy. „Panie Bóg, uczyni mnie naczyniem zgody i pokoju”.

Kresyda była dumna z siebie, kiedy słodczy głos pokryła oburzeniem wywołane lekceważącym tonem karczmarza. Ten prostak miał w tym jej słowa, gdy zapewniła, że Jack Hamilton oczekuje ich przyjazdu. Tłumaczył, że ja nie jestem panem de entelmen, a jego goście nie podróżują dyliżansami. Tylko dzięki uprzejmości onego aroganckiego karczmarza udało się wstawić dla ojca łóżko do palarni. Ten gbur był wręcz oburzony, gdy jego połowica samowolnie pozwoliła Kresydzie przespacerować się w kierunku pokojówki, która miała wychodne i nocowała u rodziny. Dotknij ty do swojego uparł się i nie ustąpił, gdy przyszło do wypowiedzenia dwukółki. Musieli jako zastaw dać swoje bagaż.

- Czy ma pan mi jeszcze coś do powiedzenia? Chciałabym zmienić ubranie. Przemokłam do suchej nitki.

- Rozumiem, panno Bramley. - Jack spowiadał i kiwnął głową. - Pani Roberts z pewnością już na pani czeka.

Podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

- Rzecz jasna, mogą państwo tu zostać, jak długo zechcą — oznajmił uprzejmie - ale proszę nie zapominać, że jestem kawalerem, więc brak tu przyzwoitki, która dotrzymywałaby pani towarzystwa. Mogą powstać plotki.

- Dzięki, że był pan łaskaw mi to uwiadomić - powiedziała lodowatym tonem Kresyda. - Mam nadzieję, że szybko opuścimy ten dom, nie nadużywajcie pańskiej gościnności. Spodziewam się, że wkrótce papa znajdzie posadę odpowiadającą jego wykształceniu. Co do mnie, zamierzam szukać posady guwernantki albo damy do towarzystwa. Proszę się nie obawiać. Niedługo się wyjedziemy. Nie chcemy się panu narzucać.

- O wyjeździe nie ma mowy. Ani wielebny, ani pani nie będą dziecię włączyli się do okolicy, szukajcie zarobku. Jesteście tu mile widziani. Chciałem tylko...

- Przyjechaliśmy na krótko - przerwała natychmiast. - Wkrótce poszukam miejsca, gdzie moglibyśmy osiedleć. - Byle tylko nie trafi do przytułku dla bezdomnych. Wzdrygnęła się na samą myśl o

tym. - Dla siebie znajd pewnie co odpowiedniego, ale papa wolałby zosta pa skim rezydentem. Dobranoc panu.

Odwróciła si i ruszyła ku drzwiom, uradowana, e ma w tej rozmowie ostatnie słowo. Po chwili usłyszała jego rozbawiony głos.

- Nie zamierzałem proponowa , eby została pani moj rezydentk . S dz , e przed pani wiele lat uczciwej pracy.

- Oby tak było! - odci ła si zirytowana. - Radz posłucha kamerdynera i nosi r k na temblaku. Dla mnie równie b dzie to przypomnienie, e poszkodowanego Trzeba traktowa z nale n ostro no ci .

Zadowolona z siebie stwierdziła, e całkiem stracił w tek. Tym razem miała ostatnie słowo.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jack usiadł wygodnie w fotelu stoj cym obok kominka. Wypełnił chyba wszystkie obowi zki pana domu. Sprowadził бага e go ci, którzy jedli teraz kolacj w swoich pokojach. Czuł si , jakby przygniotło go du e drzewo.

Co miała w sobie ta dziewczyna, e w jej obecno ci nie potrafił trzyma nerwów na wodzy? Niech to wszyscy diabli! Do tej pory nie wiedział nawet, e ma nerwy, lecz panna Kresyda Bramley natychmiast mu to u wiadomiła, a tak e po mistrzowsku nauczyła si na nich gra . Wyj tkowo zadufana w sobie pannica.

Los skazał go na towarzystwo tej smarkuli oraz jej ojca. Zapewne niepr dko wyjad . Nie miał poj cia, jakie przyczyny skłoniły wielebnego Bramleya do rezygnacji z posady, a co za tym idzie, z jedynego ródła utrzymania. Zapewne ten bujaj cy w obłokach marzyciel nie był najlepszym kapłanem, ale Jackowi nie wydawało si mo liwe, aby roztargnienie typowe dla zapalonego naukowca mogło stanowi pretekst do usuni cia duchownego z parafii. Wr cz przeciwnie.

Powróciły wspomnienia. Jack nie widział wielebnego Bramleya od dwudziestu pi ciu lat. Pami tał go jak przez mgł : uprzejmy pan, który podczas wizyty całymi dniami przesiadywał w bibliotece, sk d sił wyci gało si go na posiłki. Odludek, uczony, bibliofil. Czy taki człowiek mógłby wywoła skandal, po którym trzeba niezwłocznie opu ci parafi ?

Ciekawe, jakiej kobiecie udało si skłoni go do zalotów, lubu, a

nawet do spłodzenia dziecka. Zagadka była dla Jacka na tyle frapująca, że przestał myśleć o złamanym obojczyku i obolałym ramieniu. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Na razie powinien zastanowić się, jak nie narażać na szwank niczyjej dumy i poczucia godności, skłoni wielbnego Bramleya oraz jego upartą córkę do pozostania tu przez dłuższy czas.

Z zamknięcia wyrwało go pukanie do drzwi.

- Proszę,

Do pokoju wszedł szczupły, niemłody stajenny.

- Dzień dobry, ja nie panie.

- Witaj, Clinton. Podejdź i ogrzej się przy kominku. Baga przywieziony?

- Tak jest. Sam go zabrałem od Bella i rozpylałem się, jak pan kazał.

Jackowi było nieswojo, bo szpiegował go ci, ale nie chciał niepokoić wielbnego Bramleya, a kolejna rozmowa z Kresydą byłaby zapewne stratą czasu.

- Siadaj, Clinton. - Wskazał krzesło. - Czego się dowiedziało?

Stajenny zarumienił się, speszony wyróżnieniem, jakie go spotkało, i przycupnął nie mając na brzegu krzesła.

- Dziękuję, ja nie panie. Wielbny i jego córka przyjechali zwykłym dyliżansem, jak mówiła panienska – zaczął i uśmiechnął się. - Wygląda na to, że wpadła w oko stangretowi.

Jack znieruchomiał. Czy by ktoś miał jej uchybie?

- Spoufalął się?

- Nic zdrońego! Tak mi się powiedziało, ja nie panie – dodał uspokajając się stajenny. - Tak mówił jeden z parobków. Podobno jak droga rozmokła, wszyscy pasażerowie musieli wysiść i dyndać na piechotę za dyliżansem. Panienska Kresyda wysiadła z innymi, ale wymogła, że jej ojciec zostanie w powozie. W drodze stangret dbał o jej wygodę, a gdy dotarła na miejsce, zapowiedział stajennemu Samowi, aby ją traktowano jak należało.

Dobry Boże, pomyślał Jack, ale zachował kamienną twarz i uśmiechnął się zachęcając do Clintona.

- Dowiedziało się, dlaczego jechali takim marnym dyliżansem? - Nawet jeśli Kresyda gotowa była cierpliwie znosić wszelkie niewygodę, byle ułżyło jej ojcu, postąpiła bezmyślnie, wybierając najtańszy rodek lokomocji. Karetą pocztową byłaby wygodniejsza.

- Mus to mus. Ptakiem nie przelecę, skrzydeł nie mam - odparł

Clinton, wzruszając ramionami. - Groszem nie mierdz. Sam opowiadał, że starszy pan oddał płaszcz i wszystkie pieniądze ebrakowi. Właściciel zajazdu był nieustępliwy i bez dodatkowych gwarancji nie chciał im wypożyczyć dwukółki. Musieli zastawić baga. Kazał przeprosić ją nie pana i powiedzieć, że za wynajem powozu nic nie weźmie. Jego połowica upodobała sobie panią Kresydę i pozwoliła jej nocować z pokojówkami, a jej tacie wstawiła łóżko do palarni. - Stajenny pokręcił głową, nie kryjąc zdziwienia.

- Rozumiem - rzekł zamyślony Jack. Wszystko jasne. A nadto. Zrobił z siebie idiotę. Co gorsza, zachował się jak nonszalanek, zadufany w sobie fircyk.

- To już wszystko, ja nie panie - powiedział niepewnie Clinton, jakby coś ukrywał.

Jack uniósł brwi.

- Mów. Zapewniam, że ci nie zwolnię.

- Tak myślałem, ja nie panie. - Clinton uśmiechnął się do chlebodawcy. - Nie chciałbym uchybić kuzynostwu, ja nie pana, ale wygląda na to, że w podróży panią Kresydę niewielki pożytek miała z wielbego Bramleya. Ale on jest roztargniony! Tak mi powiedział Sam. Panią musiała wszystkiego dopilnować. Była okropnie przygnębiona, gdy oddał ostatnie pieniądze.

Jack potrafił to sobie wyobrazić. Nie była niczemu winna, a jednak w milczeniu wysłuchiwała jego krytycznych uwag. Jak mógłby taki napastliwy! Była narażona na ucierpienie w podróży dyliżansem, a w dodatku po dotarciu na miejsce musiała jeszcze słuchać jego pośmiewek.

Dlaczego nie protestowała, kiedy ją bieżał? Zbyt potulna? Wtępliwie. To nie jest cępliwą Gryzeldą. miała dziewczęta, które w ogrodzie dało mu niezłomny bur, nie nadstawi z pokorę drugiego policzka. Gotowa raczej spoliczkowa impertynenta. Przypomniał sobie gniewne spojrzenie zielonych oczu oraz oszczędne, lapidarne odpowiedzi. Pięgowata twarzączka pałała, ale panna trzymała język za zębami. Ale dlaczego?

Jack potrafił wymienić co najmniej kilka pań, które bez wahania, nie bacząc na poczucie sprawiedliwości, zrzuciłyby winę na innych. To oczywiście, że Kresyda się do nich nie zalicza.

- Dobrze, Clinton. - Jack kiwnął głową, odpowiadając stajennemu. - Jutro rano zajrzę do Ognika i sprawdzę, jak się czuje. - Sięgnął do kieszeni i wyjął półkoronówkę. - Weź, nalej ci się. Niezbyt przyjemne

dałem ci zadanie.

Clinton poczerwieniał, biorąc monetę.

- Co te ja nie pan! Nie trzeba. Zawsze miło pogwarzyć z Samem. Pokornie dziękuję, ja nie panie.

Wyszedł, zostawiając Jacka na pastwę niezbyt przyjemnych myśli. Z zadumy wyrwało go pukanie do drzwi.

- Proszę wejść.

Zapewne Clinton o czymś zapomnieli.

- O! Dobry wieczór.

W drzwiach stanął wielbny. Odzyskał bagaż, więc mógł się przebrać i wyglądał teraz o wiele schludniej. Wszedł do biblioteki i rozejrzał się wokół.

- No, no, no! - Roziskrzonym wzrokiem wpatrywał się w książki. - Nowa, prawda? - spytał starszy pan, przyglądając się galerii biegnącej wzdłuż ścian biblioteki.

- Owszem. Ojciec kazał ją zrobić krótko przed śmiercią. Niepokoił się, gdy mama biegała po drabinie w górę i w dół, a ona martwiła się o niego. Poza tym zyskali my więcej miejsca na regały, a przybyło nam wiele tomów w tym samym osiemset dwunastym roku, gdy księgozbiór Roxburghe'a trafił na licytację.

Duchowny cmoknął z przyganą i powiedział:

- Ile się stało, kiedy jego księgi zostały sprzedane? Pojechałbym do Londynu, ale zbyt późno dowiedziałem się o tej aukcji. Tak, tak. Moja matka nie zrozumiała informacji. Pomyślałem tylko, że pod młotek poszedł „Dekameron” z rycinami. Mogłem go mieć.

- Dostał się Blandfordowi - oznajmił Jack. Nie wyjawiał, że nabywca zapłacił ponad dwa tysiące funtów. Niczego nie wiadomo. Kresyda powinna być wdzieczna losowi. A ludzie mówią, że to gry karciane i wszelki hazard są niebezpieczne. - Wspomniał pan o nim - zagadnął Jack.

- Ach tak, Amabel. - Bramley westchnął. - Umarła kilka lat temu. Chyba cztery... może pięć? Kresyda bardzo wiedziała.

- Nie sądziłem, że skończy pan jako onaty męczennika.

- Tak? - Wielbny Bramley przekartkował tom i ostro nie odłożył go na półkę. - Onaty męczennika, powiadasz? Sam bym nie przypuszczał, że do tego dojdzie. Nie zamierzałem się weni. Faktem jest, że buntuję się przeciwko niesprawiedliwości i nienawidzę hipokryzji, a z tymi ludzkimi przywarami walczyła biedna Amabel. Była

córk mojego przyjaciela. Po jego mierci została guwernantk . Chlebobdawcy mieli syna, który nie dawał jej pokoju. W ko cu została odprawiona bez referencji. Nie miała dok d pój . adnych krewnych gotowych udzieli pomocy. Wzi łem j do siebie i wkrótce po lubilem, uznałem, e to najlepsze wyj cie z sytuacji. - Zamy lił si na chwil . - Wła ciwie nadal tak uwa am. Sam wiesz, e nie jestem zbyt praktyczny - dodał.

-Zauwa yłem - przytakn ł z powag Jack. Wielebny z niedowierzaniem i jawnym oburzeniem przygl dał si szafie pełnej ksi ek. Wyj ł dwa tomy.

- Co one tu robi ? Dlaczego stoj obok siebie? Tak by nie powinno!

Jack stłumił miech. Mo na by pomy le , e starszy pan przyłapał par woluminów na grzesznych uczynkach.

- Mój ojciec zmarł, nim cały ksi gozbiór został uporz dkowany i skatalogowany.

- Bo e miłosierny! Wci nie macie katalogu? - zapytał duchowny takim tonem, jakby wła ciele biblioteki popełnili zbrodni .

- Ksi gozbiór został opracowany jedynie wybiórczo. Mój ojciec rozpoc ł t prac , a ja j kontynuowałem, ale to powa ne zadanie, a mam te wiele innych zaj .

Bramley popatrzył na niego z niedowierzaniem, jakby nie mie ciło mu si w głowie, e inne zaj cia przedkłada nad porz dkowanie biblioteki.

- Ch tnie si tym zajm , póki u ciebie go cimy. Kresyda na pewno zechce mi pomóc.

- Szkoda, e nie napisała do mnie, eby uprzedzi o waszym przyje dzie.

- Nie napisała? To ci dopiero. - Starszy pan zmarszczył brwi, z roztargnieniem głaszcz c palcem konika z nefrytu. - Zanim przyszedł na wiat, towarzyszyłem twojemu ojcu w podróż y do Chin. Ach tak, wszystko jasne. Kresyda nie napisała do ciebie, bo ja to zrobiłem. Dlatego tu przyszedłem. Prosz , - Si gn ł do kieszeni i wyj ł zapiecz towany list. Z jawnym zakłopotaniem wr czył go Jackowi. - Przepraszam bardzo. Nie mam poj cia, dlaczego Kresyda dała go mnie, zamiast samej zanie na poczt . Zachowała si wr cz bezmy lnie. No trudno, lepiej pó no ni wcale. Dynastia Tang*, prawda? - mrukn ł do siebie, podnosz c konika i przygl daj c mu si uwa nie.

Jack nie zamierzał dyskutowa na ten temat ze swoim go ciem. Miał do omówienia wa niejsze problemy.

-Owszem - powiedział, bior c list. Obiecał sobie w duchu, e przeprosi Kresyd . Był jej to winien. Ciekawe, jak panna Bramley zareaguje, kiedy usłyszy, e ma z ojcem porz dkowa bibliotek , cho w tej kwestii nie pytano jej o zdanie.

**Dynastia Tang rz dzila Chinami w latach 618-907, (przyp. tłum.)*

Po wyj ciu duchownego uznał, e potrzebuje oddanego bibliotekarza, który starannie uporz dkuje i skataloguje zbiór. Jack zdawał sobie spraw , e sam nie podola temu zadaniu.

Bibliotekarz. Gdzie go szuka ?

-Katalogowanie biblioteki pana Hamiltona? - Kresyda nawet nie próbowała ukry niezadowolenia. - Ale , papo! Sam mówił , e to ogromny ksi gozbiór, a my wkrótce st d wyjedziemy. Mieli my zatrzyma si tylko do czasu a znajdziesz nowe probostwo albo inn odpowiedni posad . Nie chcemy narzuca si kuzynowi. – Odstawiła fili ank i przekonywała ze swad .

Jej ojciec u miechn ł si pobła liwie.

-Sytuacja si zmieniła. Porz dkuj c ksi gozbiór, wy wiadz mu przysług . To przecie jedna z najznakomitszych prywatnych bibliotek w kraju. Nie, nie! Post piłbym haniebnie, gdybym my lał o własnych korzy ciach i planował wyjazd, skoro moim obowi zkiem jest zosta i pracowa .

- Mo e kuzyn wcale nie yczy sobie, eby jego ksi ki zostały skatalogowane - argumentowała Kresyda.

- Jak to? - Wielebny wydawał si wstrz ni ty tak sugesti .

- Je li do tej pory nie doprowadził sprawy do ko ca... - odparła, cho była wiadoma, e pozostanie głuchy na jej argumenty.

- Nie ma w tpliwo ci, e Jack chce, aby jego ksi ki zostały skatalogowane - wymamrotał starszy pan, uj c k s szynki. - Nie zamierzam si st d rusza , póki zadanie nie zostanie wykonane.

- Jak sobie yczysz, papo. W takim razie ja zajm si cerowaniem i naprawianiem odzie y. Planuj w ten sposób zarobi na swoje utrzymanie. - Kresyda uznała, e nie powinna narzeka , je li ojciec znajdzie tu zatrudnienie, cho zapewne nie przyjdzie mu do głowy, e wobec braku przyzwoitki jej sytuacja b dzie niezr czna. Nie miał,

biedaczek, głowy do takich spraw. Trzeba by powa nego wstrz su, eby poj łcał niestosowno swego pomysłu.

Nagle straciła apetyt. Kto by pomy lał, e przyjdzie jej y z czyjej łaski. Co gorsza, jej dobroczy c jest m czyzna. Na domiar złego pan Jonathan Hamilton we własnej osobie.

Ojciec kichn ł. Zaniepokojona podniosła wzrok.

- Przezi biłe si ,papo?

- Wczoraj było do chłodno, ale nie przejmuj si . Z pewno ci to jedynie lekka niedyspozycja. Wkrótce b d zdrów jak ryba. Zajm si bibliotek i my l o chorobie wywietrzeje mi z głowy.

- Dobrze, papo. Zostaniemy tutaj, a sko czysz katalogowanie.

Pr dzej czy pó niej ksi gozbiór zostanie opracowany. Za kilka tygodni praca powinna by uko czona i b dzie mo na poszuka odpowiedniej posady dla ojca. Na my l o tym Kresyda poweselała. Je li ich kuzyn wpadnie na pomysł, eby da ojcu referencje, tym lepiej, poniewa taki dokument ułatwi znalezienie zaj cia.

Godzin pó niej Kresyda z niedowierzaniem spogl dała na rz dy bibliotecznych szaf i regałów. Kilka tygodni? Skatalogowanie tych wszystkich woluminów zajmie par lat. Przeczuwała, komu przyjdzie wspina si po drabinie i zbiega w dół, podczas gdy ojciec z błogim wyrazem twarzy b dzie kr y w ród stosów zakurzonych ksi g. Ju wiedziała, na co Jonathan Hamilton trwoni odziedziczony maj tek.

Z uwag dokonała pobie nego przegl du zbiorów. Szafy si gaj ce od podłogi do sufitu były szczelnie wypełnione ksi kami. Wiele tomów le ało w chybliwych stosach na podłodze oraz na galerii rozdzielaj cej dwa szeregi bibliotecznych regałów. Wi kszo ksi gozbioru stanowiła klasyka, głównie egzemplarze antykwaryczne, lecz nie brakowało równie literatury współczesnej. Przy kominku stał zawalony ksi kami ogromny stół, a obok mocno zniszczony, lecz bardzo wygodny fotel.

Wystrój biblioteki był staromodny, a przy tym niezwykle funkcjonalny. To pomieszczenie na równi z innymi przypadło Kresydzie do gustu. Wypatrzyła na półce ciekaw ksi k i si gn ła po ni , zastanawiaj c si , czy pan Hamilton rzeczywi cie jest tak zamo ny, jak sugerował jej ojciec. Z tego, co wiedziała o bogaczach, wynikało, e stale odnawiaj i przemeblowuj swoje rezydencje. Jedno nie ulegało dla niej w tpliwo ci.

- Je li naprawd yczy sobie, eby jego biblioteka została

skatalogowana, mamy szansę uczciwie zarobić na swoje utrzymanie - powiedziała do siebie.

- Pewnie, chcę, aby powstał katalog.

Gdy Kresyda odwróciła się gwałtownie, stopy zaplątały się jej we fir dywanu i straciła równowagę. Poczuli ją obejmującej silne ramiona. W pierwszej chwili zadrżała, a potem znieruchomiała. Przytuliła się do Jacka, poczuła dziwną słabość. Zdumiona podniosła głowę i spojrzała w niego szare oczy. Wzbierała w niej zagadkowa tajemnica. Wyrwała się natychmiast, jak tylko oprzytomniała. Usłyszała, że Jack mówi do niej w powietrze.

Zrobiła jeszcze jeden krok w tył i powiedziała ze złości:

- Ale z pana głupiec. Trzeba nosić temblak. W pierwszej chwili był zbity z tropu.

- Temblak? Co to pani...

- Wiem, co mówi. Jak ma pan wyzdrowieć, skoro nieustannie forsuje pan ramie?

Przez moment wydawało jej się, że Hamilton nie zdoła wykrztusić słowa, choć nie miała pojęcia, skąd u niego to zakłopotanie.

- Tak - mruknął w końcu. - Mój bark.

- Naturalnie. - Teraz dla odmiany Kresyda była speszona. - Czy by od wczoraj coś jeszcze pan sobie uszkodził?

- Nie potrzebuję temblaka. Banda wystarczy - odparł zduszonym głosem Jack.

- Zapewne, lecz potrzeba panu czegoś, co będzie stale przypominać, że trzeba oszczędzać ramie. - Spłonęła rumieńcem, gdy uniósł brwi. Strata czasu. Ten głupiec nie ma ani krzty zdrowego rozsądku. Daremnie go strofowała. Zamiast słuchać dobrych rad, będzie się na nią bocił. - Proszę mi wybaczyć - dodała oschle. - Nie powinnam mieszać się w nie swoje sprawy. Mam nadzieję, że ramie nie jest zbyt obolałe.

- Mniejsza o nie - odparł. - Podobno nie chce pani zostać na dłużej.

- Owszem - przyznała Kresyda. - Rzeczywiście nie mam na to ochoty.

- Jest pani niezwykle bezpołudnia.

- Szkoda czasu na owijanie w bawełnę. Chciałabym wiedzieć, czy naprawdę zrobi pan sobie, by księgozbiór został skatalogowany. Muszę tak i poinformować pana, że mój ojciec uważa to za swój obowiązek, za powinność uczonego. Powinien pan wiedzieć, że moim zdaniem ta praca

zajmie mu całe lata. - Dramatycznym gestem wskazała długie szeregi regałów. - Kto wpadł na pomysł, eby papa si tym zaj ł? Pan czy on? Zastanawiał si pan, kto b dzie mu pomaga ? Jest za stary, eby biega po drabinie. Nawet galeria niewiele pomo e.

- Naturalnie. Sam mógłbym.

- Mimo niedyspozycji? O ile mi wiadomo, oprócz złamanego obojczyka ma pan równie wybitny bark, wi c...

- Mo na by pomy le , e pani wraz z ca ł s ł u b uwa a mnie za pechowca dotkni tego trwałym inwalidztwem.

- Zapewne tak to si sko czy, je li b dzie pan nadal forsowa ł rami - odci ł a si Kresyda, próbuj c nie zwraca uwagi na kpi cy wyraz twarzy Jacka. Dlaczego jest taki przystojny? Nie mógłby by stary, gruby albo łysy?

- Tak czy inaczej, z pewno ci nie siedzi pan w tym domu przez cały rok. Zapewniam, e katalogowanie tak obszernych zbiorów to ogromna praca. - Kresyda z niech ci popatrzyła na biblioteczne półki. - Dlaczego nie zatrudni pan bibliotekarza?

- Wła nie to zrobiłem. Miło mi, e pani to pochwała.

- W takim razie czym ma si zajmowa papa, skoro...

- Zatrudniłem pani ojca - wyja nił. - Sam zajmowałem si bibliotek , ale jak słusznie pani zauwa yła, potrzebny mi kustosz zbiorów.

- Pan zamierza... - Umilkła, niezdolna doko czy zdanie.

- Dzi rano w jadalni widziałem si z pani ojcem przy niadaniu. Zaproponowałem mu stanowisko bibliotekarza, a on je przyj ł - ci gn ł Jack. - Omówili my warunki. Był z nich bardzo zadowolony.

- Czy to stała posada?- Je eli nie chodzi o zwyk ł dobroczynno , dla papy byłoby to idealne rozwi zanie. Mógł si znów poczu bezpieczny.

- Zapewniam pani , e moja biblioteka si nie zdematerializuje - odparł drzwi co. - Stałe j uzupełniam. Kolekcjonuj starodruki i r kopisy, ale ciekawi mnie równie nowe tendencje w literaturze. Pani ojciec jest dla mnie prawdziwym skarbem.

- Ale on si nie zna na współczesnych pisarzach -

argumentowała Kresyda, cho odniosła wra enie, e sprawa jest przes dzona.

- Jak pani ojciec definiuje literatur współczesn ? -zapytał Jack.

- Okre la tak wszystko, co zostało napisane po Spenserze* - odparła bez namysłu.

- Rozumiem - powiedział, staraj c si zachowa powag - W takim razie pani uczyni odpowiedzialn za porz dkowanie szeroko rozumianej literatury najnowszej, a do tego podrzuc jeszcze powie ci.

** Edmund Spencer (1552-1599), angielski poeta i humanista, autor poematu „The Fearie Queen” b d cego panegirycznym na cze królowej El biety I, a osnutego na w tkach rycersko-fantastycznych. Nowator w dziedzinie wersyfikacji, jeden z najwybitniejszych twórców epoki el bieta skiej, (przyp. tłum.).*

Rozumiem, e je li odmówi biegania w gór i w dół po drabinie, pan b dzie zmuszony to robi . - Kresyda zmieniła temat. - Zgoda. Przez jaki czas mog pomaga ojcu. - Za kilka tygodni przypadały jej dwudzieste pierwsze urodziny. B dzie mogła sama o sobie decydowa .

- Wykluczone! - oburzył si Jack. - Zapewniam pani , e nie odniosłem adnych powa niejszych obra e , a moje rami jest całkiem sprawne. Poza tym młode damy nie biegaj po drabinie. To nie wypada.

Kresyda natychmiast si naje yła.

-Słuszna uwaga - odparowała. - One wspinaj si i schodz z godno ci i wdzi kiem. A poza tym nie słuchaj nieznajomych, którzy próbuj je poucza , co wypada, a co nie!

Zbyt pó no zdała sobie spraw , e znowu poniosły j nerwy. Dlaczego w obecno ci Jacka tak łatwo traci panowanie nad sob ?

-Prosz o wybaczenie, kuzynko.

Mówił cicho, niemal pokornie, cho w jego głosie nadal pobrzmiwał sarkastyczny ton.

- Prosz ? - Po raz pierwszy w yciu usłyszała przeprosiny.

- Prosz o wybaczenie - powtórzył cierpliwie - jak przystało na d entelmena, który uchybił damie.

A jednak z niej kpił!

- Co panu powiem, panie Hamilton. Niczego od pana nie oczekuj . Nawet fałszywych przeprosin. Słyszysz mnie pan?! Byłabym wielce zobowi zana, gdyby przestał mnie pan nazywa kuzynk . Nie czuj si pa sk krewn . Pokrewie stwo jest bardzo dalekie. Skoro mam pomaga ojcu katalogowa zbiory, w pewnym sensie zostałem przez pana zatrudniona, wi c prosz mnie traktowa jak pracownic .

- Teraz ja co pani powiem, młoda damo! - odparował z pasj . - Gdyby ktokolwiek z moich podwładnych odezwał si do mnie takim tonem, zostałby natychmiast zwolniony. - Spiorunował j roziskrzonym spojrzeniem szarych oczu. Usta pobiegały mu z gniewu. - Postawmy

spraw jasno. Tak, zale y mi na skatalogowaniu ksi gozbioru i zamierzam wypłaca wielebnemu Bramleyowi stosowne wynagrodzenie, bo zrobi to kompetentnie. Ale nie ma mowy, ebym traktował ciebie, moja panno, oraz twego ojca inaczej ni swoich go ci. I członków rodziny! B d ci równie nazywa , jak mi si podoba, kuzynko!

Kresyda wiedziała, e w tym starciu poniosła pora k , ale nie mogła sobie odmówi przyjemno ci wypuszczenia ostatniej zatrutej strzały.

- Oto uwagi godne d entelmena. Zegnam, panie Hamilton. Zapytam pap , kiedy chce zacz prac , a tymczasem zgłosz si do pa skiej ochmistrzyni i zaproponuj pomoc przy szyciu i cerowaniu.

Jack patrzył na drzwi, które zamkn ła, a raczej zatrzasn ła mu przed nosem. Dlaczego ta dziewczyna wyprowadza go z równowagi? Na domiar złego potrafi go przegada i wci ma ostatnie słowo.

Nagle u wiadomił sobie, e przy ka dym spotkaniu ogarnia go przemo na ch , eby porwa Kresyd w ramiona i całowa do utraty tchu. W czasie szamotaniny niechc cy otarła si o niego, co jedynie pogorszyło spraw . Kiedy podniosła głow , usta miała rozchylone. Wiele go kosztowało, eby jej nie pocałowa . Oczyma wyobra ni ujrzał pełne ró owe usta, ciepłe i wilgotne jak wie e maliny. Na sam my l o tym ogarn ło go podniecenie.

Powstrzymywała go jedynie pewno , e Kresyda nie była wiadoma, jak na niego wpływa. A mo e jednak? Czy by powtarzał dawne bł dy? Wbrew fatalnym do wiadzczeniom?

Spochmurniał, wspominaj c Selin . Ile to lat min ło? Pi tna cie? Mo e wi cej? Poznał j wkrótce po przyje dzie do Londynu. Od razu zagi ła na niego parol. Ile to razy niby przypadkiem zastawał j sam ? Cz sto zdarzało jej si potkn i zgubi pantofelek, zmyli krok w ta cu. Nie chodziło jej wył cznie o to, eby pa mu w ramiona. Miała wobec niego inne plany i nader subtelnie d yła do tego, eby postawi na swoim. Dziewcz ca pier dotykała mimochodem jego ramienia. Zdarzało jej si w ta cu przyłgn biustem do jego torsu. Kiedy zacz ł si nad tym zastanawia , doszedł do wniosku, e wcale nie była taka subtelna, ale dwudziestolatka mo na omota bez zb dnych ceregieli, zwłaszcza je li ma si do czynienia z młodzie cem niedo wiadczonym i z natury rycerskim.

Pod koniec sezonu do tego stopnia zawróciła mu w głowie, e gotów był si o wiadczy , nie bacz c na jawne, cho niewypowiedziane zastrze enia rodziców. Dopiero Marc, cynik i bystry obserwator,

otworzył mu oczy.

- Chcesz si zdeklarowa ? - spytał. - Naprawd ? Na twoim miejscu poszukałbym sobie panny, która pewniej stoi na nogach. Ta si zbyt cz sto potyka.

Stoczyli potem ciekaw walk na pi ci. Gdy myli si po ostatniej rundzie, Jack zapytał Marca, o co mu wła ciwie chodziło, a ten bez pardonu udowodnił, e Selina Pilkington myli krok i gubi pantofelki tylko w obecno ci potencjalnej ofiary.

- Wodzi ci za nos, stary - tłumaczył Marc. - Jest tajemnic poliszynela, e lady Pilkington szuka znakomitej partii dla swojej córuni. Stale zapominasz, e cho brak ci tytułu, jako maj tny kawaler jeste dla panien na wydaniu łakomym k skiem.

Jack natychmiast zacz ł si zastanawia, dlaczego przezorna i zapobiegliwa lady Pilkington nie interesuje si raczej samym Markiem, który jako wicehrabia Brandon i spadkobierca hrabiego Rutherforda uchodził za lepsz parti. Powiedział o tym przyjacielowi.

Marc u miechn ł si szeroko.

- Czy ty na głow upadł? Po tym, jak w parku podszedłem do nich w towarzystwie Harrietty Wilson? Zreszt i tak nie byłem zainteresowany. Mój instykt samozachowawczy działa sprawniej od twojego.

Jack wybuchn ł miechem, wspominaj c tamto zdarzenie. Niewiele brakowało, eby wtedy wyzwiał Marca na pojedynek. Miasto trz sło si od plotek, gdy wysoko urodzony młodzieniec bezceremonialnie zagadn ł dwie panie z wy szych sfer, maj c u boku najbardziej osławion kokot z londy skiego pół wiatka. Marc przeproszał i g sto si tłumaczył, zapewnij c, e całkiem zapomniał o obecno ci Harrietty. Wydawało mu si rzekomo, e lady Pilkington pierwsza skin ła mu głow na powitanie, zach caj c, aby podszedł bli ej.

Stan ło na tym, e pami tna bijatyka z Markiem uratowała Jacka od niefortunnego mał e stwa. Z podbitym okiem i spuchni t warg pojechał na wie, zamierzaj c wróci po kilku dniach, gdy odzyska normalny wygl d. Z paru dni zrobiły si trzy tygodnie, bo zaciekały go liczne młodziutki klacze, niedawno kupione przez Marca. W tym czasie u wiadomił sobie, e wcale nie jest zakochany w Selmie Pilkington. Marzył o miło ci, wi c przelotne zauroczenie wydało mu si prawdziwym uczuciem.

Gdy wrócił do Londynu, panna Pilkington zastawiała ju sidła na wicehrabiego Ripleya. Par tygodni pó niej ogłoszono zar czyny, a Jack

odetchnąć z ulgą.

Gdy teraz się nad tym zastanawiał, doszedł do wniosku, że nie może na winę Seliny. Na wojnie i w miłości wszystko jest dozwolone. Dziewczyna ta muszę znaleźć sobie miejsce. W wyższych sferach tego się od nich oczekuje, a mimo to salony potrafią skwapliwie kać mielsz pannę, która szukać miejsca, przekracza dozwolone granice.

Mimo wszystko takie sztuczki budziły w nim jawne niechęć. Jeżeli panna Kresyda Bramley się dowie, że wystarczy kilka razy niby przypadkiem znaleźć się w jego ramionach, aby zawrócić mu w głowie, to bardzo się myli. Z pewnością ci jednak nie jest drugą Seliną. Wychowana na prowincji, w Kornwalii, przez ojca duchownego i matkę był guwernantką, Kresyda niewiele wiedziała o pragnieniach mężczyzny i kusicielskich sztuczkach stosowanych przez zadzierając nosa panny na wydaniu. Poza tym najwyraźniej nie darzyła go sympatią.

Mało prawdopodobne, aby panna, która raz po raz ostro besztła kawalera tylko dlatego, że trochę się z nią droczy, zarazem chciała go uwieść. Rzecz jasna byłoby wskazane, aby trochę go polubiła, zanim on ją uwiedzie. Chwileczkę! Co to ci mu chodzi po głowie? Jak mógłby wykorzystać porządnie dziewczynę, na dodatek kuzynkę. Musiałby się z nią ożenić, a to byłaby prawdziwa katastrofa, gdyby przyszło mu stanąć na łubnym kobiercu tylko dlatego, że nie potrafił trzymać ręk przy sobie.

O uwodzeniu mowy być nie może, ale obiecał sobie, że jeżeli przyłapie Kresydę na cerowaniu, przełoży ją przez kolano i wymierzy mocnego klapsa. To będzie kara za złamanie jego zakazu. Nic więcej. Był jednak poważnym, trzydziestosemioletnim mężczyzną, zdolnym całkowicie kontrolować swoje działania i odczucia.

Kresyda dotarła do swego pokoju, nie zatrzymując się po drodze ani razu. Z ponurą miną obserwowała płatki niegu wirujące za oknem. Nie mogła nawet iść na spacer, aby ochłodzić w ciekło ci. Czowała się jak w pułapce. Po raz kolejny popełniła ten sam błąd: zauroczona przystojnym mężczyzną nie potrafiła włączyć do oceny.

Jack Hamilton, choć zbyt wyniosły, zachowywał się jak przystało na dentyelmenę, ale byłaby naiwną, sądząc, że pozostanie takim ideałem, gdy zorientuje się, że wpadł jej w oko. Bez wątpienia jako gość oraz córka kuzyna uchodziła za nietykalną. Chwilowo. Póki cała prawda nie wyjdzie na jaw.

W takiej sytuacji Andrew bez wahania starałby się postawić na

swoim. Dlaczego Jack miałby być inny? Z pewno ci nie posunie się do kłamliwych zapewnień o dożgonnej miłości, ale miał jej do zaoferowania to samo co Andrew. Zapewne z punktu widzenia d entelmena na nic więcej nie zasługiwała. Andrew wystąpił ze swojej propozycji, bo nie mógł przedłożyć lepszej. Jasno i wyraźnie nie dał do zrozumienia, że jej atuty niewiele znaczą dla niego, czyż nie z wyszych sfer.

Powinna trzymać się jak najdalej od Jacka... od pana Hamiltona do czasu, a gdzie mogła się wyjechać, ruszając na poszukiwania odpowiedniej posady. O pani nie musiała się obawiać. Pobyt we dworze na pewno wyjdzie mu na dobre. Zadbaj o niego lepiej niż ona sama. Zafascynowany opracowywanym księgozbiorem nawet nie zauważył wyjazdu córki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego dnia była niedziela. Jack podniósł się z krzesła, gdy do jadalni weszła Kresyda. Miała na sobie czerwony płaszcz. Od razu zorientował się, że idzie do niego, bo przyniosła ze sobą Biblię i modlitewnik. Wyglądała dziś o wiele schludniej niż poprzedniego dnia. Włosy zaczesła gładko do tyłu i spłótła w warkocz, który zwinęła w ciasny kok. Nie wymknął się z niego ani jeden kosmyk.

- Dzień dobry, kuzynko. - Zakładał, że przestała się na niego gniewać. Panował nad sobą i kontrolował sytuację. Stał się uosobieniem spokoju, godności, dystansu. Uśmiechnął się szeroko. - Chyba nie masz nic przeciwko temu, że bym skończył niadanie. - Usiadł na swoim miejscu.

Kresyda, nienaganna i chłodna, ani myślała się uśmiechnąć.

- Ale skąd. Witam pana. Czy mój ojciec zszedł na dół? Siedzi, a i on zechce pójść na poranne nabożeństwo.

Jack upił łyk kawy.

- Wielebny nie czuje się dobrze, więc...

- Przeziębienie bardziej mu dziś dokucza? - Kresyda natychmiast się ożywiła, a chłód zniknął. Jack podniósł głowę i ujrzał z troską malującą się na jej twarzy. Wygadana i bezczelna pannica z pewno ci była szczerze przywiązana do ojca.

- Nie ma powodu do obaw - uspokoił ją - ale powinien zostać w domu, póki nie poczuje się lepiej. Obiecałem mu, że odprowadzę pani

do ko cioła.

- Ach tak.

Z miny i tonu panny Bramley łatwo było wywnioskować, że takie rozwiązanie jej nie odpowiada.

- Jeszcze nie zdecydowałam, czy będę dziś uczestniczyć w nabożeństwie - odparła.

Jack skrzywił się lekko i spojrzał na nią z ukosa. Co to go podkusiło, by zacząć rozmowę?

- Czy by? - Na szczęście w jego głosie pobrzmiewało udawane znudzenie. - W takim razie dlaczego wzięła ze sobą Biblię i modlitewnik, droga kuzynko?

- Pójdź do salonu i przeczytam wyznaczone na dziś modlitwy i fragmenty Pisma świętego.

- W płaszczu? - zauważył, nie kryjąc rozbawienia. - Niemal wszystkie pokoje są ogrzewane kominkami. To jasne, kuzynko, że wybierała się do kościoła. Zapewniam, że ze mną będziesz najzupełniej bezpieczna. Wieś Ratby leży bardzo blisko. Pojedziemy powozem. Wystarczy kilka rozgrzanych cegieł pod nogi, aby tym razem nie zmarzła.

- Może pan sobie darować nieprzyjemne aluzje. - Policzki Kresydy pokrył ciemny rumieniec. - Wiem, że powinnam była zostawić ojca w cieplej gospodzie, aby pilnował bagażu. Kiedy powoziłam, nie przyszło mi do głowy...

- Co takiego? - Jack omal nie udławił się kawałkiem wołowiny.

- Przecież mówi, że powinnam go zostawić w gospodzie. - Kresyda popatrzyła na Jacka, jakby włą nie odkryła, że nie jest szczególnie lotny. - Nie nabawiłby się paskudnego kaszlu, gdybym...

- Gdyby nie powoziła sama dwukójką zaprzoną w cudzego konia po nieznanym drodze, na domiar złego w środku zimy - dokończyła Kresyda. - Na miłość boską! Siadaj, dziewczyno, i zjedz ze mną śniadanie, nim przetrzepi ci skór!

Poniewczasie zrozumiał, że należało ugryźć się w język. Nie ma co. Bardzo przyjemne zaproszenie.

Kresyda była tego samego zdania. Zmrużyła zielone oczy i powiedziała lodowatym tonem:

- Wdzięczna jestem za twoją propozycję i skwapliwie z niej skorzystam.

Podeszła do stołu i usiadła.

- Kawy? - zapytał zbity z tropu Jack. Skąd u niego ta nieoczekiwana troska o Kresydę? Poradziła sobie przecież z koniem i dwukójką, znalazła

wła ciwy go ciniec. Z tego, co wiedział, w podróż była zdana na własne siły, ponieważ wielbny Bramley i tak nie pomógłby jej zapanować nad koniem ani szukać drogi. Gdyby Jackowi przyszło wskazać kobietę zdolną zatroszczyć się o siebie, wybór z pewnościami padłby na Kresydę.

Była jednak jego kuzynką, więc powinien się nią opiekować. Bramley to wykształcony, uroczy człowiek, ale polegał na córce, zamiast być dla niej oparciem. Nie wiadomo dlaczego ta myśl zaniepokoiła Jacka. Denerwowała go również wiadomość, że nawet krótka podróż zamkniętym tym powozem sam na sam z Kresydą to dla niego wyzwanie. Zamiast rozgrzanej cegły pod nogi potrzebna mu będzie garbnica na kark.

- Jest herbata?

- Naturalnie. - Wstał z krzesła, wziął stojący na kredensie imbryk ze srebrnym naparem i podał Kresydzie. Gdy się pochylał, wyczuł delikatny zapach różanej wody. Pospieszenie odstawił imbryk, wyprostował się i zrobił krok w tył.

- Tak, pojedziemy do kociąka... - zaczął, oddychając głębiej.

- Nie ma powodu, żeby pan się fatygował. Postanowiłam zostać i opiekować się papką. Gdybym mimo wszystko chciała uczestniczyć w nabożeństwie, mógłby pan piechocić. Zapewniam, że dojdę bez problemu. Jak był pan łaskaw zauważyć, do wsi jest blisko.

Jack tracił cierpliwość, ale starał się nad sobą panować.

- Kuzynko, przyjmij do wiadomości, że nie jestem bezbożnikiem i naprawdę chciałbym uczestniczyć w dzisiejszym nabożeństwie. Nadzorca stajennych prawdopodobnie nie będzie mógł dać dwukółki, więc pojedziemy powozem ze stangretem. Twój ojciec pewnie zasnął. Słuba się nim zaopiekuje.

- No cóż. W takim razie wypada mi się zgodzić. Najwyraźniej nie znalazła dogodnego pretekstu do odmowy.:

Siedząc obok Kresydy w kościelnej ławce, Jack uwiadomił sobie, że nigdy dotąd jego zaproszenie nie zostało przyjęte również niechętnie. Cieszył się ogólną sympatią. Jednak nie zdarzyło mu się wczynie pod groźbą zmuszenia pańien, żeby siadały z nim do nianiania. Tamte słowa rozdrażniły Kresydę, chociaż należało w tym, aby ze złamanym obojętnością był w stanie urzeczywistnić buczne pogórki. Poza tym nigdy w życiu nie podniósł ręki na kobietę. To była jedynie czczą gadaniną, ale postąpiłby rozsądnie, gdyby darował sobie takie uwagi. Skupił się na niedzielnych czytaniach, które duchowny podawał głosem

spokojnym i pewnym. Jack musiał zająć czymś myśli, bo inaczej wyobraził sobie, że dotyka rozkosznych kręgielnic Kresydy, a nawet... Szelest kartek i tupot nóg wyrwały go z zamyślenia.

Zbyt późno zorientował się, że wierni powstali, aby odpiewać pieśń. Nawet nie otworzył modlitewnika. Kartkował pospiesznie księgę, gdy zabrzmiała pieśń. Daremnie próbował znaleźć właściwą stronę. Wstał i nagle uświadomił sobie z radością, że przywiózł do kościoła słowika. Oczarowany wsłuchiwał się w słodki głos kuzynki, wyraźnie słyszalny na tle niezbyt składnych popisów kongregacji. Cudowny sopran poraził go do wyczerpania. Kresyda stała obok, nie wiadomo wrażeń, jakie na nim wywarła. Spoglądała prosto przed siebie, a śpiewając, ani razu nie zadrżała do modlitewnika.

Jack wziął się w garść i pospiesznie znalazł właściwą stronę. Zdenerwowanie sprawiło, że niewielki tomik wysunął się z drzewcanych ręk i spadł, głośno uderzając o podłogę. Kresyda natychmiast podsunęła swój księgi do nabożeństwa Jackowi. Pospiesznie wymamrotał podziękowanie i zaczął śpiewać. Lubił operę i bawił się w miasteczku, chodził na spektakle, lecz do tej pory nie pojmował, jak Odyseusz mógł ryzykować życie, aby usłyszeć śpiew syren. Teraz już wiedział. Wczoraj nie zdawał sobie sprawy, że dziewczęcy głos może działać na męskie zmysły niczym kuszący perfum. Po chwili oprzytomniał. Wiadomo, młodym pannom każe się rozwijać talenty. To ich dodatkowy atut. Kresyda jest uzdolniona muzycznie. I co z tego? Nie wolno z tak błahego powodu tracić dla niej głowy. Obiecał sobie, że nie da się złapać na takie sztuczki.

Gdy wychodzili z kościoła, zagadnął uprzejmie:

- Od dawna nie słuchałem śpiewu z równą przyjemnością. Dziękuję, kuzynko.

Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

- Melodie są urocze, prawda? Nie rozumiem, skąd te podziękowania dla mnie, skoro wybrał je proboszcz.

- Mówiłem o twoim głosie, kuzynko. Jest bardzo piękny.

Zirytowany podejrzewał, że Kresyda przy mawianiu sobie o wyraźniejsze komplementy. Typowa kobieca sztuczka,

- O moim głosie? - Spojrzała na niego z jawnym zdumieniem. - A cóż w nim nadzwyczajnego?

Teraz Jack wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Mówiła szczerze. Naprawdę była przekonana, że jej głos brzmi całkiem zwyczajnie.

Był zbity z tropu, ale szybko się opanował i przytomnie rozmawiał z proboszczem, który stał w drzwiach kościoła, egnajc wiernych. Przedstawił mu Kresyd i uwiadomił sobie, że niemal wszyscy parafianie zebrali się przy wyjściu i na schodach kościoła, tłoczyc się, aby usłyszeć, kim jest nieznaną panną.

- Oto panna Bramley, moja kuzynka - poinformował

Jack pastora. - Go ci u mnie z ojcem. Wielebny Bramley jest dzisiaj niezdrowy. Podróż z Kornwalii okazała się dla niego zbyt uciążliwa.

Gdy wypowiedział te nierozważne słowa, zobaczył rumieniec na twarzy Kresydy i ogarnęło go bezsensowne poczucie winy. Przecież nie zamierzał sugerować, jakoby nie troszczyła się o ojca. Wbrew sobie musiał przyznać, że zważywszy na młody wiek i brak doświadczenia, radziła sobie doskonale, zwłaszcza że przyszło jej mitygować towarzysza podróży i gotowego ostatni grosz oddać ubogim.

Bogaty ziemianin z siedzibą w podszedł bliżej z nią i córką. Jack niemal nie ją knął. Panna Stanhope uchodziła w okolicy za najpowszechniejszą kandydatkę do jego ręki. Tak postanowiła jej wyjątkowo apodyktyczna matka. Dobrze urodzonej dziedzicze, wychowanej jak potrzeba, nic nie można było zarzucić. Jej przyszłe włości siadały dogodnie z jego majątkiem, a że od lat na horyzoncie nie pojawiła się żadna narzeczona, w sposób naturalny zakładano, że Hamilton czeka, a panna dorosła.

- Dzień dobry, Jack. Jak twoje ramiona, mój chłopczyku? - zapytał tubalnym głosem jej ojciec. - Kim jest ta paniuszka? Wspomniała, że to kuzynka, prawda?

Wzrost zainteresowanie malucha się na rumianej twarzy sir Williama Stanhope'a sprawiło, że Jack od razu się najeżył. Małżonka ziemianina zmierzyła Kresydę taksującym spojrzeniem. Nie uszła jej uwagi skromna poranna sukienka i sfatygowany płaszcz. Lady uznała, że to uboga krewna, nie zagraża zatem planowanemu małżeństwu.

Jack przedstawił Kresydę siostrzyczce.

- Panna Bramley.

Protekcjonalny ton lady Stanhope oraz dwa palce podane wielkopałką gestem na powitanie sprawiły, że Jacka ogarnął gniew. Siostrzyczka miała zwyczaj patrzeć z góry na wszystkich, o których się dążyła, że stoją niżej w towarzyskiej hierarchii. Nie bez złośliwej satysfakcji pomyślał, że od tych wyniosłych spojrzeń w kość nabawi się zezusa. Zerknął z ukosa na Kresydę, oczekując, że lady Stanhope zostanie wnet przywołana do porządku.

-Pozna pani to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Jack nie wierzył własnym uszom. Do kogo nale y ten cichy, pełen uszanowania głos? Gdzie si podziąła sekutnica, która obrzuciła go wyzwiskami podczas pierwszego spotkania w ogrodzie i od tamtej pory beształa nieustaj co, nawet podczas dzisiejszego niadania? Zorientował si , e sir William powtórzył pytanie p zdrowie, wi c natychmiast odpowiedział.

-No có , o polowaniu w tym sezonie nie ma mowy. Gdyby moja słu ba mogła decydowa , co mam robi , le ałbym w łó ku z gor c cegł pod stopami.

Sir William u miechn ł si porozumiewawczo.

-Znamy lepsze sposoby ogrzewania łó ka, prawda, młodzie cze? - Popatrzył znacz co na panie. - Oczywi cie teraz, gdy przyjechała twoja kuzynka, nie ma o tym mowy, ale wiesz, co mam na my li.

Jack szybko zmienił temat i zapytał s siada o konie oraz psy, a tamten rozgadał si natychmiast, zapominaj c o niestosownych uwagach na temat łó ek oraz sposobach ich ogrzewania.

Jack raz po raz kiwał głow , słuchaj c gadaniny sir

William, peroruj cego o gor cych okładach na poranione ko skie nogi. Ukradkiem przysłuchiwał si rozmowie Kresydy z lady Stanhope i jej córk .

- Wspomniała pani o Kornwalii? Stamt d pani pochodzi, tak? Ach tak, z okolic St Austell. Mieszka tam moja krewna. Rzecz jasna, bardzo dobrze wyszła za m . - Jack wył czy! si na moment, a po chwili, ku swemu przera eniu, usłyszał ko cówk zdania wypowiedzianego przez Kresyd podejrzenie uprzejmym tonem:

- ...jako guwernantka lub dama do towarzystwa.

Odwrócił si natychmiast i spostrzegł , e lady Stanhope coraz bardziej zadziera nosa. Usłyszał jej cierpk odpowied

- W takim razie musz sprawdzi , jakie s pani kwalifikacje, panno Bramley.

Co gorsza, jej córka tak e wtr ciła swoje trzy grosze.

- Nie znam nikogo, kto musiałby si tym zajmowa . Dobry Bo e, có za upadek.

- Moja kuzynka artuje sobie z obu pa , lady Stanhope - uci ł Jack.

- Nie musi szuka posady. Wielebny Bramley zamieszka we dworze, bo potrzebuj jego pomocy przy katalogowaniu zbiorów bibliotecznych, a wi c rozumie si samo przez si , e panna Bramley tak e zostaje.

Matrona miała tak min , jakby napiła si soku z cytryny.

- Bez przyzwoitki, panie Hamilton? O miel si zauwa y ...

- Te co ! Nie mów głupstw, moja duszko. Jack jest człowiekiem honoru. Temu, kto w tpi, e wszystko jest jak nale y, brak chyba oleju w głowie. Dziewczyna ma przecie ojca. To duchowny, prawda? Przyje d ał tutaj, gdy Jack był młodym chłopakiem. S spokrewnieni. Nie doszukuj si podtekstów.

Jack odniósł wra enie, e gdyby siedzieli teraz przy stole, ziemianin mocno kopn łby w kostk swój on , która nie wygl dała na przekonan i odparła nieszczerze:

- Oczywiście cie nikt tu nie sugeruje niczego zdro nego, ale w naszej sferze zwraca si uwag na takie rzeczy.

- Jestem pewny, e pani trze wa ocena sytuacji przewa y. Wszyscy Ucz si z pani opini - rzucił ogólnikowo Jack. Omal nie udławił si tymi słowami, ale nagrod była dla niego reakcja lady Stanhope, która zamilkła. Jack do cynicznie oceniał podwójn moralno i ogromn hipokryzj własnej sfery i dlatego s dził, e w gr wchodz tak e inne, bardziej przyziemne wzgl dy. Bezlito nie zadał ostatni cios.

- Byłbym niepoczyszony, gdyby okazało si , e podtrzymywanie wi zów rodzinnych i yczliwo okazywana krewnym mo e zepsu opini pannie Bramley albo mnie samemu. Mimo to dzi kuj , e otworzyła mi pani oczy.

Z najwy szym trudem zachował powag , zwłaszcza gdy po wyrazie twarzy lady Stanhope poznał, e nazbyt pó no u wiadomiła sobie, jakie mog by nast pstwa pochopnie wypowiedzianych słów. Nim padła odpowied , po egnął si i zaci gn ł Kresyd do powozu, uprzejmie, lecz zdawkowo pozdrawiaj c znajomych parafian.

Kresyda milczała. Dot d trzymała si dzielnie, lecz gdy trzasn ły drzwi powozu i konie ruszyły, straciła cierpliwo .

- Dlaczego wmawiał pan lady Stanhope, e nie potrzebuj posady? Co to ma znaczy ? - W drodze do powozu obiecała sobie, e nie b dzie wi cej kl w obecno ci kuzyna, i teraz była dumna ze swego opanowania. No i prosz . Umiała wzi si w karby. Wystarczy spróbowa . Trzeba okaza siln wol .

- Dokładnie to, co powiedziałem - odparł. Zmru yła oczy, słysz c nonszalancki ton, ale zamiast wybuchn , zacz ła powtarza w duchu ulubion modlitw : „Uczy mnie, Bo e, naczyniem zgody i pokoju”.

- Postanowiłem wzi ci pod swoje skrzydła.

- Co takiego?!

Wypracowany spokój zmienił si natychmiast w furi .

- Nic z tych rzeczy! - zawołał pospiesznie, bo u wiadomił sobie, e jego uwaga mogła si wyda dwuznaczna. Jeste moj krewn .

- Bardzo dalek .

- Krewn i ju ! - powtórzył. - Twój ojciec pragnie zamieszka w moim domu. Jak e mógłbym pozwoli , eby jego córka włóczyła si samotnie po wiecie. Czy zdajesz sobie spraw , na jakie niebezpiecze stwa byłaby nara ona? Nie masz poj cia, jak si przed nimi uchroni .

- Bez obaw. Potrafi sama o siebie zadba .

- Nie ma takiej potrzeby.

- Ciekawe, jak zamierza pan skłoni lady Stanhope, eby nie rozsiewała plotek - zainteresowała si Kresyda.

- Ju si z tym uporałem. Lady Stanhope zapomni o płótkach, bo u wiadomiła sobie, e z powodu jej paplaniny pewien kawaler, uchodz cy za najlepsz parti w okolicy, b dzie musiał chroni dobre imi ubogiej krewnej, staj c z ni na lubnym kobiercu, zamiast o eni si z jej córki .

Kresyda raz i drugi odetchn ła gł boko. Nast pnie policzyła do dziesi ciu. Po chwili uznała, e jest zupełnie spokojna i nie wymknie jej si adne słówko niegodne damy. Zapytała tonem, którego słodycz nawet dla niej samej była zaskoczeniem.

- Czy wolno wiedzie , co pozwala panu s dzi , e przyj łabym tak uprzejme o wiadczyny?

- Och, nie mam w tpliwo ci, e dostałbym kosza... za pierwszym razem.

- Odmówiłabym kategorycznie i zdecydowanie. Gdy drwi co uniósł brwi, miała ochot go uderzy .

- Czy by? Nie do wiary! Zmarnowa tak okazj ! Dobrze si stało, e lady Stanhope nie poznała si na opłakanym stanie twego umysłu, bo inaczej nim doszliby my do powozu, miałyby zaszargan reputacj .

Nie wiedział, e i tak opu ciła Kornwali w niesławie, na razie lepiej mu o tym nie mówi .

- Czy zechciałby pan łaskawie wyjawi mi, dlaczego niech do po lubienia pana miałyby stanowi oznak zaburze umysłowych?

- Uchodz za dobr parti .

- Zarozumiały fircyk! - wyrwało si mimo woli Kresydzie. Ogarn ł j gniew. - Nie wszystkie kobiety chc bogato wyj za m , jakby

pieni dze były najwa niejsze. Niektóre szukaj m czynny, którego mogłyby szanowa . Respekt jest dla nich wa niejszy od zawarto ci portfela.

- Chcesz powiedzie , e nie ywiesz do mnie szacunku? Spojrzała na niego podejrzliwie. Jak miał z niej kpi !

- Ujm to w ten sposób. Nie potrafi wysoko ceni człowieka, który sugeruje, e przed niadaniem przetrzepie mi skór . ycz szcz cia panu i pannie Stanhope. Z pewno ci b dziecie razem bardzo szcz liwi. Niech Bóg broni, ebym udaremniła ten maria , któremu najwyra niej sprzyjaj niebiosa.

Wszystko zostało wyja nione. Jack Hamilton przez krótk chwil patrzył na Kresyd z niedowierzaniem, a nast pnie wybuchł gromkim miechem.

- To wszystko, ja nie panie?

- Prosz ? Ach tak. Dzi ki, Fincham. Dzi wieczorem nie b dziesz mi ju potrzebny.

- Dobranoc, ja nie panie.

- Dobranoc.

Drzwi zamkn ły si za Finchamem, a Jack sam poło ył si do łó ka. Wystarczy, e przy rozbieraniu trzeba mu było pomaga . Dalsza asysta słu by była dla niego nie do pomy lenia. Wiercił si na mi kkim postaniu, staraj c si tak uło y rami , eby jak najmniej dokuczalo. Owini ta we flanel gor ca cegła w nogach łó ka nastroiła go melancholijnie. Raz po raz z niepokojem my lał o uwadze sir Williama o innych sposobach ogrzewania po cieli.

Nie trzeba mu było o tym przypomina ! Po raz pierwszy w yciu zdarzyło mu si marzy o uwiedzeniu niewinnej dziewczyny. Z przera eniem stwierdził, e nawet w ko cieie opadały go grzeszne my li. Nic z tego nie b dzie. Jak mógłby pod swoim dachem uwie pann z dobrego domu, na dodatek kuzynk ? Pozwoliłby sobie na tak miało , gdyby miał szczery zamiar j po lubi , ale panna Kresyda Bramley nie nadawała si na jego on . Całkiem inaczej wyobra ał sobie idealn kandydatk .

Kresyda działała mu na nerwy. Zuchwała, wygadana, zbyt niezale na. M czynna, któremu marzy si ycie pełne spokoju i domowej harmonii, nie powinien wybiera na on takiej kobiety, nawet je li bardzo jej pragnie. Jack był zdania, e po danie nie stanowi dostatecznego powodu do o enku.

Jednak Kresyda miała te pewne atuty. Potrafiła go roz mieszy . Ta jej uwaga, e trudno szanowa m czyzn , który obiecuje da pannie klapsa przed niadaniem. Wi kszo kobiet po jego niefortunnym dictum dostałaby spazmów. Ale nie Kresyda. Odci ła si jak nale y, a gdy nieopatrznie zapytał, czy go szanuje, wykorzystaa sytuacj i błysn ła dowcipem. A jednak nie była dziewczyn dla niego, skoro wi c nie zamierzał jej po lubi , powinien trzyma r ce przy sobie.

Po trzech dniach Kresyda doszła do wniosku, e pomyliła si co do Jacka Hamiltona. Nie okazywał ju ochoty do umizgów i najwyra niej nie planował jej uwie . Ostentacyjnie nie zwracał na ni uwagi. Przy niadaniu witał si z ni uprzejmie, a potem w ogóle na ni nie patrzył i prawie si nie odzywał, je li nie liczy uwag dotycz cych biblioteki.

Kresyda odetchn ła z ulg . Uwodziciele s zwykle przymilni i weseli. Sypi pochlebstwami. Nie zaszywaj si w k cie biblioteki, nie mamrocz opryskliwie, gdy im si przynosi stos zalatuj cych st chlizn tomów. W porze obiadu uwodziciel nie prowadzi wybranki do stołu, id c sztywno, jakby kij połkn ł, i nie cofa ramienia, jakby go parzyło, ledwie panna usi dzie. Ta jawna niech niezbyt jej pochlebiała, ale dawała poczucie bezpiecze stwa.

Kresyda zacz ła darzy Jacka sympati . Podobała jej si serdeczno , jak okazywał słu bie. Uczucie to było odwzajemnione. Kresyda za miewała si , wspominaj c bur , któr Evans dał ja nie panu, gdy ten próbował w lizgn si niepostrze enie do domu. Poszedł wtedy na spacer bez szalika. Sytuacja była tym zabawniejsza, e kamerdyner rugał chlebobawc nadzwyczaj uprzejmie i dystygowanie.

U miechała si równie na wspomnienie słuchaj cego owej tyrady Jacka, który obiecał solennie, e nast pnym razem b dzie pami tał o ciepłym ubraniu. Był łagodny i potulny jak baranek, czym zadziwił Kresyd , bo na co dzie nie wygl dał na uosobienie spokoju. Sama tego do wiadczyła, poniewa wybuchał gniewem po ka dej jej wzmiance o temblaku.

Trzy dni pó niej doszła do wniosku, e zdaniem pana Hamiltona dzieli ich zbyt wiele, aby mogli ze sob rozmawia . Zapewne nie uwa ał jej za osob ze swojej sfery, a mimo to nie przestała go lubi . Do jej ojca odnosił si z szacunkiem i serdeczno ci . To było najwa niejsze. Zbli ał si dzie jej urodzin. Wkrótce b dzie mogła st d wyjecha , je li dostanie posad . Najpierw musi znale osob godn zaufania, która zechce da jej referencje.

Jack otworzył drzwi prowadzące do biblioteki. Za chwilę wciął w płuca powietrze przesycone kurzem.

Był również potrzebował całej siły woli, aby nie zerkał ukradkiem na Kresydę, wspinając się po drabinie i schodząc w dół. Wmawiał sobie, że tylko czuwa nad nią z obawy, aby nie spadła, lecz doskonale wiedział, że to kłamstwo. Fascynowały go szczupłe kostki, nie mówił jej o smukłych, zgrabnych łydkach.

Był zadowolony, że doktor Bramley krzyczał w drugim końcu biblioteki. Starszy pan oderwałby się wprawdzie od swoich księzek jedynie wtedy, kiedy w jego obecności doszłoby do masowego porwania Sabinek, ale sama jego obecność pomagała Jackowi trzymać się na wodzy. Wspierało go również podejrzenie, że Selina ze wszystkimi salonowymi sztuczkami nie dorasta do pięt przebiegłej Kresydy.

Wszedł do biblioteki i od razu spostrzegł, że doktora Bramleya nie ma. Jego oczom ukazała się za to wielce urokliwa domowa scenka. Kresyda siedziała w fotelu przy kominku i szyła. Nogi miała podwinęte i aksamitne stopy okryte tkaniną sukni. Od ciepłego blasku ognia poróżniały się blade zazwyczaj policzki. Płomienie miały ten sam kolor co jej kasztanowate włosy. Dziś po raz pierwszy zostawiła je rozpuszczone, zamiast spletać w warkocz i zwinąć w ciasny, niezbyt twarząwy kok. Spływały na ramiona, zasłaniając częściowo twarz widoczną z profilu. W tym momencie uświadomił sobie, co Kresyda robi.

- Do wszystkich diabłów! Co to ma znaczyć? Czym ty się zajmujesz? - spytał, trzaskając drzwiami.

Kresyda pisnęła wystraszona i zakląła paskudnie, bo ukuła się w palec. Włożyła go do ust i wysysała krew. Upuściła łataną koszulę, a za nią poleciał na podłogę koszyk z przyborami do szycia. Guziki, nici, szpilki potoczyły się we wszystkie strony.

Jack z zadowoleniem obserwował tę scenę. Kresyda była teraz tak jak on wytręcony z równowagi. Podeszedł bliżej i chwycił ją za nadgarstek koszulki. Wyrwała mu ją z ręki.

- Jak pan mi! - krzyknęła.

- To mój dom - oznajmił. Nagle spostrzegł na jej nosie smugę kurzu. - Mogę robić, co mi się podoba. A naprawianiem odzieży zajmuje się u mnie służba.

- Jest pan szczęśliwym. Gratuluję.

Jack miał ochotę potrząsnąć ją mocno, ale stłumił to pragnienie. Mógłby też ewentualnie scałować ją kurzem z jej nosa.

- Je li znowu przyłapi ci na zszywaniu moich rzeczy... - Zawiesił głos i wyci gn ł r k , daj c Kresydzie do zrozumienia, e powinna odda koszul .

Gdy wr czyła j bez dyskusji, ogarn ło go chełpliwe zadowolenie. Mo e uznała wreszcie, e nie warto tak si z nim droczy . To niesłychane, eby jako go zajmowała si szyciem i cerowaniem.

- Nie masz nic do powiedzenia, Kresydo? - Musi jej troch podokucza . Trudno oprze si takiej pokusie.

- A wolno mi si odezwa ? - spytała łagodnie.

Na widok jej u miechu od razu nabrał podejrze . Trzeba si mie na baczno ci.

- Koszula b dzie troch za w ska w ramionach, lecz moim zdaniem pokojówka bez trudu j dla pana poszerzy. Długo r kawów to powa niejszy problem. Obawiam si równie , czy kołnierzyk nie b dzie za ciasny.

W miar jak perorowała z rosn cym o ywieniem, zielone oczy coraz bardziej przypominały bryłki lodu.

- Oczywiście - dodała miodowym głosem - jest całkiem mo liwe, e taki łebski, a zarazem pot ny człowiek jak pan nie zdoła jej nawet wci gn przez głow .

Jack strzepn ł koszul i zakł ł. Była na niego za mała. Podejrzewał, e nie zdoła nawet wło y jej na ramiona.

- Mam nadziej , e zechce pan po yczy papie na kilka dni jedn ze swoich koszul, skoro ta wyj tkowo przypadła panu do gustu. Sama obszywam ojca, wi c potrzebuj troch czasu, eby skroi i wyko czy now .

Jack czuł, e si czerwieni. Po raz pierwszy w swym trzydziestosze cioletnim yciu wyszedł na kompletnego idiot . Nie przypominał sobie równie , kiedy ostatnio dostał rumie ców. By mo e nigdy jeszcze nie był tak zakłopotany.

- Wybacz, Kresydo - rzucił oschle. - S dziłem, e to moja koszula, e chcesz j ...

- Zniszczy ? - wpadła mu w słowo. - Porwa na kawałki? A mo e zaszy r kawy?

U miechn ł si cierpko. Młodsza siostra Nan robiła mu czasami takie psikusy. Gdy si jej naraził, zakradała si do jego pokoju i zeszywała starannie r kawy chłopci cych koszul. Ona równie była wygadana i bystra.

Teraz Kresyda spłon ła rumie cem.

- Masz na to ochot ?

- Ch tniej zaszyłabym panu usta - odcii ła si natychmiast. - A przeprosiny prosz sobie darowa . I tak stale pan na mnie wyklina. Zreszt wol to od nieszczerých wyrazów sympatii. Kłamstw nasłuchałam si a nadto. Starczy mi na całe ycie. Lepiej słucha pa skich złorzecze . Czy mog prosii o koszul ojca? Chciałabym j pozszywa .

Spełnił jej yczenie i ukl kł obok fotela. Miała racj . Sam nie wiedział, dlaczego tak si dzieje. Wybacz, kuzynko, ale jestem taki opryskliwy, bo nie mog zaci gn ci do łó ka, pomy łał ironicznie. Takie przeprosiny byłyby chyba niewystarczaj ce.

- Na miło bosk ! Co pan robi?

- Zbieram przybory do szycia. - Omal nie zakł ł, gdy uklł si w palec. - Ile ty masz tych cho... okropnych szpilek? Wsz dzie ich pełno.

- Sama nie wiem— odparła Kresyda. - Skoro wzi ł si pan do zbierania, prosz je policzy i łaskawie mnie poinformowa . Trzymam je w tym pudełku. - Wskazała drewnian szkatułk i si gn ła po ni jednocze nie z Jackiem.

Cudem unikn li zderzenia głowami. Spojrzeli na siebie z bliska.

Jack wpatrywał si w chmurne zielone oczy. Zamarł w bezruchu, podziwiaj c niezwykle długie rz sy. Zaskoczona Kresyda tak e na niego patrzyła. Czuł na wargach jej ciepły oddech. Kompletnie wytracony z równowagi nieopatrznie spojrział na ró ane usta, pi knie wykrojone, lekko rozchylone. Ciekawe, jaki maj smak. Mo e malin? Pochylił si i opuszkami palców musn ł jej policzek. Dłó ze lizgn ła si na szyj . Skóra była gładka, jedwabista. Nie znał dot d kobiety o równie delikatnej cerze. Marzył o pocałunku. Musiał urzeczywistni to pragnienie, które powracało raz po raz. Pochylił si jeszcze bardziej. Przez mgnienie oka dotknii tylko jej warg.

Kresyda gło no wci gn ła powietrze, odsun ła si gwałtownie i skoczyła na równe nogi, uderzaj c go niechc cy. Jack stracił równowag i upadł na parkiet.

Ból przeszył niesprawne rami .

- Cholera jasna! - Gdy odzyskał siły, nagle stał si podejrzliwy. Niech to wszyscy diabli! Znów wystrychn ła go na dudka.

- Panie Hamilton?

Niech tnie otworzył oczy i ujrział pochylon nad nim Kresyd . Z jej

twarży znikn ły wyraz przerażenia, a z zielonych oczu wyczierała troska. Zapewne udawana.

- Co panu dolega? Czy rami bardzo boli?
- Ale nie - skłamał.
- Moment, zaraz panu pomogę .

Nim zdążyła zaprotestować , ukiłła obok niego na podłodze, wsunęła mu rami pod lewy bark i usiłowała unieść go do pozycji siedzącej. Gdy otarła się o niego piersiami, znów poczuł ból, choć zupełnie inny.

-Do diaska! Po co ci to było? - spytał groźnie. Niech piekło pochłonie twoją kusicielkę . Nie cieszył się przecie jej szczególnie sympatią . Wodziła go za nos tak samo jak Se-lina, lecz ta wiadomo na nic się zdała, skoro po raz kolejny dała się omotać .

Kresyda znów czuła, że płonie jej policzki. Co z nią ? Jack pomylił się i chciał jej to wynagrodzić . Po co może czyzna taki jak pan Hamilton miałby całować kogo takiego jak ona? Przecie okazywał jej niemal jawne niechęć . Łagodny blask szarych oczu z pewnością był tylko złudzeniem, podobnie jak u miech, który przyprawił ją o szybsze bicie serca. To oczywiste, skoro teraz znowu patrzy na nią spodobała. A łagodna pieśczoć? Próbował zapewne zetrzeć smug kurzu z jej policzka.

-Proszę wybaczyć , że pana przewróciłam - oznajmiła. - Pan mnie przestraszył.

Jack prychnął gniewnie.

- Naprawdę bardzo mi przykro - zapewniła. - Pomyliłam się .
- Nie rozumiem - powiedział zdumiony. - Co chcesz przez to powiedzieć ?

Kresyda zbyt późno zorientowała się , że sama na siebie zastawiła pułapkę , lecz brnęła dalej.

- Nic ważnego - uciła dyskusję .
- Czy by? - Jack sprawiał wrażenie, jakby odzyskał pewność siebie. Usiadł na murku kominka, odruchowo pocierając obolałe rami .
- Proszę tego nie robić . Znowu się pan urazi - ostrzegła, wycierając rękę .

Nagle silne palce chwyciły jej nadgarstek.

- Proszę mnie puścić ! - Usiłowała wyrwać rękę .
- Zgoda, ale najpierw musisz mi powiedzieć , o co ci chodziło, gdy wspomniałaś , że się pomyliła .

Rozluźnił nieco ucisk, kciukiem gładząc grzbiet jej dłoni. Kresyda drżała jak w gorączce. Gdyby szarpnęła rękę , łatwo mogłaby ją uwolnić ,

ale gwałtowny ruch zaszkodziłby jego ramieniu.

- Prosz obieca , e nie b dzie pan ze mnie kpi , gdy wyznam prawd . - Czula si jak kretynka. Na domiar złego obawiała si , e papa łada chwila si obudzi, zjeździe na dół i zastanie ich razem na podłodze. Wzdrygn ła si , gdy u wiadomiła sobie, jak ojciec zareaguje na ten widok.

- Daj słowo. W mojej sferze to wystarczy – odparł powa nie Jack.

Kresyda posmutniała. Nie musiał jej przypomina , e pochodzi z ró nych wiatów.

- Wydawało mi si , e chce mnie pan pocałowa . Oczywiście cie wiem, e to bzdura, skoro nie zyskałam nawet pa skiej sympatii, ale tak mi si zdawało. Uznałam, e byłoby to niestosowne, wi c cofn łam si , eby pana powstrzyma , i wtedy... Naprawd nie zamierzałam pana przewrócić .

- Podejrzewała , e chciałem skra ci całusa? - upewnił si .

- Tak.

- Wolno spyta na jakiej podstawie?

- Wygl dał pan, jakby... Odniosłam wra enie... - Umilkła, czerwona ze wstydu i zakłopotania. Jasne, e nie o to mu chodziło.

- e łada chwila ci pocałuj , tak? - doko czył. - Zakładasz równie , i nie zyskała mojej sympatii, i wmawiasz sobie, e nie masz ochoty na takie karesy.

Ostro nie próbował wsta z podłogi. Kresyda odruchowo rzuciła si na pomoc.

- Nie! - burkn ł opryskliwie, ale zignorowała protest i miało pomogła mu si podnie .

Odsun ł si , ledwie stan ł na nogach.

- Panno Bramley - zacz ł oficjalnie - na przyszło prosz tego nie robi . Doskonale wiem w czym rzecz. Przekona si pani, e ze mnie trudny orzech do zgryzienia.

O co mu chodziło? Dlaczego zwrócił si do niej po nazwisku, chocia od kilku dni samowolnie u ywał imienia, czym doprowadzał j do szału? Była wstrz ni ta, gdy u wiadomiła sobie, jak bardzo rani j ten chłodny ton.

- Nie wolno mi panu pomaga ? Dlaczego? Przecie to moja wina, e wyl dował pan na podłodze. Prosz nie uwa a , e umy lnie sprawiłam panu ból. Nic z tych rzeczy! Przeciwnie! Wiem, jak ul y choremu. Mam do wiadczenie. Kiedy papie dokuczają podagra, biedak we

wszystkim zdaje się na mnie.

Jack poczerwieniał na twarzy i nadł się, jakby uchybiła jego godności. Czy by jej chęć niesienia pomocy była powątpiewaniem? Jego słowa zabrzmiały zagadkowo.

- Miała rację.

W jakiej sprawie? Co do pocałunku? Nagłe doznała oświecenia. Podejrzenia okazały się słuszne. Jack wywił do niej tak niechętnie, i sama mogła się dziwić, że chciał ją pocałować. Andrew tak nie miałby na to ochoty, gdyby nadarzył mu się ktoś lepszy. Sam jej to powiedział. Piegowata, ruda, na domiar złego z perkatym nosem.

- Rzeczywicie chciałem cię pocałować. Zamarła wstrząsnęła tym wyznaniem.

- Dlaczego? - spytała w osłupieniu. Natychmiast uznała, że należało ugryźć się w język, nim powiedziała takie głupstwo. Powinna go raczej spoliczkować, skarcić za swobodę obyczajów. Wypytywanie o powód szczególnej uwagi było nie do przyjęcia.

- D entelmenom zdarzają się takie potknięcia i chwile zapomnienia. Chciałem cię przypomnieć, młoda damo, że nie powinna przebywać sama w domu kawalera.

- Nie ma potrzeby. Gdy znów będzie pan miał ochotę na chwilę zapomnienia, proszę skoczyć w niego i posiedzieć w niej kilka godzin. A tymczasem dziękuję niebiosom, że moja skromna osoba nie przystaje do pańskich wysublimowanych gustów!

Rozkoczona chwyciła koszulę i pomaszerowała ku drzwiom.

- Kresydo!

Odwróciła się natychmiast i rzuciła bezceremonialnie:

- Id do diabła! Wolę by pannę Bramley! Dobranoc, ja nie panie.

Gdy trzasnęła drzwiami, Jack uznał, że ciekły na siebie, że powinno się go udusić poduszką, kiedy był jeszcze w kołysce. Jak miał wytłumaczyć Kresydzie, co się z nim dzieje, jeżeli sam nie mógł się w tym rozeznaczyć? Jednak trudno mu było przeprosić ją za nieopatrne słowa i postępowanie, bo każde spotkanie kończyło się kłótnią. Miała rację, proponując, aby w krytycznej chwili skoczył w niego i zaspłonił. Może pomylił się, sądząc, że celowo wodzi go na pokuszenie? Nic dziwnego, że trzasnęła drzwiami i pobiegła do swego pokoju. Na górze było zimno. Jack miał poczucie winy. Kresyda siedziała tu wygodnie przy ogniu, zszywając koszulę, nalecając do jej ojca. Nagle do biblioteki wpadł pan

domu i bezpodstawnie oskarżył ją o próbę uwiedzenia i zaciągnięcia podstępem przed ołtarz.

Jack zorientował się, że krąży niespokojnie wśród regałów, zamiast się udać do pracy, którą miał do wykonania. Zaczynał podejrzewać, że Kresyda nie ma pojęcia, o co mu chodziło. Powinien być zadowolony, że tak się stało.

I tak kipiała ze złości. Strach pomyśleć, jak by zareagowała, gdyby pojawił się, a chciał z niej zrobić swoją metresę.

Chodząc po bibliotece, zbliżył się do okna z szerokim parapetem, na którym Kresyda chętnie siadywała szczególnie wtedy, gdy i on był w bibliotece. Na poduszkach wyścielających parapet zobaczył kilka księzek. Zerknął na okładkę tomu tegoż na samym wierzchu. Hm. Sam wybrałby coś innego. Ann Radcliffe i... Sięgnął po następną księgę. Biografia Nelsona pióra Southeya! Różnorodnie zainteresowania nietypowe dla córki angielskiego pastora. Umiechnął się mimo woli. Kresyda jak zwykle okazała się nieprzewidywalna. Dlaczego nie wzięła księgi na górę, do sypialni, aby poczytać do poduszki?

Odpowiedź przyszła nagle i niespodziewanie. Kuzynka czuła się intruzem w jego domu. Dopiero teraz uświadomił sobie pewne drobiazgi, które wiadczyły o tym, że w swoim mniemaniu jest przez niego traktowana jak uboga krewna. Stała się podkreślała, że nie zamierza nikomu wchodzić w drogę ani zmieniać domowych zwyczajów. Księgi pozostawione w bibliotece były najlepszym tego dowodem. Czytała je, to oczywiste, a jednak nie zabrała do siebie. Po namyśle Jack doszedł do wniosku, że Kresyda nie zadzwoni na służbę, aby rozpalono u niej w kominku. Sama również tego nie robi.

Skoro on chce, aby miała ciepło w pokoju, musi o to zadbać albo przynajmniej dopilnować, aby ktoś ze służby się tym zajął. A jednak do pewnego stopnia Kresyda była przewidywalna. Gdyby teraz wszedł do jej pokoju, na pewno rzuciłaby w niego jakiś przedmiot. I słusznie, bo sam miał ochotę mocno sobie przyłożyć.

Minął kominek i pociągnął za tamten dzwonek. Machinalnie przyglądał się znajomym bibelotom i nagle coś go tknęło. Nie mógł się doliczyć jednego drobiazgu. Czego brakuje? Po chwili już wiedział. Gdzie jest chiński konik z nefrytu? Wczoraj był na swoim miejscu. Co się z nim stało?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kresyda jak burza wpadła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami. Usiadła na brzegu łóżka i zaczęła płakać. Nie było powodu. Oprócz stwierdzenia Jacka, że chciał ją pocałować jedynie dla kaprysu. Zapomniał się na chwilę i już. Zachmurzona podeszła do toaletki i spojrzała w lustro. Włosy, dawniej marchewkowe, mocno ciemniały i stały się kasztanowe. Była zima, więc piegi na nosie zbladły. Latem stawały się znacznie bardziej widoczne. Teraz były prawie niedostrzegalne. Ale ten nos! Nie mogła na niego patrzeć. Lekko zadarty. Nic z tym nie można zrobić. Zielonej barwy oczu też nie da się zmienić. Na szczęście ostatnio tu i ówdzie trochę się zakręgliła. W niektórych miejscach wręcz przesadnie. Aksamitna suknia, którą wkładała po południu, uszyta dla szesnastolatki, okazała się przyciasna dla kształtów panny dwudziestoletniej. Można obszyć dekolt koronką.

Popatrzyła na swoje odbicie. Brzydula! To smutna prawda, ale nie była urodziwa. Nic dziwnego, że dentelmen musiał się trochę zapomnieć, aby zwrócić uwagę na jej wspaniałe atuty. Powinna być wdzieczna, a w ogóle raczył ją dostrzec.

Długo siedziała przy toalecie. Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi.

- Kto tam? - Jeśli to Jack... Rozejrzała się, szukając wzrokiem dostatecznie ciemnego pocisku.

- To ja, Neli, panienko. Przyszłam rozpałić ogień. Do pokoju weszła rumiana dziewczyna. Uśmiechnęła się do Kresydy i powiedziała:

- Ja nie pan uznał, że panienka tu marznie, i kazał mi rozpałić ogień.

Zdumiona Kresyda nie wierzyła własnym uszom. Pokojówka wzięła milczenie za oznakę zgody. Szybko rozpałiła ogień i dołożyła sporo drewna.

- Gotowe, panienko. Ja nie pan kazał zapytać, czy chce panienka, abym przyniosła na tacy podwieczorek.

Po śmierci matki nikt się tak o nią nie troszczył. Tylko André w, ale to się nie liczy.

- Nie sędz.

- Moim zdaniem teraz powinna się panienka zdrzemnąć. Później podam herbatę. Proszę zadzwonić, gdy panienka będzie miała ochotę coś przekąsić.

Dziewczyna dygnęła i wyszła. Kresyda wpatrywała się w drzwi, próbując sobie wyobrazić, jak matka Andrew zareagowałaby na tak poufale słuchając. Jeszcze trudniej było uwierzyć, że pokojówka mogłaby okazać tej damie tyle uczynliwość. Nie uszło uwagi Kresydy, że słuchając z wielką troskliwością krzątała się wokół Jacka. Wszyscy bardzo się przejmowali jego obolałym ramieniem i złamanym obojczykiem. Skąd u nich takie nastawienie? Gdzie się tego nauczyli?

Zauważyła, że owa nadopiekuńczyczość sto denerwowała Jacka, ale nie burczał na swoich ludzi, lecz starał się schodzić im z drogi, nie ranić ich uczu. Szczególna uczynliwość okazywana przez Jacka słuchającym w podeszłym wieku także była dla niej nowością.

Przysłał do sypialni ubogiej krewnej pokojówek, żeby napaliła w kominku i zaproponowała podwieczorek. Ciekawe dlaczego. Może chce wkraść się w moje łaski? Nie, to do niego niepodobne, zwłaszcza że mnie nie lubi. Po co miałby zadawać sobie tyle trudu? Kresyda zdjęła pantofle, położyła się na posłaniu i przykryła narzut.

Zmierzchało, kiedy się obudziła. Ziewnęła szeroko, usiadła na łóżku i rozejrzała się. Ze zdumieniem stwierdziła, że ogień wciąż się pali w kominku. Powinien dawno zgasnąć, skoro przespała dobre parę godzin. Czy by słuchająca przyszła ponownie? Zrobiło jej się ciepło na sercu, bo kto znowu troszczył się o jej potrzeby, o dobre samopoczucie, dbając, żeby nie zmarła.

Przeciwnie gnęła się ostro nie, opuściła nogi na podłogę i nagle spostrzegła swój koszyk z przyborami do szycia, stojący na krześle. Zmarszczyła brwi. Majaczył niewyraźnie w półmroku. Co leżało na wierzchu. Podeszła bliżej, żeby się przyjrzeć. Nie wierzyła własnym oczom. Bukieciak przebił niegów oraz książki włożyła nie przez nie czytane. Kwiaty przewiazane srebrną wsteczką leżały na jednym z tomów wraz z opieczonym listem.

Sięgnęła po niego drzwiczymi palcami, złamała pieczęć i przebiegła wzrokiem krótki tekst.

„Moja droga Kresydo!

„Słusznie gniewałaś się na mnie. Zachowałem się haniebnie. To miałem na myśli, gdy wspomniałem o chwili zapomnienia. Przyznaj, że niewiele brakowało, abym stracił głowę i skradł całusa. Nie musisz się wcale zapominać, żeby marzyć o pocałunku. Mam nadzieję, że pozbierałem wszystkie rozsypane szpilki, ale zapomniałem je policzyć. Bardzo proszę, żeby zechciałaś przyjąć moje przeprosiny.

Jack

Ani słowa o przebi niegach. Si gn ła po nie i przez chwil wdychała delikatny, wie y zapach. Mimo zimowej aury Jack, nie baczc na obolałe rami , wyszedł do ogrodu, eby poszuka dla niej kwiatów. Na dodatek przysłał na gór ksi ki, które wła nie czytała, lecz nie miała wynie ich z biblioteki. Czy by w ten sposób chciał jej da do zrozumienia, e jest tu mile widziana?

Tym razem sytuacja była inna. Próba uwiedzenia podj ta przez Andrew miała miejsce w okoliczno ciach wielce dla niego niekorzystnych, niemal na oczach całego s siedztwa. Tymczasem Jack go cił potencjaln ofiar w swoim dworze, wi c było mu o wiele łatwiej. Nie musiał szczególnie si wysila , eby j uwie .

Och, jak mo na roi sobie podobne głupstwa! Sk d pomysł, e Jack ma takie zamiary? Przecie jej nie lubi i wcale nie uwa a za urodziw . Wspomniał, e chciałby j pocałowa , ale m czyznom zdarzaj si przypadkowe zachcianki. Tak powiadała mama. Kazał pokojówce przynie na gór koszyk i ksi ki, bo czuł si winny. Nic wi cej.

Z zamy lenia wyrwało j ciche pukanie do drzwi.

-Prosz wej .

Słu ca wsun ła głow do pokoju.

- O, panienska si obudziła. Zaraz podam podwieczorek, dobrze?

- Doskonały pomysł. Dzi ki, e doło yła do ognia i przyniosła moje przybory do szycia. - Wskazała koszyk.

- Ja, panienko? Och, nie! Razem ze wszystkimi pomagałam pani Roberts. - Pokojówka u miechn ła si i wyszła.

Kresyda natychmiast domy liła si , e Jack był w jej pokoju. A w korytarzu zapewne nikogo nie było! Ojciec miał pokój w tym samym skrzydle co Jack. Nawet gdyby nie za ywał laudanum, z daleka nie usłyszałby jej głosu. Zreszt i tak nie miałyby wzywa pomocy, zwa ywszy na to, jakie były konsekwencje niedawnej interwencji ojca.

Z niedowierzaniem zadała sobie pytanie, dlaczego tak le my li o Jacku Hamiltonie. Była podejrzliwa i wrogo nastawiona. Tylko dlatego, e przystojny m czyzna chciał jej skra całusa i przyznał si do tego, a potem ofiarował bukiet przebi niegów, aby przeprosi za swój nietakt? Jack był d entelmenem w ka dym calu. Jak mogła s dzi , e zachowa si podle?

W gł bi ducha nie wierzyła, e byłby do tego zdolny. Przez chwil

ods dzała go od czci i wiary jedynie dlatego, e wszedł do jej pokoju. To przecie jego dom, cho trzeba przyzna, e odwiedziny u kobiety pogr onej we nie stanowi powa ne wykroczenie przeciwko zasadom dobrego tonu. Ale do upadku i poha bienia jeszcze daleka droga. Nie chciała przyj do wiadomo ci, e Jack Hamilton gotów jest posun si tak daleko.

Z drugiej strony jednak byłoby dla niej o wiele lepiej, gdyby wzi ła pod uwag tak mo liwo . Za wszelk cen trzeba zachowa dystans i dopilnowa, eby Jack nie próbował si do niej zbli y .

Szcz liwym zrz dniem losu papa bez trudu znalazł posad, która jest dla niego idealna. Co wi cej, nie b dzie ju zdany na opiek córki, bo tutaj znacznie lepiej zadbaj o jego codzienne potrzeby i zatroszcz si o wszystko jak nale y. Sama nie dałaby rady zapewni mu tego wszystkiego.

Przyśi gła sobie, e b dzie si mie na baczno ci. Nie mogła ryzykowa z obawy, e zaszkodzi ojcu. Nie słuchała głosu, który podpowiadał, e znacznie bardziej l ka si utraci wewn trzny spokój. Od Jacka Hamiltona dzieliła j przepa . Sama przypominała stokratk, a on był sło cem, które daje ciepło i blask.

Siedz cy w fotelu Jack raz po raz nerwowo zmieniał pozycj, próbuj c skupi si na wywodach wielebneho Bramleya, który rozprawiał o redniowiecznych r kopisach. Pró ny trud. Jack siedział jak na szpilkach.

Rami ju mu nie dokuczalo, bole ci ust piły. Wszystko było w porz dku, je li pami tał, eby si nim nie posługiwa . Osoba b d ca przyczyn jego niepokoju siedziała po drugiej stronie stołu i jadła obiad. Czemu zostawił jej kwiaty? Chyba mu rozum odj ło! Zrobił z siebie idiot tylko dlatego, e tej licznotce udało si wmówi mu, e czuje si ura ona jego nazbyt swobodnym zachowaniem.

Rzecz jasna o adnej urazie nie było mowy. Gdyby naprawd miała mu za złe tamten wybryk, nie siedziałyby teraz przy stole w obcistej zielonej sukni. Kreacja niew tpliwie została wybrana z my l o podkre leniu kobiecych wdzi ków, a panna ledwie oddychała w tych aksamitach. Gdyby nie skrawek koronki u dekoltu, apetyczne okr gło ci byłyby niemal całkiem odsłoni te. Skromny a ur skrywał je tylko z pozoru, a w istocie podkre lał i przyci gał oczy.

Jack czuł si bezradny. Nie mógł nakaza pokojówce, która jej usługiwała, eby przygotowała inny strój. Jego ludzie byli dyskretni i

wyrozumieli, lecz nawet oni by o tym plotkowali. Ba! Sam miałbym to i owo do powiedzenia, gdyby doszły go słuchy o takiej domowej tyranii, pomyślał, krzywiąc się.

Jednak musiał przyznać, że Kresyda po mistrzowsku zachowywała pozory skromności i była uosobieniem dobrych manier. Ledwie na niego spojrzała, gdy pomagał jej usiąść przy stole. Wyznała miało, że zna treść bileciku, i przyjęła przeprosiny, a potem milczała jak zakłamanie, odzywając się jedynie wówczas, gdy ją zagadano. Odpowiadała monosylabami i znowu milkła. Aha. Pewnie boczy się na niego, bo z niej zakpił.

Ojciec Kresydy nie zorientował się, że przy stole panuje napięta atmosfera.

- Zrozum, drogi chłopcze. Ten manuskrypt jest tak pięknie iluminowany, że wykluczam...

Jack najwyśzymszym wysiłkiem woli zmusił się do słuchania. Wielebny zapewne miał rację, ale...

- Co o tym myśli Kresyda? - zapytał. Teraz będzie musiała powiedzieć coś więcej. Potwierdzenie lub zaprzeczenie nie wystarczy.

Podniosła głowę znad serwetki, którą włą nie składała.

- Co myślisz? - Bezpo piechu odłożyła ją na stół. - Moim zdaniem już czas, abym uwolniła panów od mego towarzystwa. Zapewne chcecie zostać sami ze swoim portem.

Jack wstał, klnąc w duchu. Kresyda także podniosła się z krzesła i podeszła do ojca.

- Dobranoc, papo.

- Dobranoc, córeczko - odparł z roztargnieniem. - Postawiła mi flakon z laudanum na nocnym stoliku?

Jack spostrzegł, że spochmurniała. Działała mu na nerwy, ale musiał przyznać, że wobec ojca była naprawdę opiekuńcza. Miał wrażenie, że dla niego gotowa jest na wszelkie poświęcenia. To jej dodawało uroku, a Jack ani myślał negocjować, że docenia wszelkie wdzięki uroczej kuzynki. Nie krył tego przed sobą, że łatwo poddaje się ich magii.

- Owszem, ale czy nie sądzisz, papo...

- Dzięki, moja droga. Pamiętaj, że dokuczają mi tylko dek.

Pochyliła się, aby pocałować go w czoło, a Jack miał sposobność z bliska przyjrzeć się uroczym okrogłościom.

- Pamiętaj, wystarczy kilka kropeł. Dobranoc - powiedziała.

Jack odprowadził ją wzrokiem, gdy wychodziła z jadalni. Podziwiał

liczne plecy, szczerzył tali i kręgle biodra. Tłumaczył sobie, że tak dłużej by nie mógł. Najwyższy czas uwiadomił siebie, jak niebezpieczna bywa namiot, która otumania może czynić do tego stopnia, że przestaje się dla niego liczyć inne aspekty udanego małżeństwa, na przykład wspólnota zainteresowań i wzajemna przyjaźń. Dla swego dobra nie powinien wspominać, jak niewinnie wyglądała Kresyda, pocięta z dłoni pod rumianym policzkiem. Kołdra zsunęła się z jej ramion. Lepiej nie myśleć, że nie wierzyła się uroczo, próbując ją naciągnąć.

Cholera. Niech to wszyscy... Po co tam laź? Obiecał sobie, że nigdy więcej nie zrobi podobnego głupstwa.

- Co to za szpargały? Po co je tu przyniosła? Opryskliwy ton Jacka sprawił, że Kresyda nie mogła się już skoncentrować. Podniosła głowę ponad papierówkę i zmarszczyła brwi. Nic nowego. Takie zachowanie było dla niego typowe. Okazał się zmienny i chimeryczny. Ledwie przywykła do określonego sposobu postępowania, zaczynał zachowywać się inaczej. Z pewnością ci uznał teraz, że w ciubia nos w nie swoje sprawy. Może istotnie nie powinna zaglądać do tego pudła, ale trafiła na skarby. Myszkowała wśród nich, siedząc na wyściełanym poduszkami parapecie okna, przez które wpadały promienie bladego zimowego słońca. Była tak zafrapowana, że nim się obejrzała, wokół niej leżały dziesiątki poślizgniętych kartek. Siedziała tu sama, bo papa leżał tej nocy, a rano miał lekką gorączkę, więc namówił go, aby nie wstawał z łóżka.

- Wspomniał pan, że zbiory biblioteczne mają być jak najszyciej skatalogowane, a dokumenty posegregowane, czy nie? - przypomniała.

- Owszem - przyznał - ale to mi wygląda na zapiski mojej prababci. Z pewnością ci nie ma tu nic ciekawego.

Kresyda prychnęła z oburzeniem. I ciebie po prostu! Panowie uważają, że kobiety nie mają nic ważnego do przekazania.

- Chciałabym panu uwiadomić, że bez kobiet wy, mężczyźni, pomarlibyście z głodu - oznajmiła. - Zauważyłam, że lubi pan konfitury. Proszę bardzo, oto przepisy na pańskie ulubione przysmaki. Tu jest napisane, jak robić powidła liwkowe i dżem z wiśni, a nawet galaretkę z pigwy. Szczerze mówiąc, w tym, aby pigwa owocowała w tych stronach. Jest za zimno. Patrzmy dalej. Nie uszło mojej uwagi, że

ka e pan starannie woskowa meble. Wcierana w nie mikstura zawiera pewnie lawend , bo w całym domu czuje si jej zapach. Oto receptura na past do drewna. - Pomachała mu przed nosem po ółk kartk , na której kto zanotował, w jakich proporcjach miesza wosk pszczeli z pozostałymi ingrediencjami.

Jack patrzył na ni z zaciekawieniem.

- Prosz si nad tym zastanowi - ci gn ła. - Oto ksi gi, w których pa ska prababcia notowała wszystkie wydatki. Mo na si z nich dowiedzie , w jaki sposób prowadziła dom, kto przyje d ał w odwiedziny, a nawet jak si ubrała kiedy podejmowała ksi cia Rutland. To frapuj ce. Mo na dowiedzie si , jak ludzie yli, jakie były ich rozrywki, co jedli na niadanie. Wszystko tu jest, czarno na białym. Takie zapiski s równie zajmuj ce jak monografia Tukidydesa i ci gn ca si w niesko czono wojna peloponeska.

W my leniu Jacka z miejsca nast piły powa ne przetasowania. Nagle zac ł si zastanawia , co Tukidydes najch tniej jadał na niadanie.

Pami tał, e prababcia mieszkała w Dower House. Umarła, kiedy miał dziesi lat. Z rana podawano jej jajecznic na szynce. Pewnego ranka niespodziewanie poprosiła o herbat i pi minut pó niej nie yła.

Przygl dał si papierom rozło onym na parapecie. Tu i ówdzie rozpoznawał ozdobione zawijasami pismo prababci. Niektóre kartki wydawały si starsze od jej notatek. Kiedy odeszła, wszystkie papierzyska przewieziono tutaj i umieszczono w du ym pudle. Z czasem domownicy o nim zapomnieli. Jack od lat nie my łał o wiekowej damie. Teraz wspomnienia powróciły.

Razem z Nan ch tnie biegali w odwiedziny do Dower House. Prababcia gderala, e s okropnymi łasuchami, ale sama podsuwała im tace z ciasteczkami. Nie zwracali uwagi na te utyskiwania, bo kiedy ich łajala, w oczach miała wesołe iskierki. Niemal czuł zapach pierniczków, którymi ich cz stowała. Były ciepłe, wie o wyj te z pieca.

Jako mały chłopiec zastanawiał si , sk d wiedziala, kiedy do niej przybiegn . Zawsze na czas wydawała dyspozycje kucharce, a gdy wpadali do holu, ciasteczka były gotowe. Wiele lat pó niej odkrył, e boczne drzwi, którymi on i Nan zwykle wymykali si z domu, były widoczne z okien salonu Dower House. Oczywiście wyobra ni niemal widział, jak prababcia opuszcza go w po piechu i drepce do kuchni, eby wyda kucharce polecenia, a potem wraca do salonu i wita go ci, łajaj c ich, e niepotrzebnie tak w sz , bo im nosy poodpadaj .

Odruchowo sięgnął po plik kartek i zaczął je przeglądać. Gdy spojrzał na Kresydę, zorientował się, że bacznie go obserwuje.

- Szuka pan czego? Zaramienił się, mocno zakłopotany.

- Miała przepis na pierniki - zaczął i nagle umilkł, bo nie umiał wyrazić, jak to wspomnienie na niego wpłynęło. Nie chodziło jedynie o to, że chciałby znów spróbować domowych ciasteczek. Przypominały mu dzieciństwo: długie dni wypełnione łowieniem ryb z Nan, lekcjami konnej jazdy i odwiedzinami w Dower House.

Kresyda spowaśniała i sięgnęła po niewielki stosik kartek. Zaczęła je przeglądać, lecz po chwili odłożyła na bok.

- Nie, trzeba poszukać gdzieś indziej. Układam zapiski według zagadnień, na przykład ziołowe mikstury, rodki czysto ci i tak dalej. Jest tu przepis na balsam rumiankowy. Może na by nim nacierać pałki bark. Z pewnościami pomoże, jeśli nie będzie pan zapominał o temblaku.

- Mój kamerdyner dostał już takie smarowidło od pani Roberts - przyznał z uśmiechem Jack. To dziwne, ale te dobroduszne potajanki sprawiły mu przyjemność. - Pilnuje, abym regularnie stosował te maści wieczorami.

Zrobiło mu się ciepło na sercu, gdy Kresyda poweselała.

- Doskonale - odparła. - Zaraz, gdzie ja to widziałam... rodki czysto ci, nalewki. Aha, mam! Przepis na pierniki. Cynamon, imbir, gałka muszkatołowa... O to chodzi, prawda? - upewniła się, podnosząc głowę i spoglądając na niego porozumiewawczo.

Jackowi linka napłynęła do ust.

- Tak. Na pewno.

Spojrzała z ukosa i przeczytała notatkę, naładując władczy ton ludzi starej daty:

- Niech kucharka podwoi ilość składników. Jack i Nan są okropnie łakomi.

Chichocząc, zsunęła się z parapetu i ruszyła ku drzwiom.

- Dokąd idziesz? — spytał zaniepokojony, że go opuszcza.

- Do mego pokoju. - Odwróciła się do niego z uśmiechem. - To chyba oczywiste. Charakter pisma pańskiej babci nie jest łatwy do odczytania. Przepisz jej notatki i dam kopiować kucharce. Na podwieczorek będzie pan miał swoje pierniczki. Wbrew pozorom takie drobniaczki są niesłychanie ważne. Doskonale to rozumiem. Ilekroć wkładam skromne precjoza mojej mamy, zawsze o niej myślę. Pozwól sobie zauważyć, że pańska ciasteczka są również takim przypomnieniem.

Mo e pewnego dnia pa skie prawnucz ta tak e b d o nich rozmawia z wielkim sentymentem.

Jack wpatrywał si w ni , póki nie znikn ła za drzwiami. W jaki sposób domy liła si , co czuł, skoro on sam nie potrafił tego ubra w słowa? Ciekawe, dlaczego tak si tym przejął. Do diaska, przepis na pierniczki wydawał si równie wa ny dla rodowej tradycji jak herb umieszczony nad kominkiem. Pokr cił głow i zaczął przegląda zawarto pudła.

Po chwili znieruchomiał w pół gestu. To zaj cie Kresydy... Najwyra niej oddawała mu si z przyjemno ci . By mo e b dzie niezadowolona, e zaczął grzeba w papierach, które segregowała. Bez w tpienia Kresyda potrzebuje własnego biurka. B dzie miała wtedy do miejsca, eby układa stare kartki i samej robi zapiski.

Rozejrzał si po bibliotece. Odziedziczony po ojcu stół do pracy, dokumentnie zawalony ksi kami i papierami, stał przy kominku. Drugi, przygotowany dla wielebnego Bramleya, był podobnie zagracony, z białym ledwie widocznym spod tomów, r kopisów i lu nych kartek. To dziwne, ale panował na nim wi kszy ład ni na stole Jacka, który natychmiast uznał, e wida tu r k Kresydy, zawsze pomocnej ojcu.

Na razie nie miała w bibliotece własnego miejsca do pracy, ale mo na by tu przynie sekretarzyk z buduaru jego matki. Doskonały pomysł. Cz biału była wysuwana; u ywało si go tylko w razie konieczno ci. Dzi ki temu sekretarzyk zajmował mało miejsca. Gdyby odpowiednio ustawi go przy oknie, Kresyda mogłaby tam pracowa , a czyta na wy ciełanym parapecie, je li przyjdzie jej na to ochota. Sprawiała wra enie bardzo zadowolonej, kiedy tam siedziała.

Jack zdecydowanym ruchem poci gn ła za ta m dzwonka, bo chciał, eby sekretarzyk został przeniesiony do biblioteki przed powrotem Kresydy. Trzeba jasno i wyra nie ustali , e tylko ona ma przy nim pracowa . Zacz ła si zastanawia , czego jej jeszcze potrzeba, i ogarn ło go przyjemne zadowolenie. Czuł, e post puje wła ciwie. O tak! Zrobił, co nale y.

Kresyda ze zdumieniem spogl dała na mahoniowy sekretarzyk. Stał przy oknie pod idealnym k tem. Na blacie

umieszczono w nienagannym porz dku wszystkie jej rzeczy. Ciekawe, sk d si tu wzi ła ten mebel. Z zadumy wyrwało j dyskretne chrz kni cie.

- Czy sekretarzyk został wła ciwie ustawiony, panno Kresydo?

Odwróciła się i ujrzała Evansa, który spoglądał na nią z wyrozumiałym uśmiechem dobrego wujaszka.

- Tak, ale...

- Ja nie pan zapewnił, że to najwłaściwsze miejsce, lecz jeśli panienka chce przesunąć...

Skąd Jack wiedział, że ze względu na cudowne światło uwielbiała przesiadywać na szerokim parapecie? Teraz będzie mogła czytać w oknie, a pisać przy sekretarzyku.

- Nie, dziękuję. Tak jest dobrze - zapewniła Evansa. - Kto przeniósł moje papiery? - Zerknęła na stosy kartek ułożonych tak, jak je zostawiła.

- Ja nie pan - odparł Evans i zachichotał. - Nie pozwolił nam ich dotknąć. Opowiedział wszystkim, że panienka znalazła przepis na pierniki naszej lady Kate. Podobno natychmiast zaniósł go panienka kucharce. - Evans jeszcze bardziej się rozpromienił. - Pamiętaj o tym ciastku. Kucharka nie, bo pracuje u nas zaledwie dwa lata. Jest nowa, lecz moim zdaniem poradzi sobie i upiecze pierniki.

Kresyda mimo woli parsknęła śmiechem. Nowa! Tak Evans powiedział o kobiecie zatrudnionej u Hamiltonów od wierszowego czasu! Gotowa była wziąć na serio te słowa, ale zmieniła zdanie, gdy mrugnęła do niej porozumiewawczo.

- Jak długo wy tu służycie, Evans?

- Ja, panienko? - zamyslił się. — Urodziłem się w maju. Mój dziadzio był kamerdynerem u dziadka, a nie pana. Pamiętam tam z dzieciństwa, że lady Kate już wtedy mieszkała w Dower House. Piekła pierniki dla taty, a nie pana na długo przed narodzinami jego i panienki Nan. Sekretarzyk ustawiony, jak trzeba, wiec idź do swoich zajęć.

Kresyda usiadła i spojrzała na starannie ułożone papiery. Jack sam je tutaj przeniósł. Dopilnował, żeby nikt ich nie przekładał. Chciał, żeby miała własny kąt do pracy. Drżącymi palcami dotknęła niewielkiego pulpitu z przyborami do pisania. Zadbano o wszystko. Miseczka z piaskiem, napełniony kałamarz, pióra. Niczego nie brak. Był nawet nożyk do ostrzenia piór, żeby nie robiła kleksów. I lampa.

Dlaczego tak się starał?

Nie warto się nad tym zastanawiać. To przemijający gest, wiadczycy o trosce, wolny od protekcjonalności. Trzeba jednak pamiętać, że gdyby pokochała wielmożnego pana Jacka Hamiltona, okazałaby się idiotką.

Nagle zrobiło jej się przyjemnie ciepło. Zmarszczyła brwi. To

dziwne. Nie siedziała przecie obok kominka. W tym k cie pokoju panował zwykle chłód, a mimo to czuła ciepło. Zaskoczona pochyliła si i zerkn ła pod sekretarzyk. Ku swojemu ogromnemu zdziwieniu ujrzała metalow skrzynk odlan z br zu, która miała wieczko i otwory po bokach. Napełniony arem staromodny piecyk do ogrzewania stóp. Serce zabiło jej mocniej.

Wyprostowała si powoli i siedziała wpatrzone w przybory do pisania. Trzeba uwa a . Gdyby niech cy kopn ła

piecyk i przewróciła go, z jednej iskry buchn łyby wielki płomie .

Jack usłyszał za plecami znajome kroki Evansa, zmierzaj c do biblioteki. Wyszedł stamt d jaki czas temu, bo chciał, eby Kresyda była sama, kiedy zauwa y nowy mebel. Teraz łaował pochopnej decyzji, bo wolałby j widzie i przekona si , czy sekretarzyk jej si podoba. Był niespokojny, poniewa nie miał pewno ci, czy pomy łał o wszystkim.

- Nareszcie ja nie pana znalazłem. Zaniepokojony Jack odwrócił si , słysz c tryumfalny ton w głosie Evansa.

- I có ? Czy...

Nagle umilkł, bo charakterystyczny wyraz twarzy kamerdynera stanowił widomy dowód, e kto przyjechał w odwiedziny.

- Nie teraz, człowieku! Kogó to diabli nios ? - Mo na by nakaza Evansowi, aby powiedział, e ja nie pana nie ma w domu, bo poszedł na długi spacer, ale stary sługa nie tolerował takich wybryków. Jack czuł na sobie jego karc ce spojrzenie.

- Przyjechali pa stwo Stanhope'owie, prosz ja nie pana.

Evans zwracał si do niego tak oficjalnie tylko wówczas, gdy chciał przypomnie , co przystoi d entelmenowi z wy szych sfer.

- Trudno - burkn ł Jack. Pa stwo Stanhope'owie! Na pewno przywlekli ze sob trzepocz c rz sami córk , która tylko czeka, eby wesprze si na jego ramieniu. Gdy porazi go paroksyzm bólu, b dzie udawa czuł samarytank .

- Dok d ich zaprowadziłe ? - spytał opryskliwie, ale od ta twarz lokaja sprawiła, e natychmiast przywołał si do porz dku. - No jasne. Do salonu. Wybacz, Evans. Ju tam id . Ka poda herbat . - Co mu si przypomniło.

- Aha, powiedz pannie Kresydzie, e mamy go ci, a podwieczorek jemy w salonie.

Odwiedziny Stanhope'ów mog by całkiem zabawne, je li Kresyda zechce przył czy si do towarzystwa. Poza tym musi da lady Stanhope

do zrozumienia, a panna Bramley należała do rodziny i tak ma być traktowana. Niech tamci nie myślą, że to uboga krewna.

Zaczęło się fatalnie. Od razu stało się wiadome, że lady Stanhope postanowiła zachęcić siostrę, aby miała więcej czasu o jej córce.

- Wiem, co jest na rzeczy, jak powiadacie wy, młodzi, i dlaczego panie tak się rwy do powożenia. Według mojej opinii znamy się tak długo, że ja i sir William możemy prosić pana o udzielenie naszej kochanej Alison lekcji powożenia. Chyba nie będzie pan miał nic przeciwko temu. Niech pan jej pokaże, jak się pociąga za lejce.

- Zachichotała. - Chyba w powożeniu obowiązuje pewne reguły.

Jack najchętniej by odparł, że nic z tego, bo ma spore obiekcje. Widział, jak Alison szpicrut bije konia po chrapach, i wzdragał się na myśl o powierzeniu krewkiej pannie słychających rumaków. Ta jednak nie miała serca do koni. Ani razu nie widział, żeby głaskała któregoś, przemawiała do niego czule albo młodziwieca do wysiłku. Potrafiła je tylko okładać szpicrutem lub spinać ostrogami.

Właśnie nie wyraził nieszczerą, ale musi sobie odmówić przyjemności wprowadzenia panny Stanhope w arkana sztuki powożenia, gdy podano herbatę. Evans zadysponował, żeby oprócz zwykłych kanapek i babeczek przyniesiono także upieczone pierniki. Jack wiedział, że sir William jest wielkim amatorem łakoci. Ten obartuch pochłonął kiedyś na jego oczach wszystkie kruche ciastka, które podano gościom. Gdzie Kresyda? Jeśli teraz nie przyjdzie, pierniki znikną.

- Czy pani zdaje sobie sprawę, milady, na co naraża się młoda dziewczyna, która sama powozi? - zapytał, zastanawiając się gorczkowo, w jaki sposób odwróci uwagę sir Williama od apetycznych pierników.

- Próbował pan babeczek z konfiturą jagodową? W tym roku jest wyjątkowo smaczna.

Gadał niczym własna matka!

Sir William machnął ręką i skwitował owe starania.

- Nie przejmuj się mną, drogi chłopcze. Wystarczy mi pierniki.

Jack, z trudem skrywając wrogość, obserwował starszego pana, sięgającego do spustoszonej wódki pierników. Według obowiązujących reguł niezapowiedziana wizyta powinna trwać około pół godziny. Jack zerknął ukradkiem na zegar kominkowy i stwierdził, że pozostał kwadrans, a zatem pierniki należały się na straty. Ani jeden nie ocalał. Kresyda, ukryta w bezpiecznym zaciszu biblioteki, bez wątpienia

postanowiła zostawić go własnemu losowi.

Lady Stanhope chyba czytała w jego myślach, bo zapytała:

- A gdzie pańska kuzyneczka, panna Brambly? Dobrze zapamiętała nazwisko, prawda?

- Panna Brambly - poprawił Jack łagodnym tonem - jest w bibliotece.

- Ach, rozumiem - odparła lady Stanhope. - Bardzo mi drży. Obawiam się, że czułaby się skrępowana, gdyby piła tu z nami herbatę. Miałam kuzynkę, której trzeba było jasno i wyraźnie dawać do zrozumienia, że posiłki ma jeść w bibliotece. Nieprzyjemna sytuacja. Proszę sobie wyobrazić, że pchała się do salonu. Co za tupet!

Jack niemal się nie udławił, słysząc uwagi, z których wynikało, jakoby pokazał ubogiej krewnej, gdzie jej miejsce. Natychmiast zmienił temat i zapytał, kiedy Stanhope'owie zamierzają wyjechać do Londynu.

- Ach tak! Wyjazd. Sama nie wiem. Jeszcze nie postanowiłam, kiedy wyruszymy - zwierzyła się lady Stanhope. - To prawda, że w ubiegłym roku bawili się znakomicie, a nasza kochana Alison miała wielkie powodzenie. Jestem bardzo rada, że chacie pan z nią być. Ale takie wyprawy są męczące. Sądzi, że w tym roku wybierzemy się nieco później.

Na sam myśl o kolejnym tańcu z panną Stanhope Jacka natychmiast rozboleła ramię, więc postanowił sobie, że najbliższy sezon spędzi na prowincji, w swoim majątku. Wiosna na wsi jest ładniejsza niż w mieście.

- Kiedy pan rusza do stolicy? - Panna Stanhope obrzuciła go powłóczęstym spojrzeniem i zatrzepotała rękami.

Jack, pełen najgorszych przeczuć, postanowił skłamać.

- Przy pierwszej nadarzającej się sposobności, panno Stanhope. - Niemal słyszał, jak ta dziewczucha rewiduje plany, biorąc za dobre monetę jego kłamstwa. Wybornie! Zamierzał ostentacyjnie czynić przygotowania do podróży, a nawet opuścić majątek i stanąć na parę dni w londyńskim domu. Gdy Stanhope'owie szczęśliwie wprowadzili się do wynajmowanej kamienicy, natychmiast wrócił na wieś. Teraz pozostało jedynie przekonać sir Williama, aby zostawił w spokoju nieliczne ocalałe pierniki.

Omamniejął, gdy panna Stanhope wyciągnęła rękę, sięgając do talerza. Jeśli ona się zabierze do jedzenia, z pewnością nic nie zostanie. Kiedy biała dłoń zawisła groźnie nad łąkociami, doznał

ol nienia.

- O nieba! Ta przekl ta mysz! Znów tu grasuje. Co za łasuch!

Jack zwykle z ymał si na kobiece piski, ale dzi owa kakofonia d wi ków była dowodem, e zaimprovizowany podst p okazał si skuteczny. Wystraszona panna Stanhope przewróciła stolik, na którym umieszczono talerz z piernikami, a te rozsypały si po dywanie. Spadła tak e fili anka sir Williama z niedopit herbat .

Wizyta zako czyła si wcze niej, ni mo na by s dzi . Panna Stanhope i jej mama pragn ły natychmiast opu ci salon, po którym biegała mysz. Jack całkiem serio rozwa ał my l o schwytaniu kilku gryzoni i szczuciu nimi uci liwych s siadek. W stajni na pewno znajdzie si jaka myszka. Gdyby te panie nast pnym razem rzeczywi cie zobaczyły j u niego... Odprowadził go ci do wyj cia, ty-

le wylewnie co nieszczerze przeprasza c za nieprzyjemny incydent.

Gdy odjechali, pobiegł do salonu, eby oszacowa straty. Błat stolika tak mocno uderzył w metalow osłon kominka, e na łamliwej i mocno sfatygowanej kraw dzi powstało nowe wgł bienie. Mniejsza z tym. Troch szkoda rozbitej fili anki i spodka, ale talerz ocalał. Pierniki troch pop kały, lecz kilka zostało. Lepsze to ni sm tne okruszki. Uło ył ciastka na talerzu i pomaszerował do biblioteki, wci rozwa aj c po ytki i szkody z hodowania domowej myszy.

ROZDZIAŁ PI TY

Gdy Jack wszedł do biblioteki, Kresyda podniosła głow znad sekretarzyka. Obawiała si , e ujrzy za nim Stanhope'ów. Na szcz cie nie pojawili si , wi c z powa n min spojrzała na Jacka. Dlaczego przyniósł ze sob talerz? Z bliska spostrzegła, e s na nim pierniki.

- Czy pa scy go cie ju odjechali? - spytała.

W odpowiedzi Jack u miechn ł si promiennie, usiadł w okiennym wykuszu, postawił obok siebie talerz z piernikami i zapraszaj cym gestem poklepał aksamitn poduszk .

- Na szcz cie tak - odparł, wyci gaj c nogi i sadowi c si wygodnie. - Tchórz z ciebie! Szkoda, e nie przyszła . Z trudem ocaliłem kilka pierników.

- Uznałam, e trzeba umie ci na półkach ksi ki, które papa ju opracował. Najpierw obowi zek, potem przyjemno - ratowała si półprawd . - Dzi kuj za sekretarzyk - dodała pospiesznie. - Jestem

wielce zobowi zana.

- Naprawd ?

- Oczywiście. Nie ma co do tego najmniejszych w tpiwo ci - przytakn ła. - Uroczy gest. Mam tu wszystko, czego potrzebuj .

U miechn ła si , a Kresyd nagle ogarn ła rado , płyn ca z poczucia porozumienia i blisko ci.

- W takim razie usi d przy mnie i zjedz piernika. Powiedz mi, co jeszcze znalazła w pudle z zapiskami lady Kate.

Siedzieli obok siebie wcz e niej i wiat si nie zawalił. Jack wcale nie był gro ny. Trzeba pami ta , e stara si tylko by dla niej uprzejmy, i wszystko b dzie dobrze.

- Wyszperałam przepis na nalewk z moreli - oznajmiła.

- A to niespodzianka! - powiedział z przek sem. -Prababcia jej nie znosiła. Pijała jedynie brandy. Chcesz piernika?

- Tak, prosz . - Poczwała ła łatwo rozpoznawalny zapach gałki muszkatołowej. - Czy to s wła nie słynne... - Odgryzła kawałek i u miechn ła si . Pierniki lady Kate! Nic dziwnego, e Jack po tylu latach wspominał ich smak.

Zjadała ze smakiem i odwróciła si do Jacka. Spojrzeli sobie prosto w oczy. Kresyda wiedziała, na co si zanosi. Jack pochylił si i zło ył na jej ustach czuły pocałunek. Zaskoczona i przejt a rozchyliła usta i westchn ła cicho. Poczwała , e silne tamie obejmuje j w pól. Cała była rozpalona. Oddychała płytko, czuj c, e Jack czubkiem j zyka delikatnie wodzi po jej wargach. Instynktownie przysun ła si bli ej i otworzyła usta, jakby prosiła o wi cej.

Jack, który dot d starał si trzyma zmysły na wodzy, stracił panowanie nad sob . Dr ce, rozchylone wargi były zach t , która najsilniejszego m czynn zmieniały w słabeusza. Z j kiem wzi ła wszystko, co mu ofiarowała. Całował coraz zachłanniej. Powoli wsun ła j zyk gł bie. M ciło mu si w głowie.

Po danie wci gało niczym cofaj ca si fala. Zanim

całkiem w niej uton ła, najwyszym wysiłkiem woli zdobył si na to, eby jednak nad sob zapanowa . Cofn ła ramiona, uniósł głow i przerwał nami tny pocałunek, nie zwa aj c na bunt zmysłów, które miały własn wol . Oddychał ci ko, spogl daj c na Kresyd . Z oci ganiem uniosła powieki.

Co miał teraz powiedzieć ? Nie zamierzał jej całowa , ale aden m czynn z krwi i ko ci nie zdołałby si oprze . Jakich słów u y ,

aby ją przeprosił? Nie potrafił nic wyczytać z zielonych oczu, bo znów przymknęła powieki. Róże owe usta drżały lekko.

— Przepraszam pana.

Jak to? Za co go przeprasza?

Oślupiały patrzył na Kresydę, a ona wstała i bez słowa wyszła z biblioteki.

„Przepraszam pana”? Do wszystkich diabłów! O co jej chodzi?

W sypialni Kresydy szybko ochłonęła i postanowiła sobie, że będzie konsekwentnie unikać Jacka. Obawiała się przede wszystkim samej siebie, własnej reakcji na jego bliskość. Z wahaniem dotknęła ust; powróciło stłumione echo cudownych doznań. Dotychczas uważała pocałunki za uciwki, powinno, którą dziewczyna musi cierpliwie znosić, byle tylko móc czerpać z nich rozkosz. Jack zachęcał, aby ją z nim dzieliła.

Pogrążona w zadumie mimochodem okrążyła całą wokół palców frędzela. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Gdy spotykała się z Andrew, to on stanowił zagrożenie, bo próbował wymóc na niej uległość i skłonił do spełnienia własnych zachcianek. Z Jackiem było inaczej. Korciło ją, aby przyjąć wszystko, co miał do zaoferowania.

Ogromną radość sprawiało jej towarzystwo Jacka, przekomarzanie się z nim, arty, a także i dobroduszne pośmiewanki, ilekroć forsował ramię. Krótko mówiąc, zależało jej na nim, a stał się do zakochania tylko krok. Dla niej byłby to skok w przepaść. Omal go nie zrobiła. Zdawała sobie sprawę, że balansuje na cienkiej linii. Pokusa, aby skoczyć na oślep, nie bacząc na konsekwencje, to jedno, a zdrowy rozsądek, powstrzymać się przed zrobieniem głupstwa, to drugie. Z pewnością ci nie jest na tyle szalona, aby dobrowolnie pogryźć się ze szczytem. Tak jej się przynajmniej wydawało.

Jack wpatrywał się w pustą niszę okienną, gdzie niedawno siedziała Kresyda. Nie było oznak wskazujących na to, że korzysta z sekretarzyka. Zaniechała również przesiadywania na wyścieranym parapecie. W ogóle przestała zaglądać do biblioteki dla przyjemności. Od pewnego czasu zjawiała się tu wyłącznie w towarzystwie ojca, i to jedynie w tym celu, aby mu pomagać.

Śniadanie, zapewne ograniczone do grzanek i herbaty, jadła w swoim pokoju. Jak tak dalej pójdzie, zagłodzi się na śmierć. Wczoraj zauważyła, że zazwyczaj rano dopisuje jej apetyt. Teraz w ogóle nie schodziła na dół, aby porządnie się najść.

Wiedział, dlaczego tak si dzieje. Wielebny Bramley pó no opuszczał sypialni , wi c Kresyda sp dzała ranki w swoim pokoju, unikaj c pana domu. „Przepraszam pana”. Tak powiedziała. Nie powinien jej całowa . Mniejsza z tym, e oddała pocałunek. Tak było. Na wspomnienie tamtej chwili zapraǳn ł zakosztowa ponownie słodczy uległych warg, ujrze wyraz niepomiernego zdumienia na licznej twarzy.

Przypomniał sobie wieczór, gdy zszywała ojcowsk koszul . Omal jej wtedy nie pocałował. Nie yczyła sobie, eby si do niej zbli ał, i wprost mu o tym powiedziała. Mo e za drugim razem dał si zwie pozorom? Kto wie, czy nie unika go z obawy przed niewczesnymi umizgami? W takim razie czemu nie powiedziała tego wprost? Przecie wystarczyło jedno słowo, eby zostawił j w spokoju. Czy by o tym nie wiedziała?

Chciał znowu patrze , jak biega po drabince w gór i w dół. Brakowało mu ustawicznych sporów o to, na której półce umie ci poszczególne tomy. Marzył, by słyse jej miech, ale ponad wszystko pragn ł jej obecno ci. Gdyby mógł, ka dego dnia całowałby j do utraty tchu.

Nie rozumiał samego siebie. Nie nale ał do m czyzn łatwo ulegaj cych dzy. Do niedawna potrafił j pow ci gn , gdy przychodziła nie w por albo mogła uchybi jego godno ci. Bez wahania wyrzekał si wówczas obiektu po dania. Z pewno ci wcze niej nie popadał z tego powodu w melancholi , burzc c gniewnie na wszystkich bez wyjtku, niczym nieszcz nik dotkni ty uporczyw migren . Nawiasem mówi c, z powodu chronicznej bezsenno ci i ci głego napi cia rzeczywi cie cierpiał na bóle głowy.

Musi j zobaczy . Mo e powiedziała ojcu, gdzie j znale ? Wielebny Bramley był mocno zbity z tropu, gdy usłyszał ostro nie sformułowane pytanie. Rozejrzał si po bibliotece.

- Czy ja wiem? Tu jej nie ma? Chyba nie. Momencik, wspomniała o spacerze czy podobnej bahostce, ale wcze niej przyniosła mi mnóstwo ksi ek, abym do jej powrotu miał zaj cie. Obiecuj , e pó niej umie ci je na półkach, wi c bez obaw, drogi chłopcze. Nie b dzie adnego opó nienia.

Kresyda znała jego harmonogram dnia. Przed południem zajmował si administracj majtku, a potem szedł do biblioteki, wi c eby unikn spotkania, przychodziła tam rankiem, robiła, co do niej

naleała, i znikaała przed jego nadejciem. Uparta gaska! Lepiej to sprawdzi. Kto ze słu by na pewno wie, czy wychodziła dzi za bram.

Niestety, zawiódł si w swych rachubach. Bezradnie kr c c głow , skierował si ku stajni. Nie powinna sama wychodzi poza obr b dworu i parku. Bóg jeden wie, dok d si wybrała. Ojciec nie miał poj cia, słu cy te jej nie widzieli. Jack uspokoił si nieco, gdy usłyszał zapewnienie Evansa, e panienka była starannie opatulona. Musi j odnale , eby sprawdzi , czy tak jest w istocie, i dopilnowa , aby podobne eskapady wi cej si nie powtórzyły. Był zobowi zany dba o ni jako kuzyn, pan domu, głowa rodziny. Do diabła! Po prostu chciał j zobaczy .

Ochłon ł nieco, gdy przypomniał sobie o innej dziewczynie, która rozpalaa go do biało ci, a potem zasłaniała si panie sk wstydlivo ci . Czy by i Kresyda bawiła si z nim w kotka i myszk ? Trudno mu było uwierzy , e

jest do tego zdolna, lecz wiele wskazywało na tak mo liwo . No i prosz ! Kobiece sztuczki przyniosły spodziewany efekt. Biegł za ni jak szczeniak za piłk .

Zwolnił kroku. Zapewne powinien teraz wróci do domu i machn r k na jej knowania, je li naprawd umy lnie go zwodziła. Pokr cił głow . Wykluczone. Nawet gdyby tak było, jako krewna nadal znajduje si pod jego opiek , a to zobowi zuje. Nie powinna dzisiaj spacerowa , bo jest zbyt chłodno. Trzeba osiodła konia i jecha w lad za ni .

Kln c pod nosem, wszedł na dziedziniec stajni. Najpierw zajrzał do Ognika, a potem zawołał Clintona.

- Pilnuj e go, Danny! Tr ca chrapami mój szkicownik. Ju ko cz . Nast pnym razem nie wezm cukru.

Znajomy głos, dobiegaj cy z obszernego boks u zranionego na polowaniu wierzchowca, sprawił, e Jack stan ł jak wryty. Co tam robi Kresyda?

- I dobrze, panienko. Nasz Ognik zawsze wyniucha cukier. Taki z niego spryciarz.

O nieba! To to Daniel, najmłodszy syn Clintona. Dlaczego tamci dwoje zamkn li si w ko skim boksie?

- Masz racj . Wsz dzie w ciubi nos, a na dodatek okropnie si wierci. Ani chwili nie ustoi w miejscu. Bez ciebie nie dałabym rady i dlatego czeka ci niespodzianka.

Zza przegrody dobiegło niezrozumiałe mamrotanie zakłopotanego

chłopca.

- Przecie nie zamierzam da ci napiwku. Stój e spokojnie, Danny!
Nast piło długie milczenie.

- Gotowe. Sko czyłam - rozległ si znowu głos Kresydy, a potem odgłos jak przy darciu arkusza papieru. - Zrobiłam kopi . My lisz, e spodoba si twoim rodzicom? Kto westchn ł gł boko.

- O rany! Panienko, to to ja! Wypisz, wymaluj Danny Clinton! Anim my lał, e panienska mnie tu wyrysuje. Byłem pewny, e na obrazku jest tylko nasz Ognik. Czemu mi panienska nie powiedziała?

- Wiem, co robi . Gdyby wiedział, e pozujesz, nad łby si niczym ropucha. Daj obrazek rodzicom.

- Jasne, panienko. Mog teraz pu ci Ognika?

- Tak, ale najpierw odłó mój szkicownik w bezpieczne miejsce, bo ten łakomczuch gotów go schrupa . No chod , do mnie, głuptasie, mam co i dla ciebie.

Jack zajrzał do boks u przez niskie drzwi i zobaczył Danny'ego Clintona, który z nabo e stwem trzymał w r ku ołówkowy szkic. Ujrzał równie Kresyd siedz c na odwróconym wiadrze i karmi c cukrem jego ulubionego wierzchowca.

Z przeji ciem obserwował, jak pot ny kasztan dotyka chrapami jej podołka. Woln r k bez l ku drapała go za uszami, gdy chrupał cukier.

- Dzie dobry, ja nie panie! - zawołał Danny.

Z ust Kresydy wydobył si d wi k podobny do pisku. Natychmiast odwróciła głow . Ognik pospiesznie zjadł smakołyki i tr cał j chrapami, domagaj c si kolejnej porcji.

- Witaj, chłopcze - powiedział Jack, wchodz c do otwartego boks u. Popatrzył na Kresyd . - A, tu jeste , moja droga. Ojciec niepokoił si o ciebie.

- Czy by? - spytała z niedowierzaniem. - Sam z siebie czy dopiero wtedy, gdy zwrócił mu pan uwaga na moji nieobecno ?

- Prosz spojrze , ja nie panie - wtr cił zaferowany chłopiec. - Panienska Kresyda narysowała to dla mamy i taty. - Z dum pokazal szkic.

Jack pragn ł cho by na moment odwlec rozmow z kuzynk , wi c taka zwłoka była mu na r k . Z ostentacyjnym zainteresowaniem popatrzył na jej rysunek i osłupiał.

- Dobry Bo e!

Od razu rzucało si w oczy, e małego modela rozpiera energia.

Tylko lepy nie zauważyły jego skłonności do psot. Podobnie stwo było uderzające. Kilkoma kreskami udało się Kresydzie stworzyć portret radosnego dziecka i miłośnika koni w jednej osobie, który z należytym respektem głaszcze brudny i czarna aksamitne chrapy. A Ognik! Kresyda dostrzegła w nim nie tylko potęgę rumaka, lecz i uroczone łasucha, w poszukiwaniu łakoci gotowego wetknąć nos do kieszeni małego urwisa.

Jack oddał chłopcu rysunek i popatrzył na Kresydę zajęty pakowaniem ołówków i szkicowników. Gdy pochyliła głowę, dostrzegła rumieniec na szyi. Wiele razy się gała po upuszczone przedmioty. Tym razem porzuciła się opatuliła, zamiast paradować w lekkich mu linach. I bardzo dobrze. Strach pomyśleć, jak powiewny strój wpłynąłby na stan jego umysłu. Im grubsze odzienie, tym mniej widoczne urocze kształty.

- Powiedz mamie, że je li sobie życzy, dam rysunek do oprawy - zwrócił się Jack do Danny'ego.

Danny puchł z dumy.

- O jejkę! Moja podobizna w ramce na ścianie! Ale tak naprawdę to jest portret Ognika. Ja go tylko trzymałem, bo za bardzo przymilał się do paniąki. Kląnam się, ja nie panie. Do widzenia, paniąko. I dziękuję.

Trzeba mieć artystyczny zmysł, uznał Jack, aby zobaczyć niedawną scenę tak, jak to uczyniła Kresyda. Przeciwny rysownik machnąłby ręką na chłopca, skupiając się na rasowym wierzchowcu. Tylko wytrawny obserwator widział, że małe jest istotnym elementem uwiecznionej sceny. Zamiast portretować rumaka, Kresyda pokazała łaskę go z chłopcem wiernym, symbolizowaną przez brudny łapkę i rozdarte chrapy. A na odchodnym wręczyła malcowi kopię rysunku. Jack nie miał wątpliwości, że Bess Clinton zechce oprawić taki skarb i będzie go strzec jak oka w głowie. Z pewnością ci zostanie umieszczony na honorowym miejscu. Czy Kresyda ma wiadomość, że ofiarowała Clintonom bezcenny dar?

Obserwował ją, kiedy prostowała się, odwracając w jego stronę. Od czasu tego schyłania się miała rumieniec na policzkach. Nie potrafił uwolnić się od myśli, że zarumieniałaby się jeszcze bardziej, gdyby pocałował ją tak, jak tego pragnął. Najpierw, rzecz jasna, czule i delikatnie. Potem, gdy ochłonęłszy z zaskoczenia, oddałaby pocałunek. .. Zadrżał z tęsknoty za cudownym doznaniem. Kogo chciał oszukać? Straciłby głowę, ledwie by musnął jej usta.

- Szukał mnie pan? Mam przynieść papie wiązki księzek?

Pytanie zadane przyciszonym głosem sprawiło, porzucił niewczesne rojenia. Ani myślał przyznać się, a jej szukał.

- Twemu ojcu nie brak zajęcia. Zastanawiałem się, gdzie zniknął. Przeszedłem tu, żeby zajrzeć do Ognika. Przecież to moja wina, a nosi bandaż na nodze.

Niech mnie Bóg broni, abym się wygadał albo, co gorsza, popełnił jakieś głupstwo, pomyślał. Najlepiej rozmawiać o koniach. To neutralny temat.

Kresyda znowu spłonęła rumieciem. Jak mogła się dziwić, a jej szukał! Z pewnością było mu obojętne, dokąd poszła i czym się zajmuje. Z czystej uprzejmyści udawał, że zaniepokoiła go jej nieobecność.

- W takim razie zostawiam pana sam na sam z ulubionym rumieniem. - Podeszła do drzwi boksu. Nim dotarła do wejścia, niemal nie wyzionęła ducha, bo Jack chwycił ją za nadgarstek. Znieruchomiała i już miała się wyrwać, ale zdała sobie sprawę, że trzyma ją mocno dłońmi. Gdyby mocno szarpnęła, po raz kolejny sprawiłaby mu ból.

- Pan szachruje. - Zadała sobie sporo trudu, siląc się na uprzejmy ton.

- Tak się dzisiaj, miła Kresydo? Niby dlaczego?

- Chwycił mnie pan mocno - odparła, puszczając mimo uszu czułe słówko. - Wiadomo, że gdybym próbowała się wyrwać, sprawiłabym panu ból.

- Przejrzała mnie. Zakładałem, że tego nie zrobisz. Moją na powiedzenie, że postanowiłem zaryzykować. Czasem ryzyko płaci. Chciałbym wiedzieć, czy o to rysujesz?

- Zbyt rzadko - odparła. - Wysłałem z wprawy. Kiedy wreszcie puścił jej nadgarstek?

- Moja matka chciała rysować - powiedział Jack. - Właściwie nadal się tym zajmuje.

Kresyda zaciekawili czuły ton jego głosu.

- Pańska matka czyje? - Wcześniej nie zastanawiała się nad tym. Wiedziała o śmierci jego ojca i nic po niej.

- O tak! Wiesz, że cztery lata temu przyjechał do Londynu - wyjął nieco zdziwiony.

- Nie tutaj?

- Tak się złożyło. Powiada, że jeśli potrzebujesz pani domu, mogą się o niego postarać. Mimo to pilnuj, żeby dworek zwany Dower House zawsze był gotowy na jej przyjazd. Spędziła tu w dzień Bożego Narodzenia. Była też

moja siostra, lady Barraclough, z matką i całą rodziną. Dzięki Bogu, wyjechali krótko przed moim wypadkiem.

- Proszę ?

- Okropnie by się ze mną cackali, nawet bardziej niż ty i siostra - wyjąca niżej Jack.

- Ja się nie cackam.

- Naprawdę ? W takim razie wyrwij rękę ! Niech mnie zaboli ! A może to by ci pokrzykowało szyki ?

Co on gada, pomyślała zdumiona.

- Na tak podłość nie pozwalaj mi dobre maniere oraz poczucie przyzwoitości ci. Czy pan tego nie widzi ?

- Mistrzowskie posunięcie. Moja matka i siostra byłyby ci brawo.

Kresyda puściła mimo uszu jego słowa. Wielkie damy nie zwracają uwagi na zalety ubogiej córki duchownego.

- Chce mnie pan jeszcze o coś spytać ? Jeśli nie, proszę łaskawie puścić mój nadgarstek. Ognik, przesta ! - dodała zniecierpliwiona.

Potrzebny kasztan spragniony cukru ze złości zaczął szarpać z bami bandą. Jack zmęłzył przekleństwo i uwolnił Kresydę. Chwytny konia za uzdę i zmusił go do podniesienia głowy.

- Jeszcze przez jakiś czas musisz dla swego dobra nosić opatrunek, staruszkę.

- Owszem - mruknęła, choć powinna wcześniej ugryźć się w język. - Tak samo jak pewien delfin, który stale zapomina o zaletach temblaka - dodała.

Jack popatrzył na nią i pogłaskał Ognika.

- Ale skąd. Nie widzę zwiastka.

- Naprawdę ? - ironizowała Kresyda. - Według mnie jest sporo analogii. Obaj jesteście uparci, niezdolni do przyjęcia dobrej rady. No i oczywiście was zrozumiali. Czy mam wyliczyć dalej ?

Jack pokręcił głową, a w jego oczach zabłyśły niepokojące iskierki.

- Nim zechcesz kontynuować, chciałbym ci uzmysłowić jeden fundamentalny różnicę.

- Czy by miał pan na myśli rozum ? Ognik w przeciwieństwie do pana jest bardzo inteligentny - odparła z udawaną słodyczą, nie zważając na ostrzegawczy ton w głosie Jacka. Uznała, że aroganckimi uwagami całkiem go do siebie zniechcą. Może czy nie toleruj impertynenckich dziewczęcych, które potrafią znaleźć ci ripostę.

- Nie tylko - odparł Jack, uśmiechając się chytrze. - Ognik to

wałach.

Kresyda poczuła, że się rumieni, gdy pojął, że kasztan został wykastrowany.

- Có to za różnica? - spytała, rumieniła się jeszcze bardziej, jeżeli to w ogóle było możliwe.

Jack zwrócił się do niej, ale natychmiast ochłonął.

- Moim zdaniem spora - odparł z kamienną twarzą.

Kresyda nie wiedziała, gdzie oczy podziać. Najbezpieczniej byłoby patrzeć na twarz Jacka, ale obojczyńska mina niepokojąco kontrastowała z diabelskim spojrzeniem. Kresyda zdawała sobie sprawę, że niepotrzebnie nagadała głupstw.

- Mam w dworze sporo rysunków mamy - powiedział uprzejmie Jack. Czy by postanowił zmienić temat? - Czemu z nich przedstawia ulubione konie ojca. Chcesz je obejrzeć?

Kresyda ogarnęła zdumienie, a potem gniew. Przypomniała sobie ostrzeżenia ukochanej matki. „Nade wszystko, córku, z różnymi względami nie ufaj panom, którzy chcą ci pokazać swoje ryciny albo inne dzieła sztuki lub rodowe klejnoty”.

Mama nie wyjątkowo nigdy, jakie niebezpieczeństwo miała na myśli, ale wbiła Kresydzie do głowy, co w takiej sytuacji powinna odpowiedzieć panna z dobrego domu.

- Doceniam pańską uprzejmość. Mam oglądać pańskie ryciny albo inne dzieła sztuki lub rodowe klejnoty? O nie! Pozostaje mi tylko podziękować, bo obawiam się, że nie jestem godna takiego zaszczytu - oznajmiła lodowatym tonem.

Ośłupienie malujące się na jego twarzy było dla niej wystarczającą nagrodą. Z pewnością jej nie oczekiwał, że

zrozumie aluzję. Proszę bardzo, udowodniła, że nie jest głupią, która bez trudu można omamić i uwieść. Dała mu do zrozumienia, że przejrzała jego zamiary, choć nie miała pojęcia, dlaczego oglądanie rycin oraz rodowych klejnotów jest dla panny tak niebezpieczne.

Jack pospiesznie zrobił krok w jej stronę i z kamienną twarzą stanął nieruchomo. Wstrzymała oddech, widząc jego zaciśnięte powieki i wściekłe spojrzenie. Ani myślała się cofnąć. Nie da się zastraszyć.

- Gdyby nie względem na to, że jesteś moim gościem i córką takiego ojca... - Umilkł i wziął głęboki oddech, a potem dokończył, ledwie panując nad złością: - Gdyby nie to, przełożyłbym ci przez kolano i sprzątnął kwaśne jabłko za twoją wulgarną uwagę.

- Co te pan...

- A gdyby była m. czynn., wyzwiałbym ci na pojedynek - przerwał bezceremonialnie. - Zamiast tego... - Położył dłonie na szczupłych ramionach, przyciągnął Kresydę do siebie, pochylił głowę, wycisnął na rozchyłonych ustach mocnego całusa, a potem cofnął się. - To jest nauczka, a nie zachcianka - burknął, okręcił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami boksu.

Kresyda oparła się plecami o drewnianą przegrodę. Ciekawe, jak długo będzie dygotała jak w febrze z powodu jednego pocałunku.

Jack opuścił dziedziniec stajni, ledwie raczył odpowiedzieć burkliwie na pozdrowienie zdumionego Clintona. Lito ci! Co go napadło? Naprawdę myślał o uwiedzeniu kuzynki? Czy kiedykolwiek zdarzyło mu się kusić do grzechu panny z dobrego domu, cnotliwej i prawej, chociaż upartej? Ani razu.

Prawe? Raczej sprytne!

Łkała się, ale Kresyda chce go uwikłać w małżeństwo, a tymczasem ona miała czelno sugerować, jakoby zamierzał ją omotać i wykorzystać. Co w jego postępowaniu mogło wzbudzić takie podejrzenia?

Wystarczyło zadać pytanie i natychmiast pojawiły się odpowiedzi. Prawdziwa lawina przyczyn.

Groził jej porządnie, dał całusa, na domiar złego wszedł do pokoju, gdy spała. Postawił na swoim i rzeczywiście ją pocałował. Raz i drugi. Powtórnie groził klapssem.

W tej sytuacji Kresyda rzeczywiście miała powody, aby go podejrzewała o najgorsze.

Nawet przeniesienie sekretarzyki do niej było zinterpretowane jako próba schlebienia potencjalnej ofierze, uznał przynajmniej biony Jack. A jeśli chodzi o jego dzisiejsze zachowanie... Skąd mu przyszło do głowy, że koniecznie to bezpieczny temat?

Przyspieszył kroku i ruszył w stronę domu alejką obsadzoną kamienicami lawendy. Na co dzień zwalniał tu, z przyjemnością wdychając delikatny aromat. Teraz było inaczej. Subtelny woń lawendy przylgnął do ubrania Kresydy. Dziś nawet zapach wydawał mu się irytujący.

Nie zdarzyło mu się dotąd uwieść niewinnej dziewczyny. Nie w smak było mu również obrażenie panny z dobrego domu, która ma wszelkie podstawy, aby spodziewać się oświadczyn. Nie pozwalał sobie na dwuznaczne arciki w obecności tamtych dziewcząt, które gotów był

prosi o r k . Z pewno ci nigdy dot d nie wymkn ło mu si przy damach dwuznaczne porównanie ogiera z wałachem.

Co go napadło? Dlaczego znowu pocałował Kresyd ? Czemu w ten sposób, jakby chciał j obrazi ? W gruncie rzeczy pragn ło sprawdzi , czy jej usta s tak cudowne i zmysłowe, jak mu si przedtem wydawało. Poprzedni całus, pełen słodczy i niewinno ci, zaledwie obiecywał wielk rozkosz.

Jack szukał uciech cielesnych u pa , które zarabiały na ycie jako luksusowe kurtyzany. Miał te kilka dyskretnych romansów z kobietami nale cymi do swojej sfery. Były w ród nich i wdowy, i m atki, które los - tyle łaskawy, co zło liwy - obdarzył mał onkami gotowymi przyrkn oko na pewne sprawy, o ile pochodzenie dziedziców rodowych maj tno ci nie b dzie kwestionowane. adne z tych do wiadcze nie przygotowało go na spotkanie z Kresyd . Nie stał si równie m drzejszy dzi ki paru całusom skradzionym Selinie.

Jego dyskrecja w sprawach alkowy nie wynikała z obawy przed skandalem. Wr cz przeciwnie! Był zdania, e takie afery dodaj yciu towarzyskiemu pikanterii. Uwa ał jednak, e romansuje si dla przyjemno ci, wi c dwoje kochanków ma na równi czerpa zadowolenie z takiej znajomo ci. Dla kobiety to w tpliwa przyjemno samotnie stan oko w oko z rozw ciezonym m em.

Min ło zakr t cie ki, za którym otwierał si widok na dworski dziedziniec, i stan ło jak wryty na widok zbl aj cego si powozu. Liczył, e podró ni go nie spostrzegli. Miał nadziej , e Evans miłosiernie odprawi intruzów, mówi c, e pana nie ma w domu. Gotów był nawet zosta na dworze, aby nie zmusza go do kłamstwa.

Ukrył si , jak mógł, za rozło ystym drzewkiem ró anym i obserwował powóz. Ciekawe. S siedzi raczej nie wynajmowaliby karety pocztowej, by mu zło y wizyt . Zapewne stangret zmylił drog . Chwileczk , gniadosze z zaprz gu, wyj tkowo dorodne i wspaniale umi nione, wygl dały znajomo. Patrzył na nie, ale my łał o czym innym.

Co mu strzeliło do głowy z tym uwiedzeniem Kresydy? Jak mógł bra pod uwag tak mo liwo ? Gardził nikczemnikami zdolnymi wykorzysta naiwno albo słabo niewinnej dziewczyny i dla kaprysu zrujnowa jej reputacj . Nawet je li panna jest zalotna, d entelmen powinien by pow ci gliwy za dwoje. Gdyby wi c zapragn ło posi Kresyd , mogłoby to oznacza , e stał si prawdziwym obwiesiem albo

planuje o enek z kuzynk .

O enek? Miałby po lubi t zapalczyw wied m , która doprowadza go do szału i prowokuje do uwag, których nie odwa ył si czyni w obecno ci wysoko urodzonych pa ? Lepiej nie mówi , jakie miewał przy niej zachcianki.

Sk d ja znam te gniadosze, my lał z roztargnieniem.

O enek? Mógłby si uzna za szcz liwca, gdyby wysłuchała do ko ca jego o wiadczyn. Zapewne przerwałaby w połowie i obiała go pantoflem. A je li to naprawd sprytna kokietka poluj ca na bogatego m a? Nie ma mowy, eby zaci gn ła go przed ołtarz. Nie potrzebował ony takiej jak Kresyda. Dawniej wiódł uporz dkowany ywot, a przy niej wszystko stawało na głowie. Z tego wniosek, e jako człowiek prawy nie mógł planowa uwiedzenia Kresydy Bramley. To jedynie chwilowy kaprys. Miał nadziej , e wskazane przed chwil ró nice s wyra ne i przemawiaj na jego korzy . Talent do wytr cania ludzi z równowagi zazwyczaj powa nie zmniejsza szanse panny na lub. Mimo wszystko trzeba mie si na baczo ci, cho Kresyda w niczym nie przypomina jego wymarzonej kandydatki na on .

Do diaska! Nie warto si nad tym zastanawia . Lepiej popatrze na walijskie gniadosze. Bardzo podobne do koni Marca. Jack znowu na nie spojrzął. Przecie to jego zaprz g.

Zdumiony obserwował jednego ze stajennych, który podbiegł, eby opu ci schodki karety. Patrzył z niedowierzaniem, a w otwartych drzwiach pojawiła si wysoka, barczysta- posta hrabiego Rutherforda, który zeskoczył na ziemi i wyci gn ł r ce. Kto podał mu niewielki tobolek owini ty w szal. Jack z alem i zazdro ci spogl dał na przyjaciela, który tul c do piersi cenne brzemi , podał r k onie. Oboje przyjechali w odwiedziny. Zabrali te małego Jona, chrzestnego syna Jacka.

-Marc! Meg! - Pop dził w ich stron . - Do czarta! Co wy tu robicie?

- Składamy wizyt - odparł z u miechem Marc, odwracaj c si ku niemu. - Wpu cisz nas do domu?

- Znajdzie si dla was jaka słu bówka - zapewnił kpi co. - Witaj, Meg. Kochana jeste , e przyjechała . -Zamkn ł młód hrabin w mocnym u cisku i podniósł do góry.

- Jack! Ty nieokrzesany gburze! Zachowujesz si jak stary nied wied . Pu mnie natychmiast. Urazisz bark.

- Bo e miłosierny! Kolejna niewiasta przypomina mi o tej przekl tej kontuzji. - Postawił Meg na ziemi i spojrział z ukosa na przyjaciela. - Nie skarcisz mnie za to, e podduśłem ci on ?

Marc flegmatycznie pokr cił głow .

- Na razie nie ma takiej potrzeby. Obaj wiemy, e Meg doskonale radzi sobie z głupkowatymi osiłkami. Je li b dzie miała do tych karesów, walnie ci w rami i koniec.

- Nie ma mowy — wtr ciła Meg. - Dlaczego napisała do Marca ten idiotyczny list? Czemu twoim zdaniem mieliby my zrezygnowa z odwiedzin? Co ma do tego fakt, e nie jeste w stanie polowa ? Same głupstwa. Nie rozumiem, z jakiego powodu namawiała nas do odwołania wizyty.

- Jest zimno. Wejd my do rodka - nalegał Jack. -Mój chrzestny syn nie lubi marzn . Co z nim?

- pi - oznajmił Mark. - Oby jak najdłu ej. Kiedy si nie wy pi, staje si marudny.

- Jak tatu ? - wtr cił Jack. Marc u miechn ł si tajemniczo

- Sen nie jest dla mnie najwa niejszy. Znam ciekawsze zaj cie. Masz racj , wejd my do rodka. Trzeba sprawdzi , jak wygl da pokój dziecinny, który twoja ochmistrzyni przygotowała dla naszego synka. Od kilku dni byliby my u ciebie, ale trzeba robi cz ste i długie postoje, eby mały si nie zazi bił.

- Zadzwoń po pani Roberts. - Nagle Jack u wiadomił sobie, co Mark powiedział. - Wspomniała , e przygotowała pokój dziecinny? Spodziewa si was?

- Oczywiście cie! - przytakn ła Meg. - Napisałam do niej, e dzi b dziemy na miejscu.

- Dobry Bo e! - Jack westchn ł ci ko. - Nikt tu nie pisał słówka! Spisek. Konspiracja. Pewnego dnia zwolni ich co do jednego.

- Aha, je li do tego dojdzie, daj mi zna - odparła pogodnie Meg. - Z ch ci wszystkich zatrudni .

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kresyda wpatrywała si w drzwi pokoju, zanosz c modły, by nie musiała schodzi do go ci. Najlepsi przyjaciele Jacka. Zarumieniona wspominała ostatnie spotkanie z wicehrabin , matk Andrew. Zapewne ta młoda arystokratka oka e si jeszcze bardziej wyniosła, zwłaszcza je li

przypadkiem doszły j słuchy o knowaniach niejkiej panny Bramley.

Kresyda uznała, e najlepiej b dzie, je li przez słu c da zna , e boli j głowa. To niemal pewne, e nadal b dzie si zamartwia , wi c naprawd dostanie migreny i nikt jej nie zarzuci kłamstwa. Po niedawnej rozmowie z Jackiem nie potrafiła spojrze mu w oczy, a tym bardziej usi do stołu z jego wysoko postawionymi przyjaciółmi.

Zadawała sobie pytanie, gdzie pan domu ich wszystkich usadzi. Na co dzie spo ywali posiłki przy okr głym stole w pokoju niadaniowym, ale po przyje dzie go ci ka e chyba otworzy główn jadalni .

Westchn ła ci ko. Nie ma sensu kry si przed nimi. Je li wierzy pokojówce, która jej usługiwała, hrabia Rutherford nie miał posiadło ci ani w Kornwalii, ani w s siaduj cych z ni hrabstwach. Z pewno ci była przewra liwiona, wr cz mieszna. Tacy ludzie nie słuchaj wiejskich plotek.

Wstała i starannie wygładziła sukni , niemodn i przerobion z aksamitnego płaszca matki. Innej nie miała. Łagodna, ale soczysta ziele ja niała w blasku ognia. Koronka barwy ko ci słoniowej, któr Kresyda sama przyszyła do lamówki zbyt gł bokiego dekoltu, stanowiła modny akcent.

Hrabina zapewne obwiesi si brylantami jak lady Fairbridge, matka Andrew. Kresyda nie miała innych kosztowno ci poza srebrnym naszyjnikiem z kwiatowym motywem. Wyj ła uroczy drobiazg ze szkatułki i u miechn ła si rzewnie. Nie oddałaby go za wszystkie brylanty wiata, ale byłaby chyba szcz liwsza, gdyby ludzie nie przywi zywali takiej wagi do zewn trznych oznak zamo no ci.

Wygl da na to, e w dzisiejszym wiecie wa ny jest cały ten blichtr, a uczucia s niczym.

W lizgn ła si do salonu, ałuj c, e nie ma we dworze liczniejszego towarzystwa. W tłumie go ci łatwiej pozosta niezauwa on . Była na siebie w ciekła z powodu przesadnej nerwowo ci.

Czemu tak si przejmuje? Powinna machn r k na przyjaciół Jacka. Niech my l , co im si podoba.

Nie mogła od razu przyjrze si utytułowanej damie, bo zasłaniał j barczysty Jack. Za miewał si do rozpuku, słuchaj c jej słów. Kresyda zaraz si naburmuszyła. Z pewno ci wolał eleganckie towarzystwo od nudnych rozmów z nieobyt , a na domiar złego impertynenck kuzynk . Nawet nie spostrzegł, e weszła do salonu.

To ju lekka przesada, skarciła si w duchu. Jak miał j dostrzec, skoro stał tyłem do drzwi?

Podszedł do niej wysoki, jasnowłosy hrabia. Miał oczy szare niczym Jack, ale o ja niejszym odcieniu.

- Dobry wieczór. Panna Bramley, prawda? Jack jest tak zaj ty flirtowaniem z moją siostrą, że nie przyszło mu do głowy, aby nas sobie przedstawić. Po starej znajomości wyrzucił go i sam się zaprezentował. Miło mi pani poznać. Jestem Rutherford - oznajmił i z przyjaznym uśmiechem wycofał się.

Kresyda wstrzymała oddech. Jak się zachowa, gdy najprawdziwszy arystokrata podaje dłoń? Sprawiała wrażenie, jakby zachęcała, aby zapomniała o tytułach i traktowała go niczym innych znajomych. On może sobie pozwolić na takie fanaberie, uznawała w duchu, a ja powinnam znać swoje miejsce.

- Dobry wieczór, milordzie.

Ucisnęła podaną dłoń i zastanawiała się, jak Rutherford na to zareaguje. Pochylił się w ukłon. Był wyjątkowo przystojny, ale nie czuła znajomego dreszczyku, który pojawiał się jedynie wówczas, gdy dotykał jej Jack.

Hrabia znów się rozpromienił, więc odpowiedziała słabym uśmiechem:

- Zapewniam pani, że jestem niegroźny. Arystokraci nie gryzą.

- Czy by?

Lito ci! Przecież stałaś na co wieczór. Ramiona trzęsły mu się od tłumionego śmiechu, a oczy zabłyśły wesoło.

- Daj słowo. Nie wiem, jakie bzdury wygadawał o mnie Jack, ale zapewniam, że nie jestem ludzkiem - powiedział głośno.

Kresyda się zarumieniła, lecz zaraz zbladła, gdy poczuła na sobie badawcze spojrzenie Jacka. Obserwował ją chłodnym, taksującym wzrokiem. Do diabła z nim! Dlaczego jej wiać chwieje się w posadach, ilekroć przebywa w jednym pomieszczeniu? Niepotrzebnie tak się przejmowała tym gburem. Po dzisiejszym incydencie powinna czuć się głębia i kipieć gniewem. Dobrze wychowana córka duchownego z pewnością byłaby wstrząsnęta.

Jack odsunął się i Kresyda ujrzała przyjaciółkę uśmiechniętą hrabinę Rutherford, która zyczliwie spojrzała na nią niebieskimi oczyma.

Sprawia wrażenie, jakby naprawdę chciała ją poznać, pomyślała rozgorączkowana. O nieba! Jaka młoda! Jesteśmy chyba rówieśnikami.

Jack podszedł z hrabiną do Kresydy.

- Meg, przedstawiam ci moją kuzynkę. Oto panna Kresyda Bramley.

Panno Bramley, to jest hrabina Rutherford.

Hrabina popatrzyła na niego, otworzyła usta i natychmiast je zamknęła.

- Witam, panno Bramley - powiedziała w końcu, wychodząc, która Kresyda u ciebie nie miała. Lady Fairbridge każe demu, kogo uznaje za stojącego niżej w hierarchii społecznej, podawała tylko dwa palce. Czy by hrabina Rutherford ze względu na pokrewieństwo z Jackiem wzięła ubogą krewną za pannę z towarzystwa?

- Proszę sobie wyobrazić, moja droga, że znam całą rodzinę Jacka, i cznie z ojcem pani - oznajmił hrabia, podchodząc bliżej. - Z osobami w moim wieku i młodszymi jestem zwykle po imieniu. Nie ma powodu, aby z nami było inaczej.

Kresyda z pewnością mogłaby wymienić przynajmniej jeden: widując spojrzenie ciemnoszarych oczu. Do Jacka nie byłaby w stanie zwrócić się per ty. Zważywszy na dzisiejsze wydarzenia zapewne nie przeczyłoby sobie takiej poufałości. Najlepszy dowód, że przedstawił ją hrabinie Rutherford w sposób wielce oficjalny.

Następne słowa stanowiły potwierdzenie jej domysłów.

- To bardzo miło z twojej strony, Marc, że starasz się o mnie i moją kuzynkę, ale obawiam się, że panna Bramley woli przestrzegać zasad obowiązujących w wytwornym towarzystwie. Zostaniesz na wszelką poufałość.

Zrobiło jej się przykro, bo mówił lodowatym tonem. Postanowiła zmienić temat, więc demonstracyjnie rozejrzała się po salonie.

- Mój ojciec jeszcze nie zszedł? Pójdź go poszukaj. - Nie zamierzała tu wracać. Przez słuchając przez le wiadomo, że z powodu nagłej migreny postanowiła wczoraj niejudać się na spoczynek.

- Wielebny Bramley już pi - odparł Jack. - le się poczuł. Moim zdaniem to niestrawno.

- W takim razie przepraszam bardzo, ale muszę iść do niego i sprawdzić.

- Ma wszystko - przerwał zniecierpliwiony Jack. - Nie jesteś mi potrzebna.

Zdumiona Kresyda wpatrywała się w niego jak urzeczona. Słuszna uwaga. Tutaj rzeczywiście przestała być ojcem niezadowolona. W Konwalii nie mógł się bez niej obyć, bo wyrzuciła go, prowadząc dom i wspierając parafian, ale w tym domu wszelkie powinno ci wypełniać słuchać.

- Przydzieliłem mu lokaja i pokojówkę. Wystarczy, a zadzwoni, a b d na jego usługi.

- Dziękuj bardzo, ale skoro papa jest na górze, nie widzę powodu, ebym...

- Bzdura - uciła hrabina Rutherford. - Podejrzewam, że Jackowi dokuczają rami i dlatego jest dziś takim zrzędnym i ponurakiem. Jeźli pani odejdzie, b d zdana na towarzystwo tych dwu obwiesiów. Lito ci, panno Bramley! Jack przypomina dziś obudzonego nie w porę, niedoświadczoną. Zaraz wci gnę Marce do poważnej dyskusji o tych okropnych młynach albo ostatnich wyścigach dwukółek.

Probie towarzyszył liczny tłum, który sprawił, że Kresyda nieco się rozpogodziła, choć nadal brzmiały jej w uszach słowa Jacka: „Nie jesteś mi potrzebna”. Trudno jej było o tym zapomnieć. Powinno stać się jak najszybciej wyjechać i znaleźć posadę. Ale kto jej da referencje?

Dwie godziny później oszołomiona Kresyda opuściła salon, idąc za hrabiną Rutherford. W zachowaniu owej damy nie było ani śladu arystokratycznej wyniosłości. Dlaczego tak jej zależało na wci gnęciu Kresydy do ogólnej rozmowy? Czemu skarciła pana domu, porównując go do dobroduśnika do burkliwego niedoświadczony?

Hrabia Rutherford tak się przyjaźnił z nią, gawdził. W głowie się nie mieści, że osoba zajmująca tak wysoką pozycję w wielkim świecie swobodnie rozmawia z ubogą dziewczyną. Wypytywał uprzejmie o powinnoci duchownego i jego rodziny wobec parafian, a tak się szukał analogii do obowiązków właściciela ziemskiego. Gdyby nie wrodzona ostrość, Kresyda uległaby złudzeniu, że tamci dwoje od razu ją polubili. A może jednak pierwsze wrażenie nie było myśliczne?

Odrzuciła tę myśl, jakby sprawiła jej przykrość. Gdyby znali całą prawdę, nie darzyliby jej sympatią, pomyślała. Hrabina dostałaby spazmów, a może zabroniłby mi się z nią kontaktować.

W holu hrabina Rutherford odwróciła się do niej i powiedziała:

- Przepraszam, panno Bramley, muszę iść na górę. No proszę! Nie ma ochoty spędzić wieczoru z byle kim. Może przynajmniej udzieli referencji ubogiej petentce?

- Naturalnie, milady. Doskonale rozumiem. - Czuję się nieswojo pod bacznymspojrzeniem hrabiny.

- Nieśmiało. Muszę iść do pokoju dziecinnego, eby nakarmić Jona. Nie odstawiałam go jeszcze od piersi.

- Sama go pani karmi? - Kresyda z trudem opanowała zdumienie. Lady Fairbridge z odraz mówiła o tej stronie macierzy stwa i twierdziła, e adna dama nie poni yłaby si do tego stopnia, by karmi piersi . Kresyda nagle sp sowiwała. Jakim prawem zadaje hrabinie takie pytania?

- Naturalnie. Wiem, e to nie jest w dobrym tonie, ale mnie sprawia przyjemno . W domu przynosz mi synka do biblioteki, a Marc asystuje przy karmieniu, lecz tutaj wol pój do pokoju dzieciennego, eby nie stawia Jacka w kłopotliwej sytuacji. - Wybuchn ła miechem, który okazał si zara liwy. - Wyobra am sobie jego min , gdyby wszedł do biblioteki i ujrzał taki sielankowy obrazek.

- Ma pani wiele yczliwo ci dla Ja... dla pana Hamiltona, prawda? - zapytała pogodnie Kresyda. Nagle zadr ała, wyobra aj c sobie, e karmi przy nim ich rodzone dziecko.

- To dla mnie po Marcu najwa niejszy człowiek na wiecie. Ma wyj tkowo otwart , prawdziwie rycersk natur . Tu pani po egnam. Zobaczmy si rano. Mam nadziej , e pani ojciec poczuje si lepiej. Dobranoc, panno Bramley. Obawiam si , e nie zejd ju na dół, bo po karmieniu robi si senna.

- Dobranoc - odparła Kresyda.

Wolno szła w stron biblioteki, zadaj c sobie pytanie, co czuje kobieta karmi ca niemowl . Nie mogła poj , dlaczego lady Fairbridge mówiła o tym z odraz . Piastowanie dzieci tka jest cudownym prze yciem. Nawet zwierz ta to rozumiej . Czy kobiety maj podobne odczucia? W ka dym razie Najwyszy yczył sobie, eby karmiły. W tym celu dał im piersi.

W bibliotece ogie buzował w kominku, a zasłony były zaci gni te. Kresyda spojrzła t sknie na sekretarzyk, ale nie mogła tu zosta . Byłaby na parterze sama z dwoma m czyzunami. To niewła ciwe, skoro hrabina Rutherford poszła ju na gór .

Trudno. Postanowiła wzi ksi k , eby poczyta do poduszki, gdy sprawdzi, czy z pap wszystko w porz dku. Ziewn ła sennie. Czy niebo nadal jest czyste? By mo e jutro b dzie mo na pój na spacer, je li dobra pogoda si utrzyma.

Podeszła do okna i uchylała zasłony. Westchn ła z zadowoleniem na widok ksi yca sun cego ponad lasem. miało w lizgn ła si do okiennej niszy, usiadła na wy ciełanym parapecie i zaci gn ła zasłon , eby czerwonawa po wiata ognia nie mieszała si z ksi ycowym blaskiem.

Srebrne promienie rozja niały las i za nie one ogrody. Drzewa

pokryte nie nym pyłem odcinały si wyra nie na tle rozgwie d onego nieba. Kresyda z u miechem patrzyła na Wielki Wóz, Oriona i jego Psa. Bez trudu rozpoznawała gwiazdozbiory, które pokazywała jej matka. Jako dziecko była wi cie przekonana, e gwiazdy to niebia skie okienka, przez które Bóg i aniołowie spogl daj na ziemi .

Oparta ramieniem o framug okna zastanawiała si , czy matka te zerka przez takie okno. Co my li o swej głupiutkiej córce? Czy jest rozczarowana, e znów nawarzyła piwa?

Kresyda zapami tała dobrze jej słowa: „Opiekuj si tat . Jest przemyły, ale to dziwak. Okazał mi tyle serca, wi c próbowałam mu si za to odplaci ”. Kresyda wyrzucała sobie, e nie troszczyła si o ojca jak nale y. Lekkomy lnie spowodowała, e musiał stan w jej obronie, co miało oplakane skutki, bo stracił posad . Na szcz cie w tym dworze b dzie szcz liwy i bezpieczny. Pan Hamilton... Jack zadba o jego potrzeby. Senna Kresyda u miechn ła si do siebie. Ten burkliwy nied wied szczyrze lubi pap . Szkoda, e jej nie darzy podobn sympati . Trzeba go uprzodzi , wyja ni , co si dzieje, kiedy papa traci kontakt z rzeczywisto ci . Gdy Jack usłyszy o jego drobnym dziwactwie, na pewno zrozumie. Papa nie ma przecie złych intencji.

Gwiazdy ja niały na niebie, a przez okno s czyła si ksi ycowa po wiata.

Kresyda ockn ła si zmarzni ta i dr ca. Usłyszała głósy.

- My lałem, e jeste z Jonem w pokoju dzieciennym. Lucy powiedziała, e chcesz si wcz e nie poło y , ale widz , e zesła jeszcze do biblioteki po ksi k .

Za zasłon Kresyda przeci gn ła si leniwie. Dobry Bo e, to chyba hrabia Rutherford.

- Tak. My lałam, e chcesz porozmawia z Jackiem. Gdzie on jest?

To hrabina Rutherford.

- Na górze. Chod do mnie, najdro sza.

Kresyda zamarła, bo z ust hrabiego wydobyl si zmysłowy pomruk. Podczas kolacji bardzo czule przemawiał do hrabiny, ale teraz... Chyba nie powinnam si tu przed nimi ukrywa , pomy lała. Prze yła moment wahania, bo nie chciała, aby wiadano, e niczym mała dziewczynka chowa si za zaci gni tymi zasłonami. W bibliotece zapadła cisza. Mo e ju poszli?

Usłyszała westchnienie i kolejny pomruk.

- Meg! Najdro sza, tak ci pragn . Pocałuj mnie jeszcze raz.

Zdumiona Kresyda zerknęła przez szpar w zasłonach i osłupiała. Hrabia Rutherford siedział w fotelu przy kominku z hrabiną na kolanach. Jak może na tak całować! Kto by pomyślał, że chce po niej! Czy jej to sprawia przyjemność?

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że takie obciskiwanie musi być kobiecie niemiłe, ale oczy kazały wierzyć, że hrabina jest w siódmym niebie. Tuliła się do niego, palce wsunęła w jego jasne włosy, jakby chciała przyciągnąć go bliżej. Najwyraźniej wzdychała z rozkoszy. O nieba! Męski dotykał jej biustu. Samo patrzenie z ukrycia sprawiło, że Kresyda płonęła jak w gorąco. Zwinne palce hrabiego nie próbowały, piśszcząc i rozpinając karczek sukni, aby odsłonić piersi. Wciąż, to sknota, rozkoszny ból. Kresyda wspominała pocałunki Jacka. Tak samo się wtedy czuła. Całkiem inaczej niż wówczas, gdy Andrew skradł jej całusa. Chwycił ją bezceremonialnie, natarczywy i przerażony, skupiony wyłącznie na własnych potrzebach i przyjemności. O to! Gdyby mu się nie wyrwała, jej sytuacja byłaby teraz o wiele gorsza. Musiała się bronić. Nie mogła liczyć, że papa pojawi się na czas.

Szeroko otwartymi oczami patrzyła na hrabiego całującego ją w szyję... i wszystko co poniżej. Kresyda zadawała sobie pytanie, jak by się czuła, gdyby Jack.

Westchnienia hrabiny mieszały się z czułymi słowami.

- Marc?

- Jeszcze? - zapytał, odrywając usta od jej piersi.

- Tak. O tak.

- Kusicielka.

Przez chwilę droczył się z nią artobliwie, nim zaczął ponownie obsypywać piśszczotami kształtne biust. Drugą ręką dotknęła talii i bioder, a potem zniknęła w fałdach spódnicy z grubego aksamitu. Niemal bolesne mrowienie piersi, które dręczyło Kresydę, rozprzestrzeniło się coraz bardziej, ogarniając całe ciało. Wybrzuszenie aksamitnej tkaniny, spod której wystawał łokieć hrabiego, wskazywało bezadnych w tępą ciemność, gdzie wsunął rękę. Kresyda oddychała z trudem, wyobrażając sobie, że Jack jej dotyka.

Zdumiona reakcją swego ciała spoglądała ukradkiem na hrabinę, która przesunęła się nieco w ramionach mężczyzny, aby łatwiej mu było ją pieścić.

- Jesteś cudowna, Meg. Najdroższa Meg.

Dr ca Kresyda cofn ła si w g ł b zalanej srebrzyst po wiat okiennej niszy. Nie miała prawa tu by . Nic dziwnego, e pannom przed zam pój ciem mówi si niewiele lub zgoła nic. Od samego podgl dania i słuchania płon ła i trz sła si jak w febrze. Zdesperowana przycisn ła dłonie do uszu, aby zagłuszy miłosne j ki i westchnienia. Z uporem wpatrywała si w srebrzysty zimowy krajobraz - taki uroczy i cichy. Ciekawe, jak długo ci dwoje tu jeszcze zostan . W okiennej niszy panował zi b, bo przez grube zasłony nie przenikało ciepło bij ce z kominka.

Cała w p sach odsłoniła na chwil uszy. Rutherfordowie nadal byli w bibliotece.

- ...na gór , kochanie. Je li zostaniemy dłu ej...Kresyda obłała si szkarłatnym rumie cem. Kolana jej dr ały, gdy słuchała, jak hrabia uwodzi on , arliwie i nami tnie opowiadaj c jej, czego pragnie. Słowa te zapowiadały rozkosz i dla niego, i dla niej. Dr c, osun ła si na poduszki parapetu. Gdyby tamci dwoje zorientowali si , e ich podsłuchuje... Mo e otworzy okno i wymkn si cichaczem? Zmarzłaby, ale przynajmniej nie byłaby ju

mimowolnym wiadkiem mał e skich karesów. Zawstydzona niecodzienn sytuacj oraz rol , jaka jej przypadła, popatrzyła na okienny rygiel. Zapewne nie b dzie problemów z jego przesuni ciem, ale co zrobi , je li zawiasy zaskrzypi albo wiatr poruszy zasłonami, zdradzaj c jej obecno ? Trzeba uchyli okno tylko odrobin , eby precisn si mi dzy framugami. Dotkn ła rygla. Zwodnicze wiatło ksi yca m ciło jej w głowie. Ogród pod niegiem nie wygl dał ju tak uroczo jak przedtem.

- Marc?

Ledwie rozpoznała głos hrabiny. Był zmysłowy, a zarazem jakby zdławiony cierpieniem. Trzeba st d wyj natychmiast!

- Musimy wróci na gór . To nie jest nasza biblioteka. A je li wejdzie tu Jack?

M ski chichot, ponad wszelk w tpliwo kpi cy i przewrotny, był jedyn odpowiedzi na to pytanie. Kresyda znieruchomiała z dłoni na ryglu.

-Niewiele brakowało, eby mnie uwiodła, kochanie. Biedny stary Evans dostałby ataku serca, gdyby nas zobaczył. Chod my, moja kusicielko. Czas do łó ka.

Kresyda była pewna, e hrabia nie zamierza szybko zasn .

Odetchnęła z ulgą, słysząc, że tamci dwoje wstają z fotela.

- Poczekaj, obci gnęci spódnice. Nie chcemy przesadnie gorszy Evansa.

- A twój fular?

- Znów mi go rozwięzała, kobieto?

- Owszem. Kiedy rzucała na podłogę moje spinki do włosów.

- Szelmutka z ciebie. Poszukam ich rano. Jack będzie miał się nad czym zastanawiać, gdy je zauważy.

- Skoro mowa o Jacku...

- Tak, kochanie. Czy to twój koleczyk?

- Aha. Jak myślisz, co mu leży na sercu?

- Ręce go wierzbi.

- Słucham?

- I nie tylko ręce. Kochanie, przestań się zajmować Jackiem, chod do łóżka i zajmij się moimi problemami.

Ręce wierzbi? Zdumiona Kresyda raz jeszcze spojrzała przez szpar między zasłonami. O co chodziło Rutherfordowi?

- Ach tak! - Hrabina zarzuciła mu owo ręce na szyję. - Nieśdziałam, że masz w łóżku jakieś problemy, - Jej głos brzmiał prowokująco, gdy wymownie poruszyła biodrami, ocierając się o niego.

- Bo nie mam. - Hrabia pochylił głowę, żeby skrajać jej całusa. - Dziękuję ci.

Wyszli z biblioteki, zamykając za sobą drzwi.

Kresyda odczekała kilka chwil na wypadek, gdyby zawrócili, i wymknęła się z okiennej niszy. Fotel, na którym siedzieli Rutherfordowie, wyglądał całkiem zwyczajnie. Sama odpoczywała tu dziś w ciągu dnia. Osunęła się ciężko na miękkie siedzenie. Był osobliwie wygodny, ale trudno się było z niego podnieść. Jack sadził się w nim, gdy nie chciał pracować przy stole. Krzywił się okropnie, ilekroć musiał wstać.

Nagle przypomniała sobie jego uwagę. „Ognik to wałach”. Spłonęła rumieńcem, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie, żeby smukłe palce Jacka dotknęły znowu

jej szyi i policzków. Czy kiedykolwiek siedział tu z kobietą na kolanach, próbując ją uwięzić? Pieścił ją? W zadumie pokręciła głowę. To była dla niej pierwsza lekcja namiotności. Jedną ze znanych jej par raczej nie przeżywała takich uniesień. Rodzice mieli dla siebie wiele czułości. Matka okazywała ojcu wdzięk. A lady Fairbridge i jej

zmarły m ? Kresyda omal nie zaczęła chichotać na myśl o tym, że czcigodna dama miałaby zostać uwiedziona. Z pewnością ci nie przezebrała ona, grubasa i pijaka.

A co z Andrew, czwartym wicehrabi Fairbridge? Wzdrygnęła się. Ten człowiek miernie ją przeraził. Nieopatrznie mu zaufała, bo się dzieliła, że jest w niej zakochany. Przez długi czas winiła tylko siebie, a dowiedziała się, czego naprawdę od niej chciał. Miło nie miała z tym nic wspólnego.

Na czym zależało Jackowi? Jego pocałunki były dalekie od natarczywości okazywanej przez Andrew. Czy uczucia tak się różniły? Może droczył się z nią, rzucając dwuznaczne uwagi. Z pewnością ci był w ciekły i uraony, gdy powiedział o plugawej intencji.

Dlaczego przy każdym spojrzeniu na ten przeklęty fotel wyobrażała sobie, że zamiast hrabiego Rutherforda siedzi w nim Jack? Rzecz jasna, to jego ulubione miejsce, ale nie powinna zastanawiać się, co by czuła, siedząc mu na kolanach.

Odwróciła się raptownie i podeszła do drabinki. Postanowiła ułożyć wszystkie książki opracowane przez ojca, a także poszukać dobrej książki, aby poczytać do poduszki. Wsunęła pod ramię kilka tomów i zaczęła się wdrapywać po drabinie. Natychmiast przydepnęła brzeg spódnicy i zakląła paskudnie, bo gdy obiema rękami chwyciła szczebel, niechcący upuściła książki.

- Do diabła! - Uniosła suknię i ostro nie zeszła na dół. Spódnica aksamitnej kreacji była nieco dłuższa niż sukien porannych i popołudniowych i sięgała podłogi. Kresyda rozejrzała się odruchowo, jakby oczekiwała, że dostojne tomy dadzą jej jakąś wskazówkę zachowania. Po namyśle podkasła spódnice i wsunęła jej brzeg za pasek.

O tej porze nikt tu nie przyjdzie.

Pozbierała książki i podjęła na nowo biblioteczną wspinaczkę. Popatrzyła na woluminy i zaczęła je układać. Poezja rzymska. Czytała więc utwory Wergiliusza, Horacego i Katullusa, więc nie musiała zaglądać do rodka, aby znaleźć im właściwe miejsce wśród klasyków. Owidiusz? Ojciec miał jego dzieła, lecz nie pozwalał jej ich czytać. Ciekawe dlaczego. O poecie wiedziała niewiele. Podobno obraził cesarza Oktawiana Augusta i dlatego został wygnany z Rzymu.

Zaciekawiona otworzyła jeden z tomów zatytułowany „Sztuka kochania”. Zawahała się. Może nie powinna tego czytać? Papa powtarzał,

e wiele dzieł starożytnych autorów to lektura nieodpowiednia dla dam. Uczył j łaciny i greki jedynie dlatego, e uwielbiał dzieli si wiedz , a nie miał komu wykłada .

Mniejsza z tym. To przecie tylko ksi ka. Czy mały tomik mo e stanowi dla dziewczyny powa ne zagro enie? wiadomie zlekcewa yła opinie znawców, według których panie w trosce o swe umysły nie powinny si ga po lektur bardziej ekscytuj c od kaza , podr czników savoir-vivre'u oraz poradników dotycz cych prowadzenia domu. Według owej teorii ka da powie albo tomik poezji stanowiły ogromne niebezpiecze stwo dla płci pi knej. Sam tytuł „Sztuka kochania” wzbudziłby na pewno powa ne obiekcje.

Niepokorna Kresyda, stoj c na drabinie, miała otworzyła ksi k i zacz ła j kartkowa . Bardzo szybko zorientowała si , dlaczego ojciec umie cił Owidiusza na li cie ksi g zakazanych. Có za gorsze strofy! Nic dziwnego, e pruderyjny August zesłał poet do Tomi nad Morzem Czarnym. Czytała zachłannie, oczarowana radami, których dawno zmarły poeta udzielał zalotnikom pragn cym zdoby swe wybranki. O nieba! Przecie to istny podr cznik sztuki uwodzenia, znacznie ciekawszy od wszystkich poradników ucz cych panny, jak si dobrze prowadzi . Od razu zauwa yła pewn prawidłowo . Owidiusz, podobnie jak hrabia Rutherford, uwa ał, e miłosne przygody maj sprawa przyjemno i kobietom, i m czyznom, cho pisz c o tym, u ywał zwrotów nie całkiem dla niej zrozumiałych. Przegl daj c ksi k , natkn ła si na rady dla pa , które pragn zosta uwiedzione.

Szeroko otwartymi oczyma pochłaniała kolejne wersy. Za miewała si , czytaj c, jak nale y si stroi i dba o urod , eby zwabi kochanka. W sumie nic zdro nego. Przyznała w duchu, e podobne sugestie znajduje niekiedy we współczesnych podr cznikach dobrych manier. Pod koniec utworu zmieniła zdanie, bo znalazła tam rady nieco zbyt dosadne.

Palily j policzki. Całe ycie sp dziła na wsi. Obserwuj c na co dzie zwierz ta, wyrobiła sobie pogl d na istot aktu prokreacji. Nie zdawała sobie jednak sprawy, e istnieje tak wiele jego wariantów. „Zwierciadło urody” ani słowem nie wspominało o takich sprawach.

- Na miło bosk ! Co ty tam robisz na górze w rodku nocy?

Z dołu dobiegł Kresyd gniewny m ski głos. Zapominaj c, e stoi na chybotliwej drabinie, odwróciła si i straciła równowag .

Jack zakl ł i rzucił si na pomoc. Z furkotem zielonej aksamitnej

spódnicy całym swoim ciężarem spadła prosto w jego ramiona. Ugięła się pod uroczym brzemieniem.

Przyszedł do biblioteki, bo nie mógł zasnąć, więc postanowił trochę poczytać. Szukał książki nudnej i patetycznej, bo taka najszybciej ukołysałaby go do snu. Ostatnie, czego się spodziewał, to widok bohaterki swych niewczesnych rozważań uciepionej drabiny na wysokości jego wzroku ze spódnicy podkaszanej powyżej kolan. Na domiar złego zastanawiał się niedawno, jakie Kresyda ma nogi. Teraz okazało się, że są tak zgrabne, jak mu się wydawało.

Z powodu tych myśli czuł się podle. Na dodatek okazało się, że kuzynka w środku nocy pracownicę układa książki, więc poczucie winy osiągnęło apogeum. Co gorsza, przestraszył ją i spowodował niebezpieczny upadek. Powtarzał sobie w duchu, że trzeba natychmiast wypuścić ją z objęcia. Im szybciej, tym lepiej, ponieważ blisko słabej, bezbronnej kobiety poważyłby się nadzarsnąć jego mizerną zdolność panowania nad sobą. Był gotów na wszystko, byle nie patrzył na zielone oczy, szeroko otwarte ze zdumienia. Lada chwila otworzył się jeszcze szerzej, bo wbrew sobie zaczął do utraty tchu całować zmysłowe różniane usta.

Człowiek prawy i honorowy dawno postawiłby ją na podłodze, z czego wniosek, że on sam nie ma ani krzty honoru, bo wciąż trzyma ją w ramionach. Kresyda znieruchomiała wpatrzona w niego z obawą, jakby lękała się, że ją ugryzie.

I słusznie. Sam nie dałby głowy za to, że się opamiata. Zarumieniona skóra na szyi a więc prosiła, aby przypała do niej ustami.

- Jack? - zaczęła drżącym głosem, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu. - Czy mógłbyś mnie puścić? Twoje ramiona.

Jack był zaskoczony i wstrząsnął ty. Ujęła w kocy jego imienia. I nadal leżała w jego objęciach.

Nie chce urazić twego barku, skarcił się w duchu i w tej samej chwili obudziła się w nim nieufność. Może na coś czeka? A jeżeli planowała takie samo na sam i teraz znacznie wykorzystuje sytuację?

Natychmiast postawił Kresydę na podłodze, ale nie mógł się zdobyć na to, aby ją od siebie odsunąć. Położył dłonie na szczupłych ramionach. Wydawała się spokojna, ale drżała lekko, zdradzając skrywane napięcie. miała popatrzeć mu w oczy. Czy rozumiała, co się dzieje? Może to sprytny podstęp?

Niespodziewanie koniuszkiem języka oblizwała liczne usta. Tęgo

było dla Jacka za wiele. Daremnie walczył z pokus . Musiał dopi swego i poczu znowu smak jej słodkich warg. Zdrowy rozs dek podpowiadał, e trzeba wycofa si natychmiast, ale Jack pozostał głuchy na jego głos. Jak daleko Kresyda zamierza si posun w swojej grze?

- Nie powinienem tego robi .

- Czego?

- Tego. - Wolno pochylił głow . Miała do czasu, eby uciec. A jednak wołała zosta .

Całował delikatnie, jakby tylko mamł obietnic rozkoszy. Jedn dłoni uj ł podbródek Kresydy, a drag obj ł j w talii i przyci gn ł. Dłó obejmuj ca tali sun ła wolno ku górze, a spocz ła pod piersiami. Mu ni ty kciukiem sutek nabrzmiął momentalnie. Kresyda niespodziewanie krzykn ła, ale Jack zamkn ł jej usta nami tnym pocałunkiem. J zykiem pie cił ostro nie dołn warg . Spełniła niem pro b i otworzyła usta.

Wolno, lecz nieust pliwie pocałunki zmieniały charakter i stawały si coraz zachłanniej. Kresyda cała była rozpalona. Przez gruby aksamit czuła na piersi dło Jacka. Po chwili wsun ła si ona pod delikatn koronk , nieco zetłał ze staro ci, która rozerwała si z cichym szmerem. Zabrzmiął on w uszach Kresydy jak ostrzegawczy dzwonek. W tym samym momencie Jack mocniej przyłgn ł do niej biodrami i gł biej wsun ł j zyk mi dzy jej wargi. Ogarni ta po daniem, dr ała w jego ramionach. Nie ma porównania, naprawd nie ma.

Gdzie widzisz ró nic , kretynko? Ceł jest ten sam, cho Andrew próbował u y siły, a Jack stara si o bezwładni ci czuło ci . Na jedno wychodzi. Trzeba go powstrzyma . Ju dawno powinna to zrobi . Popęlniła bł d, pozwalaj c si znów pocałowa .

Nagle Kresyda u wiadomiła sobie, e mo e nie mie wyboru. A je li nie zdoła powstrzyma Jacka? Kto wie, jakie s jego zamiary? Czy by tym razem postanowił doprowadzi rzecz do wiadomego ko ca? Ogarn ł j strach, który stłumił po danie. Wystarczyło, e szczupłe palce w lizgn ły si pod rozerwan koronk i zacz ły głąska jedwabist skór . Kresyda oderwała usta od warg Jacka i odetchn ła gł boko.

- Dosy ! Pu mnie!

Próbowała go odepchn , ale zabrakło jej sił. Gdyby musiała si broni , miałaby marne widoki na zwyci stwo.

Jack u wiadomił sobie, e Kresyda nagle zmieniła zdanie i próbuje mu si wyrwa . Korciło go, eby j przytuli jeszcze cho by na krótk

chwil , pój nieco dalej cudownie k zmysłowych rozkoszy. Wiedział, że to niemożliwe. Nie miał tego cięgnięcia, bo nie ufał sobie. Miał wiadomość, że jeśli natychmiast nie weźmie się w garść, wkrótce nie będzie odwrotu. W pewnym momencie chęć skarcenia Kresydy i dania jej nauki zmieniła się w gorące pragnienie, aby wprowadzić ją w świat zmysłowych rozkoszy. Wiedział już, że ta dziewczyna potrafi rozpałać go do białości. Cofnął się i zaczerpnął powietrza.

- Możliwe to ci wiadome... - zaczął, siląc się na pozornie obojętne. - Kresydo?

Nie odpowiedziała, tylko spoglądała na niego, a może gdzieś poza niego takim wzrokiem, jakby ujrzała złego ducha. Na widok bladej, skurczonej twarzyczki ogarnęło go poczucie winy. Przez chwilę obawiał się, że Kresyda zemdleje. Odruchowo wyciągnął rękę, chcąc ją podtrzymać. Oprzytomniała natychmiast i rzuciła się w tył.

- Nie! — krzyknęła zduszonym głosem. Była przerażona. Natychmiast odwróciła się i wybiegła z biblioteki.

Nawet jeśli celowo go kuszyła, nie miał prawa wzbudzać w niej lęku. Uchodził przecież za dementa, więc powinien być opanowany i taktowny za nich dwoje.

Czy umyślnie go tak rozpałała? Szyderczy głos zdrowego rozsądku bazującego na racjonalnym doświadczeniu podpowiadał, że nie ma co do tego wątpliwości. Selina Pilkington mogłaby u niej brać lekcje. Kresyda poczynała sobie dużo gorzej. Tamtej ledwie zdołał skraść kilka niewinnych całusów.

A może nie była wcale taka miła, lecz całkiem niewinna i zupełnie nieświadoma wielkiego niebezpieczeństwa? Czy zdawała sobie sprawę, co się z nią dzieje? Przeczucie mówiło mu, że nie miała o tym pojęcia. A zresztą gdyby nawet kontrolowała sytuację, nie powinien tak sobie folgować. Słabsze, znacznie mniej ryzykowne metody, aby oduczyć pannę kokieterii oraz kobiecych sztuczek i wskazać ich daremnie. Jack obiecał sobie, że pomyśli o tym jutro, a tymczasem postanowił wrócić do łóżka. Złaskotał.

Stanowczo odrzucił myśl, że wołałby położyć się spać z Kresyda. Szkoda, że to nie Londyn. Tam mógłby wyjść z domu i poszukać kobiety gotowej ulec mu w cierpieniu. W tej samej chwili z przerażeniem zdał sobie sprawę, że to by nic nie dało. Nie chciał pierwszej lepszej kochanki ani chwili zapomnienia w cudzym łóżku. Pragnął się kochać z Kresyda w swoim łóżku. Po raz pierwszy w życiu

naszła go taka zachcianka. Dotąd był zdania, że we własnym łóżku sypia się jedynie z żoną. Natychmiast porzucił ten w tekście prowadzący do niebezpiecznych wniosków.

Książka. Miał poczytać do poduszki.

Zerknął na tom upuszczony przez Kresydę. Gdy wszedł do biblioteki, czytała go, stojąc na drabinie. Umiechnął się mimo woli. I jemu się to zdarzało. Między innymi dlatego tak się ślimaczył przy katalogowaniu zbiorów. Ani on, ani jego ojciec nie potrafili się oprzeć pokusie przekartkowania ciekawej książki.

Tomik wyglądał znajomo. Jack zmarszczył brwi. Niemożliwe! Z pewnością ci się pomylił. Książka leżała na podłodze coraz bardziej go niepokoiła. Zdumiony podniósł ją wreszcie i popatrzył na kartę tytułową. A jednak! Cisnął tom w górę biblioteki, jakby parzył mu dłonie. Nie takiej lektury potrzebował dzisiaj, żeby zasnąć. W ciepło, żeby po jej przejrzeniu spał słodko jak aniołek. Tego rodzaju dzieła zdecydowanie wybijają człowieka ze snu.

Ruszył ku drzwiom i nadeptnął na drobny przedmiot. Zerknął w dół i zobaczył rozsypane na dywanie szpilki, których Kresyda używała do upinania bujnych kasztanowych włosów. Długie, jedwabiste pukle wiły się niedawno wokół jego palców, jakby były własnym cieniem. Wzdrygnął się na to wspomnienie.

Z ponurą miną zacisnął zęby i pochylił się, żeby pozbić szpilki. Rano odda je Kresydzie. Skoro zaczęła się uczyć od Owidiusza, trzeba jak najszybciej przemówić jej do rozsądku. Pomysły tego poety nawet w teorii stanowiły poważne zagrożenie, a co dopiero, gdyby ktoś zaczął je wprowadzać w czyn.

Był jeszcze jeden problem. Jack nie zamierzał wykorzystywać skłonności do kokieterii, objawianej przez kuzynkę. Znał inne sposoby, pozwalające osiągnąć upragniony cel. Miał niezłomne zasady, ale innym czyżna, który mniej od siebie wymaga, mógłby skorzystać z okazji. Ciekawe, czy Kresyda zdaje sobie sprawę, że igra z ogniem. Czy nagłe przerażenie było prawdziwe? Może udawała? A jeżeli to czyste chytrego planu?

Zmrużył oczy, bo przyszedł mu do głowy doskonały pomysł. Przy odrobinie szczęścia wkrótce da pannie Kresydzie Bramley nauczkę, którą płochą dziewczyna nieprędko zapomni. Trzeba równie postarać się o przyzwoitkę, która będzie pilnowała, żeby nie zrobił głupstwa.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

-Słucham, papo?

Kresyda odgarnęła niesforny lok i popatrzyła na ojca, który marszczył brwi, spoglądając na nią zza stołu.

-Powiedziałem, że to nie jest odpowiednie miejsce dla tej książki. Położyłem ją gdzie indziej, moje dziecko. Powinna znaleźć się tam. - Wskazał półkę na odległym regale.

Kresyda westchnęła i znów przetarła oczy, które z niewyspania piekły jej mocno. Pukle opadały na twarz, bo nie miała do nich szpilek, żeby je rano porządkować. Zwykle nie przejmowała się takimi drobiazgami, ale dzisiaj gryzła się tym przez całe przedpołudnie, bo lu nie kosmyki łaskotały policzki, a tak jej przypominały o niestosowności jej wczorajszego zachowania. Wystawiła sobie fatalne wiadectwo.

-Wybacz, papo - odparła głową, a w duchu klęła, na czym wiat stoi. Poprawiła fryzurę, po raz kolejny zwiłając włosy w luźny kok.

Owczynie pobiegła do biblioteki, żeby pozbiierać rozsypane szpilki, ale nie znalazła ani jednej. Czy by pokojówka uprzątnęła i te należały do niej, i te będące własnością hrabiny Rutherford, które wczoraj leżały przy kominku? Zadawała sobie pytanie, czemu od rana jest taka rozdrażniona. Może z powodu bezsenności? A jeśli dopadło jej jakieś choróbko? Tu i ówdzie czuła dokuczliwe mrowienie.

Bez entuzjazmu wzięła się znów do układania książek. Mechanicznie stawiała je na półkach. W ogóle jej nie korciło, by zajrzeć do rodka, przekartkować choćby jeden tomik. Zerknęła w dół, spoglądając na ojca, który tym się wcale nie zajmował. Lekko zmarszczone czoło i wydarte wargi świadczyły, że jest pochłonięty zajmującą go lekturą. Uśmiechnęła się. Teraz nawet trzęsienie ziemi nie wyrwałoby go z zamyślenia.

Zadawała sobie pytanie, co powie Jackowi, gdy się dziś spotkają. Wczoraj wieczorem zachowała się jak ładacznica. Gdyby Jack nie był człowiekiem honoru... Zadrżała na myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć. Przez całą noc się nad tym zastanawiała.

Mógłby ci zniewolić, tłumaczyła sobie w duchu. Zresztą obyłoby się chyba bez użycia siły. Gdyby nie cofnął się w porę, sama by mu uległa.

Kiedy o tym rozmyślała, dreszcz przeszedł jej po plecach. Przypomniała sobie to dziwne mrowienie. Uznała je za objaw strachu. Z pewnością to tylko powoduje taką reakcję. Leżąc bezsenność w

ciemno ciach chłodnej sypialni, nie miała wziąć pod uwagę innych możliwości. Popęłiłaby szaleństwo, pozwalając sobie znowu wierzyć, - nie nadzieję.

Czemu Jack tak namiętnie ją całował? Tylko głupiec mógłby mu odmówić poczucia honoru, a aden przyzwoity mężczyzna nie całuje w ten sposób panny, chyba że chce się jej oświadczyć. Nie. Wykluczone. Trzeba zapomnieć o tych rojeniach. Poza tym musiałaby powiedzieć mu, dlaczego opuściła wraz z ojcem Kornwali. Nawet gdyby po usłyszeniu prawdy Jack ponownie się zadeklarował, nie przyjąłaby go. Nie mogła wnieść mu w posagu zaszarganej reputacji.

Machinalnie spojrzała w okno. Migotliwy urok zimowej sceny zniknął, a niebo zasnuło się ciemnymi chmurami. Znowu spadnie śnieg. Kresyda drżała mimo ciepła bijącego od kominka i marzyła o cieplejszej sukni.

Może powinna wyjść na mroź? Podobno jak się porządkownie zmarnie, chłód przestaje dokuczać. Zmysły tępię, a człowieka ogarnia fałszywe poczucie bezpieczeństwa, bo ma wrażenie, że jest mu ciepło. Gdyby tak zmarnieć naokoło...

Z zadumy wyrwał ją znaczący chrząknięcie.

- Tak? - Rozejrzała się z roztargnieniem i mocno chwyciła szczebel drabiny, bo omal nie upadła. Niech to diabli! Dlaczego znowu pojawił się bez uprzedzenia?

- Czy po prostu mi trochę czasu, kuzynko? - Znużony ton pozwalał się domyślać, że to samo pytanie zostało już zadane kilkakrotnie.

- Trochę czasu? - powtórzyła drżącym głosem.

- Tak - potwierdził Jack. - Chciałbym porozmawiać z tobą na osobno ci.

Na osobno ci?

- Wykluczone - odparła miała i dodała nieco zbyt późno: - Dzik bardzo. - Odniosła wrażenie, że słowa te nie pasują do sytuacji, więc zaczęła się pospiesznie tłumaczyć: - Moim zdaniem to niebezpieczny wypadek - poprawiła się natychmiast - zwłaszcza po tym jak... - Zawiesiła głos, daremnie szukając odpowiednich słów. Po tym jak skradł mi całusa? Po tym jak się całowali my? Po tym jak mnie prawie uwiodł? Po tym jak omal nie stałam się kobietą upadłą? adne z okrelenie nie wydawało się odpowiednie. Kresyda roztropnie pozostała na szczycie drabiny i milczała. Niech Jack sam dokończy zdanie.

- Moja droga kuzynko, podziwiam twój skromno i poczucie taktu, ale zapewniam, że nie musimy opuszczać biblioteki. Odejdziemy na bok, a twój ojciec będzie idealnie przyzwoity. Chciałbym ci zwrócić twój własny .

Trzymał w rękach szpilki do włosów.

To wystarczyło, żeby poczuła, jak rumieniec ogarnia nie tylko twarz i policzki. Zapewne cała zrobiła się czerwona, co sprawiło, że jeszcze bardziej się sowała. Rzecz jasna, zawstydzona miała aluzja, a nie samo wspomnienie. Jak automat zesłała po drabinie, błagając w duchu niebiosa, żeby Jack nie próbował jej pomóc.

- Kresydo? - usłyszała głos ojca, który natychmiast przywołał ich do porządku.

- Tak? Słucham, papo?

- Jack zabiera ci spacer, córeczko? - Starszy pan uśmiechnął się przyjaźnie. - Lepiej idź po płaszcz. Chyba ochłodziło.

- Nie sędzi.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przejdziemy tylko w głąb biblioteki - odparł Jack.

Od razu zauważyła, że zmienił ton. Do jej ojca przemawiał uprzejmie. Nie było w jego głosie ani śladu chłodnej wyniosłości, łatwo wyczuwalnej, kiedy zwracał się do niej.

Z obowiązkowo minął jej dłoń, wsunął sobie pod ramię i ruszył wzdłuż regałów. Ogarnięta w ciemności nie miała wyboru. Wiedziała doskonale, że gdyby zaprotestowała, papa natychmiast stanąłby po jej stronie, narażając się Jackowi, co mogłoby się skończyć utratą posady.

Wypogodziło się nieco i blade promienie zimowego słońca wpadały teraz przez okna biblioteki, rozświetlając nieco spłowiałe perskie dywany. Blask i chłód. Kresyda czuła, że jej dłoń, spoczywająca na ramieniu Jacka, tak jest zimna. Może dlatego zziębła, że go dotykała? Ale czuła przecie żar bijący od jego ciała. Czemu nie mógł ogrzać jej ręki?

Zatrzymał się przy oknie obok sekretarzyka. Stali w pełnym świetle, ale kiedy podniosła głowę i spojrzała na niego pytając, co, słońce tchórzliwie skryło się za grubą warstwą chmur. Kresyda przysięgła sobie w duchu, że nie pójdzie za jego przykładem i odważnie stawia czoło sytuacji.

Jack natychmiast przestał być taki oficjalny. Wziął ją za rękę i kciukiem gładził wnetrze dłoni. Poczuli cudowny dreszcz. Wstrząsnęła,

daremnie próbowała wyrwać rękę. Jak to możliwe, żeby delikatna pieśczoć wytrzymała z równowagi? Jack mocniej zacisnął palce.

- Kresydo, wczoraj wieczorem miała całkowitą rację, przerywajcie nasze... karesy.

Aha, dla niego to były karesy?

- Postąpiłem lekkomyślnie, przyspieszcie bieg wypadków bez omówienia z tobą naszej sytuacji.

Jakiej sytuacji?

- Tak, powinienem najpierw rozmówić się z tobą, ale namiar wzięła górę nad rozsądkiem.

O Boże! Chyba nie zamierza się oświadczyć. Jeśli liźnę, się skłoni mnie...

- To nierozsądne z mojej strony bez zastanowienia posuwać się od razu tak daleko. Rozumiem, że chcesz znać moje warunki i przeanalizować je w spokoju. Twój ojciec, rzecz jasna, będzie przeciwny.

- Dlaczego miałby się sprzeciwić? - Własny głos słyszała jak przez mgłę.

- Moja droga Kresydo. Nie ma duchownego, który nie oponowałby na wieść, że jego córka zamierza podjąć taką decyzję. Każdemu czyste na jego miejscu zrobiłby to samo. Nie żałowałbym ci tej propozycji, gdyby wczoraj nie dała mi do zrozumienia, że zostanie wyzłiwie przyjęta. - U miech Jacka zdradzał jego intencje. - Domyślam się, że będzie twoim pierwszym mężczyzną. Jeśli rzecz się potwierdzi, hojnie ci to wynagrodzi.

- Co... Co konkretnie pan sugeruje? - spytała zmartwiałymi wargami, powracając do oficjalnego tonu. Domyślała się, jaka będzie odpowiedź, i już nad nią bolała, ale serce nie chciało przyjąć do wiadomości okrutnej prawdy.

- Oczywiście, żeby została moim kochanką - odparł spokojnie. - Jestem tylko człowiekiem, moja droga. Odkąd zaczęła czarować mnie swoimi wdziękami, nie mogę znaleźć spokoju. Nikt ci się nie oprze.

- Kresydo? - Głos wielbego Bramleya przerwał rozmowę.

- Tak, tato?

- Wczoraj tu leżał tom Owidiusza. Nie wiesz, gdzie jest? - Po chwili dodał podejrzliwie: - Mam nadzieję, że nie czytała tej książki.

- Ja... tato... - zajęknęła się. - Chyba jest tam.

- Och, tak, już widzę. Skąd się tutaj wzięła? Dziękuję, córeczko.

Zarumieniona Kresyda odwróciła się do Jacka.

- Z pewno ci była to dla ciebie pouczająca lektura - powiedział melancholijnie. - Zapewniam, że praktyka jest o wiele bardziej ekscytująca.

- Pan s dzi, że chcę by pa sk kochank - odezwała się wstrząśnięta Kresyda. wiat jej marzeń leżał w gruzach.

Jack wzruszył ramionami.

- Naturalnie. Gdyby miała lepsze koligacje albo mniej rozumu, podejrzewałbym, że chcesz mnie zaciągnąć do ołtarza, lecz zważywszy na okoliczności...

Znała na pamięć wyliczanki. adnych koligacji, w tępia reputacja matki, bez posagu, nieszczególna uroda, która na męczyznach nie robi wi ksze go wra enia.

Chyba zmieniła się na twarzy, bo zapytał niepewnie:

- Kresydo? O co chodzi? S dziła, że zamierzam się o wia dzy? - Roze miał się cicho. - O nie, moja droga. Nie ma takiej mo liwo ci. Współczuj ci, bo nie masz łatwego ycia, ale to nie oznacza, że chciałbym cię po lubić. B dzie z siebie wspomniała kochanka.

Ze swad opowiadał, czego może się spodziewać i jakie są jego oczekiwania. Ka de słowo było jak sztylet wbity w jej serce, czuła się jak klacz na licytacji. Potencjalny nabywca chwalił jej zalety i obiecywał dobrze traktować.

- Nie - przerwała mu dr cym głosem, gdy wyliczał finansowe korzyści, jakie przyniesie jej ten związek.

- Za mało? Oczywiście cię możemy o tym podyskutować.

Nawet nie mrugnęła powiekami, natychmiast podwyższyła ofertę. Nonszalancja jego tonu sprawiła, że Kresyda wzięła się w garść. Potem b dzie wyplakana w poduszkę swoje rozczarowanie. Nagle zdała sobie sprawę, że wbrew rozwadze i nieufności w głębi serca ludzkości, że Jack ją kocha. Ale on się o tym nie dowie. Choćby miała przyplacić to yciem, da temu potworowi nauczkę, która na zawsze wbije mu się w pamięć. W takich sytuacjach warto kierować się dumą.

- Nie w tym rzecz, proszę pana. - Starła się mówić z nonszalancją, nie zdradzając ogromu swego cierpienia. - Wczoraj wieczorem długo się nad tym zastanawiałam i doszłam do wniosku, że myliłam się, s dzi c, jakoby miałam ochotę zostać pa sk kochank. Nie w tpi, że byłby pan dla mnie bardzo hojny, ale lepiej na tym wyjść, jeżeli się jeszcze trochę porozglądam.

Udało jej się zapanować nad głosem. Dobrze i to. Ciemny rumieniec był nie do opanowania. Policzki i szyja poczerwieniały, więc chciała ukryć, pochyliła się, żeby poprawić pantofelek. Z przerażeniem stwierdziła, że przy stanie jej w oczach i lada chwila zaczęły spływać po policzkach. To hasło do odwrotu. Trzeba uciekać.

- Czy zechce pan łaskawie oddać mi szpilki? Muszę doprowadzić fryzurę do porządku. - Odważyła się na niego spojrzeć, ale natychmiast tego pożałowała.

- Panno Bramley... - Teraz dla odmiany Jack stał się przesadnie oficjalny. - Zapewniam, że jeśli przyłapię panią na kokietowaniu mojego serdecznego przyjaciela hrabiego Rutherforda, następnego ranka będzie pani zmuszona opuścić ten dom.

Kresyda nie była w stanie dłużej tego znosić. Straciła cierpliwość oraz panowanie nad sobą. Całkowicie. Jak ten draźniak miał sugerować, że byłaby zdolna do tak niskiego postępu? Skoro tak nisko ją ocenił, proszę bardzo: sama dostarczę mu pożywkę.

- Ach tak? - odparła z udawanym słodyczem. - Sądzi pan, że jestem mną zainteresowany? Wydawało mi się, że jest pan uszy zakochany w mnie, a inne kobiety dla niego nie istnieją, ale skoro pańskim zdaniem...

- Dzień dobry, Jack. Dzień dobry, panno Bramley. Oboje jednocześnie nie się odwrócili. Na widok hrabiny

Kresyda poczuła, że blednie. Zrobiło jej się słabo. Ona hrabiego nie zadała sobie trudu, żeby chociaż prowizorycznie upięć włosy. Zostawiła je rozpuszczone. Opadały na plecy, sięgając niemal do pasa.

- Szukam moich szpilek - wyjąknęła, lekko zarumieniona. Podeszła bliżej i dodała, jeszcze bardziej: - Och, widzisz, że je znalazłam, Jack.

Pan domu tak się poczerwienił.

- Ale to nie... Sądziłem, że są własnościami ci.

- Należą do mnie - przerwała Kresyda. Wyciągnęła rękę, zabrała je, ale upuściła wiązki, kiedy zetknęły się ich palce.

Dla Jacka to przelotne muśnięcie było niczym dotknięcie płomienia. Bardziej niż kiedykolwiek pragnął zamknąć Kresydę w mocnym uścisku i całować, a przyznać, że należałby wyrazić do niego. Zastanawiała się, czy nie została jego kochanką. Miała propozycję wcale jej nie zgorszyła. W głębi serca bardzo nad tym bolał. Polem zmieniła zdanie, co jeszcze bardziej go zabolowało. Oznajmiła, że nie

ma ochoty się z nim zadawać. Z trudem nad sobą panował.

- Proszę pozwolić, a pomogę. - Meg pochylała się, aby pozbiierać rozsypane szpilki Kresydy. - Panno Bramley, dobrze się pani czuje?

Troska pobrzmiwała w głosie Meg, sprawiła, że Jack ogarnął w ciekną. Gdyby ona wiedziała, jakie słowa wyszły przed chwilą z ust tej małej latawicy!

- Wszystko w porządku. Co mi wpadło do oka. Wydaje mi się, że pani szpilki leżą nadal przy kominku. Tam je ostatnio widziałam.

Kresyda wybiegła z biblioteki. Nie dobiegła szybko jednak. Łzy stanęły jej w oczach i spływały po policzkach. Jack spostrzegł, w jakim Kresyda jest stanie, i ogarnął go wyrzuty sumienia, a wkrótce w jego umyśle pojawiło się równie straszliwe podejrzenie, że popełnił niewybaczalny błąd.

Machinalnie rzucił się za nią ku drzwiom, ale drobna dłoń chwyciła go za nadgarstek.

- Zapewne do pani powiedziały tego ranka.

Odwrócił się i spojrzał w niebieskie oczy Meg, zwykle łagodne, a dziś zimne jak lód.

- Panna Bramley potrafi bez twojej pomocy upięć włosy - powiedziała z naciskiem. - Słuchaj, nie klóć ci się, kiedy przyszłam, więc lepiej, abyś teraz wyplakała w miarę, bo liwo ci się dała od ciebie.

- Do diabła! Meg, nie wiesz, o co...

- Owszem - przyznała - i nie chcę wiedzieć. - Zamilkła na chwilę. - Teraz zamierzam poszukać swoich szpilek.

- Kresydo, dziecino.

Wielebny Bramley przyglądał im się z jawnym zdumieniem.

- Och, to nie Kresyda. - Gdy Meg odwróciła się do niego, uznał za stosowne na głos wypowiedzieć swoje spostrzeżenie. - Poszła do swojego pokoju?

Jack nie był w stanie wykrztusić słowa, więc machinalnie kiwnął głową.

- Zastanawiam się, czy wie, gdzie jest chiński konik z nefrytu i Budda z kości słoniowej. Obie figurki stały nad kominkiem, a teraz ich nie widzę - tłumaczył duchowny.

Jack popatrzył na gzyms, gdzie rezydował zwykle Budda. Dziś go tam nie było. Ogarnięty gniewem zadał sobie pytanie, czy ktoś ze służyby... Niemożliwe. Wszyscy pracowali we dworze od lat. A jednak konik zniknął. Budda również. Czy by ktoś zniszczył figurki przez nieuwagę i boi się do tego przyznać?

Meg pozbierała szpilki i teraz upinała włosy przed lustrem.

- ' Jack, chodzi o tego konika z czasów dynastii Tang? - wymamrotała, trzymając w ustach metalowe szpilki.

- Tak -. odparł krótko. Ojciec podarował mu te figurki na dwudzieste pierwsze urodziny. Gdyby kto zniszczył je niechcący, to trudno, ale je to została skradziona... Ktokolwiek to uczynił, z miejsca straci posad i gorzko poałuje niecnego postępu, bo nie dostanie porządnych referencji. Jackowi nie zdarzyło się jeszcze w ten sposób odprawić tego.

Trzeba się zastanowić, co z Kresydą. Wspomnienie też spływających po jej policzkach nic dawało mu spokoju.

Najwyraźniej zrobił z siebie kompletnego idiotę. Jak mógł zaproponować skromnej panience z dobrego domu, aby została jego kochanką?

Co by zrobił, gdyby się zgodziła?

Kresyda stała wpatrzona w progi drzwi salonu i próbowała zebrać siłę na odwagę i wejść. Przecież to zwykłe drzwi. A kobieta za nimi była całkiem zwyczajna, chociaż hrabina; najwyraźniej odmówi. Po dzisiejszej rozmowie z Jackiem Kresyda nie miała wyboru. Musiała zaryzykować.

Odetchnęła głębiej, otworzyła drzwi i weszła.

- Hrabina Rutherford?

Dama nie odpowiedziała, lecz nagle podniosła głowę znad książki. Kresyda zauważyła, że jej gładkie włosy zostały starannie upięte licznymi szpilkami.

- Proszę mi wybaczyć, panno Bramley. Kiedy ludzie mnie tytułują, w pierwszej chwili nie mam pojęcia, o kogo chodzi.

Jak hrabina może zapominać o swoim tytule i pozycji w wielkim świecie? - zdziwiła się w duchu Kresyda.

- Czego pani sobie życzy, panno Bramley? Proszę usiąść.

Zdenerwowana Kresyda podeszła bliżej. Rzadko wchodziła do salonu. Otwierano go jedynie wówczas, gdy do Jacka przyjeżdżała gościnnie. Hrabina Rutherford przychodziła tu karmić małego Jona, bo uznała, że obecność jej małego stawa przeszkadzałyby wielbnemu Bramleyowi. Kresyda dostrzegła ogromny wiklinowy kosz, w którym, jak się domyślała, spał wicehrabia Brandon, dziedzic Rutherfordów.

Przycupnęła na brzegu fotela stojącego przy kominku i splótła palce. Całą godzinę powtarzała na powtarzanie swojej mowy, więc nie

powinna mieć adnych trudno ci. Gdyby tylko udało jej się zapomnieć o rozsypanych szpilkach do włosów.

Odetchnęła głębiej i zaczęła głosem zniżej aż do szeptu.

- Czy zechciałaby pani napisać mi referencje i polecić mnie jako guwernantkę? Mogę z pani porozmawiać po francusku i po włosku, naszkicować coś i zagrać. Mam sporą wiedzę ogólną i jestem dobrze przygotowana do tej pracy. Zechce pani dać mi referencje?

Hrabina Rutherford spowaśniała.

- Gdyby zaczęła pani rozmawiać ze mną po francusku albo po włosku, musiałabym chyba zawołać matkę, aby posłużyła mi za tłumaczkę - odparła do niej. - A co do rysunku i muzyki, jestem głębiej przekonana, że w tych dziedzinach pani umieć trochę ci znacznie przewyższaj moje. Nie musi pani mówić szeptem. Jon powinien się już obudzić, ale tego piocha ze snu może wyrwać jedynie wystrzał z muszkietu.

- Ale pani jako hrabina... - zaczęła Kresyda, nie kryjąc zdziwienia. - Sądziłam, że wszystkie arystokratki...

- Sądziła wykształcone i rozwijają artystyczne talenty? - wpadła jej w słowo wyrażenie niezadowolona i trochę zakłopotana hrabina Rutherford. - Nie wychowywano mnie na przyszłą hrabinę. Gdy wyszłam za matkę, w wieku moich siostr po kryjomu wydawałam na znakomitych nauczycieli. Gdy Marc się o tym dowiedział, od razu polecił im wszystkim wysłać rachunki swojemu plenipotentowi! - Uśmiechnęła się serdecznie. - Rzecz jasna, dam pani referencje, ale proszę się liczyć z tym, że niektórym mogą się one wydać nieco podejrzanymi. Mam zadzwonić na służbę, aby podano nam herbatę?

- Słucham? - Hrabina napisze referencje. Wbrew jej ostrzeżeniom Kresyda była przekonana, że dla niej to ludzi zdanie hrabiny w kwestii materii ma swoją wartość.

- Herbaty? A może powinnam zapytać pani o to po francusku? - Hrabina Rutherford wybuchnęła śmiechem. - Języków obcych uczyła mnie guwernantka mojej szwagierki. Jeśli będziemy rozmawiać po francusku, napisz w referencjach, że miała pani ze mną konwersacje, a to istotny atut. - Sięgnęła po dzwonek.

- Chodzi tylko o francuski czy o włoski tak jest? - zapytała nagle Kresyda.

Hrabina Rutherford zwróciła się w jej stronę.

- A więc zgodna? - Nagle spowaśniała. - I tak napisałabym pochlebnie

opini , skoro pani na tym zale y. To nie był szanta z mojej strony. Za lekcje b d płaci .

- Wykluczone - sprzeciwiła si Kresyda. - Jak mogłabym bra od pani pieni dze?!

- Czy nie mogłaby pani zwraca si do mnie po imieniu? - zapytała Meg. - Przecie to mieszne, e rozmawiamy tak oficjalnie. Jest pani kuzynk Jacka. Szczerze mówi c, nie przypominam sobie, eby kiedykolwiek przedtem zachowywał si tak głupio.

- Siedz , e w moim przypadku pan Hamilton nie yczy sobie takiej poufało ci - oznajmiła Kresyda i od razu zdała sobie spraw , e to najwi ksza nieprawda, jak wy-

powiedziała w całym swoim yciu. Jack chciał zrobi z niej swoj metres , wi c zapewne mówiliby sobie po imieniu. Mo e nawet u ywaliby zdrobnie ?

- Jego obiekcje nie dotycz nas obu - odparła hrabina Rutherford, z wielkim zaciekawieniem przygl daj c si zarumienionym policzkom Kresydy. - Je li nadal b dzie mnie pani tytułowa , o znakomitych referencjach nie mamowy.

Od strony koszyka dobiegł pełen oburzenia, gło ny płacz. Hrabina ukl kła obok prowizorycznej kołyski, wyj ła z niej synka i zagadn ła go pieczołtliwie. Kresyda przygl dała si jej jak urzeczona. Pomy ła, e nie b dzie jej nigdy dane zazna rado ci macierzy stwa. Przekonała si , e mo na t skni za tym, czego si wcze niej nie do wiadczyło. Wystarczyło, e patrzyła na inn kobiet , która trzyma w ramionach swoje dzieci tko, pospiesznie rozpina karczek sukni i karmi zadowolone male stwo. Ten widok sprawił Kresydzie niemal fizyczny ból.

- Naprawd chcesz zosta guwernantk ? - spytała hrabina Rutherford.

- Bez wi kszego entuzjazmu - przyznała Kresyda, w gł bi serca bole nie wiadoma, jakie ycie najbardziej by jej odpowiadało. - Teraz, gdy papa otrzymał doskonał posad , nie mam ju powodu, eby odkłada t decyzj . Nie mog osi w tym domu na stałe.

- Tak. Raczej nie. Ludzie s w tych kwestiach okropnie staro wieccy. - Hrabina Rutherford wierciła si niespokojnie.

- Potrzebna poduszka? - domy liła si Kresyda.

- O tak, bardzo prosz .

Staraj c si nie przestraszy dziecka, wsun ła poduszk pod plecy hrabiny.

- Czy tak dobrze, milady? - Ostrzegawcze spojrzenie niebieskich oczu, przekonało ją, że hrabina mówiła serio i naprawdę chce się z nią zaprzyjaźnić. Jak jej na imię? - Meg.

- Znakomicie. Tak jest lepiej. Po karmieniu zostawimy Jona pod opiekę niani i pójdziemy na spacer, nim znów zacznie padać śnieg. Nie wychodzi z małym, bo jest za zimno. Powiesz mi, jak się pisze referencje. Najlepiej po francusku.

- Albo po włosku — dodała z powagą Kresyda.

- Owszem. - Meg uśmiechnęła się. - A teraz bądź tak miła i zawiń kokardę na klamce od strony korytarza. To znak dla naszych panów i służących, że nie powinni tu wchodzić.

Jack popatrzył na listy i zaklął. Pomagając wielebnemu porządkować księgozbiór, dyskretnie rozejrzał się po półkach i zauważył brak wielu bibelotów. Nie dbał o ich wartość materialną, ale były to cenne pamiątki rodzinne, podarunki, drobiazgi należące do ojca i dziadka. I to mógłby przeboleć, lecz najgorsze w tych kradzieżach było poczucie zawodu i nadszarpnięte zaufanie do ludzi.

Osoba, którą znał, której wierzył, zakradała się tu chyłkiem, aby go okraść. W innej sytuacji pokojówka sprzątajca bibliotek odkryłaby brak cennych przedmiotów, lecz teraz wszędzie panował ogromny nieład i pewnie uznała, że wszystkie te rzeczy zostały przestawione w inne miejsce.

Chyba że sama je wzięła, licząc na to, że w ogólnym rozgardiaszu ich zniknięcie pozostanie niezauważone.

Jack brzydził się własną podejrzliwością, lecz kradzieże były faktem. Trzeba przeprowadzić śledztwo. A może Evans albo pani Roberts schowali te przedmioty w bezpiecznym miejscu?

I nic mi nie powiedzieli? Zadał sobie pytanie, czy to może być liwe. Czemu nie usunęli wszystkich przedmiotów z nefrytu i kości słoniowej?

- Stary, co się stało?

Odwrócił się. Pogrążony w myślach, nie zauważył, że i o bibliotekę wszedł Marc.

- Witaj - odparł Jack. - Wracasz z przejażdżki. Gdzie Meg?

- Natknęłam się na nią w ogrodzie. - Marc padł na fotel i wyciągnął przed siebie długie nogi w zabłoconych butach i skrzywił kostki. - Spacerowała z twoją kuzynką. Rozmawiała po francusku. Nie da się

ukry , e mówi płynnie.

- Owszem. - Jack kiwn łą głow . - Chwaliła si , e robi post py.

Marc popatrzył na niego z jawnym rozbawieniem.

- Mam na my li pann Bramley, a nie Meg.

Wielebny Bramley podniósł głow znad biurka.

- Kresyda mówi płynnie? No pewnie. To chyba oczywiste! Moja ona Amabel darzyła francuski szczególn miło ci . Włoski równie . I pi knie piewała, biedactwo. Przed lubem była znakomit guwernantk , wi c sama uczyła Kresyd .

- Wykładała jej tak e łacin ? - zapytał przyja nie Jack.

- O nie - zaprzeczył spłoszony pan Bramley. - To moja sprawka. Dzi ki mnie zna równie grek . Wiesz, drogi chłopcze, bardzo lubi uczy , a Kresyda jest taka zdolna. Musz przyzna , e jej opinie s dla mnie czasami bod cem do własnych przemy le . Ciekawe, nadzwyczaj ciekawe, niemniej przestrzegam j , e w opinii ogółu młodej pannie nie przystoi taka samodzielno my lenia. Poza tym nie pozwalam jej, rzecz jasna, czyta nazbyt miłych tekstów.

- Naturalnie - odparł zduszonym głosem Jack. Ciekawe, od kiedy smarkule takie jak Kresyda pytaj rodziców o zgod , wybieraj c sobie lektury. Jemu równie post powanie kuzynki dało do my lenia. I pobudziło wyobra ni .

Wielebny Bramley znów zabrał si do katalogowania i zwrócił si ku przeszło ci.

- Mam nadziej - zacz łą Marc z przewrotnym u miechem - e Meg i panna Bramley ogranicz si do francuskiego i włoskiego. Kiedy my b dziemy s czy porto, one mog odbywa konwersacje. A mo e jednak planuj lekcje łaciny.

- Nie wywołuj wilka z lasu, bo pewnego dnia zastaniesz tu Meg, stoj c na drabinie i z wypiekami na twarzy czytaj c Owidiusza.

- Tak s dzisz? - szepn łą Marc tak cicho, e słyssał go jedynie Jack. - Czy w takiej sytuacji panna Bramley postradała szpilki do włosów? Pasjonuj ce! Zgadzam si z tob , e Owidiusz to miała lektura.

Jack starał si panowa nad sob z dwóch powodów.

Po pierwsze, obolałe rami sprawiało, e nie mógł rozkwasi Marcowi nosa. Po drugie, takie zachowanie ur gało odwiecznym prawom go cinno ci. Poza tym nie yczył sobie, eby wielebny Bramley dowiedział si o zgubionych szpilkach córki.

-Ja nie pan chce wiedzie , czy zabrałam st d bibeloty z nefrytu i ko ci słoniowej? - spytała Betsy.

Po jej minie Jack poznał, e jest przera ona. Ka dy słu cy najbardziej l ka si pos dzenia o kradzie .

-Och, nie, ja nie panie! My lałam, e ja nie pan je sam wyniósł, bo wszystkie ksi ki przenosi si teraz na inne miejsce i zamieszania jest co niemiara. Gdybym co przestawiła, to bym ja nie panu zaraz powiedziała, pani Roberts te ... - Głos jej dr ał. - Prosz ja nie pana, ja bym nigdy, przenigdy...

-Rozmawiała o tym z pani Roberts? - upewnił si Jack. Dzi ki Bogu! To by oznaczało, e Betsy prawdopodobnie nie ma nic na sumieniu. Była zbyt naiwna, eby blefowa .

-Owszem - potwierdziła pani Roberts. - Kilka dni temu wspomniała o koniku, ja nie panie. Uznała, e go ja nie pan przestawił. Nie przyszło mi do głowy, e to powa na sprawa. Betsy to dobra dziewczyna.

- Tak jest w istocie - zapewnił Evans. Jack u miechn ł si do nich.

- Jestem tego wiadomy. No dobrze. Dzi kuj , pani Roberts. Ty równie mo esz odej , Evans. A z tob mam jeszcze do pomówienia, Betsy. Czy pami tasz mo e, kiedy znikn ły te drobiazgi i w jakiej kolejno ci?

- O tak, ja nie panie! - odparła skwapliwie, zdradzaj c ogromny niepokój. - Prawie ka dego ranka czego brakowało. Zauwa yłam, bo zawsze odkurzam figurki bardzo ostro nie, eby czego nie uszkodzi . S dla mnie jak starzy znajomi. Daj człowiekowi do my lenia. Tyle lat min ło, odk d kto je wyrze bił, a one nadał s na tym wiecie. Całkiem jakby do człowieka mówiły. - Zaczerwieniła si . - Głupstwa gadam. Tak mi si zdaje.

Jack pokr cił głow .

- Ale sk d, Betsy. Zgadzam si z tob . Te bibeloty rzeczywi cie przemawiaj do ludzi. Mi dzy innymi dlatego tak je lubi . Mo esz odej . Spokojnie, dziewczyno, nie ci y na tobie podejrzenie. Zapewniam, e reszta słu by nie dowie si o naszej rozmowie, wi c lepiej b dzie, je li i ty nie b dziesz o niej wspominała.

- Dobrze, ja nie panie. Dzi kuj - szepn ła i zaraz wyszła.

Jack popatrzył na ochmistrzyni i kamerdynera.

-To nie ona. Niemo liwe. Lecz je li według niej niemal co rano ginie jaki drobiazg, nale y przypuszcza , e kto zakrada si tutaj wieczorami, gdy ju pogasisz lampy, Evans.

- Zapewne, ja nie panie. - Kamerdyner w zadumie pokiwał głowę i westchnął. — Nie mam pojęcia, kto byłby taki tęp, aby popełnił podobne głupstwo. Nawet gdyby ktoś ze słuchu by napisał sobie biedę, najpewniej przyszedłby z tym do mnie. Albo do Mary - dodał, wskazując pani Roberts. - A my powiadomilibyśmy ją nie pana. - Pokręcił głowę. - Ale eby tak noc w noc... To musi być ktoś z domowników.

— Jak się dowiem, kto kradnie, obiecuję, że mnie popamięta, sir. Pomyśle tylko! Kradzie! W naszym domu! - zawołała oburzona pani Roberts.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jack stał przed drzwiami salonu. Nigdy przedtem nie czuł się intruzem we własnym domu, a jednak teraz wahał się, czy otworzyć drzwi. Musiał to zrobić. Przeprasiny wypowiedziane z za solidnej dwucalowej drzwi to nieporozumienie. Trzeba zdobyć się na odwagę i wejść. Od dwóch dni Kresyda nie pokazywała się w bibliotece, a wielebny musiał zdać się na pomoc jego i Marca.

Jack widywał Kresydę tylko przy stole, zawsze w towarzystwie Meg, która okazała się najskrupulatniejszą z przyzwoitek, jakimi los go pokarał. Z pewnością i teraz jest w salonie. Popatrzył na klamkę. Nie było na niej wstęki. Dopiero podczas wizyty przyjaciół u wiadomił sobie, jak często trzeba karmić niemowlaka.

Wszedł do salonu i ujrzał Kresydę, trzymając w objęciach jego piątkę chrześniaka. Meg siedziała na kanapie zająta szyciem sukni. Tak mu się przynajmniej wydawało.

- Witaj, Jack. Znalazłam to na strychu - powiedziała, wskazując pomarańczową aksamitną spływającą jej na kolana. - Od czasów naszych prababek moda bardzo się zmieniła. Dawniej na sukni trzeba było bardzo dużo materiału. Nic dziwnego, że miały najwyżej dwie, góra trzy kreacje, skoro każda kosztowała fortunę. To stara rzecz, ale materiał jest w bardzo dobrym stanie. Poprząłam ją i szyję nową suknię. Chyba nie masz nic przeciwko temu? Zaskoczony Jack w milczeniu pokręcił głowę. Kto jak kto, ale Meg nie należała do tych, które muszą przerabiać cudze suknie. Przyjrzał się z uwagą aksamitowi.

- Naprawdę dzisiaj, że w tym odcieniu będzie ci do twarzy?

Długo trzymając ją głębiej znieruchomiła, ale Meg nie podniosła głowy.

- Na miło bosk ! Co ty wygadujesz? To nasycony oran . Kresyda wygl da w nim prze licznie. Jej zielona sukienka jest urocza, lecz nie da si ukry , e troch przyciasna. Na wypadek, gdyby nie był tego wiadomy, przypomn , e dziewcz ca figura zmienia si bardzo mi dzy szesnastym a dwudziestym rokiem ycia. Puszczanie szwów nie wystarczy. Najwy szy czas, eby Kresyda dostała now sukni , i ja tego dopilnuj . W ten sposób odpłac si jej za lekcje francuskiego i włoskiego. Uparła si , e nie we mie ode mnie pieni dzy.

Jack zrozumiał. S dził, e Kresyda nosi obcisł sukni , aby wystawia na pokaz swoje wdzi ki. Do głowy mu nie przyszło, e nie sta jej na nowy strój. Mimo to nie chciała, eby Meg płaciła za nauk j zyków. No tak, znowu wyszedł na idiot .

Niech tnie odwrócił si ku mimowolnej sprawczyni zamieszania i zrobiło mu si ciepło na sercu. Z pochylon głow szeptała czule do niemowl cia. Zauwa ył, e raz po raz całuje małe czółko.

Nie miał poj cia, dlaczego nagle ogarn ła go szale cza t sknota. Marzyło mu si , e male ka istotka wtulona w opieku cze ramiona Kresydy jest jego synem i dziedzicem. Chciałby mie z ni dziecko.

B d rosz dny, skarcił si , wspominaj c niezliczone powody, które sprawiały, e nie nadaje si na on . Zbyt wygadana, miała, impulsywna.

Mimo to powinien j przeprosi . Odchrz kn ł zakłopotany.

- Kresydo. - Wolno podniosła głow . Gdyby spojrzenie mogło zabija , natychmiast padłby trupem. Poprawił si skwapliwie: - Panno Bramley, zechce pani pój zemn na spacer?

Miał wra enie, e najch tniej posłałaby go do diabła, ale u miechn ła si uprzejmie i odparła:

- Nie, dzi kuj panu.

Zacisn ł z by, staraj c si ignorowa Meg, która przygl dała mu si z rozbawieniem. Kresyda od kilku dni zachowywała si w ten sposób. Była uprzejma, wi c nie mógł jej nic zarzuci . Istne uosobienie kobiecych cnót: skromno ci, umiarkowania i przyzwoito ci. Jak miał przeprosi , skoro ani przez moment nie był z ni sam na sam?

- Chciałbym co z pani omówi na osobno ci – nie dawał za wygran . Mo e Meg zrozumie aluzj i wyjdzie.

Zrozumiała, a jak e!

- Mów miało, Jack. Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Panno Bramley - spróbował po raz trzeci. Oderwała wzrok od

dzieci cej twarzyczki i spojrzęła na niego zielonymi oczyma, które nie wyrażały niczego, nawet gniewu.

- Nie zmieniam zdania. Moje panie spokojnie mówi przy hrabinie Rutherford - odparła nadzwyczaj spokojnie i popatrzyła znowu na dziecko.

Jack osłupiał, ale szybko wziął się w garść. Jeśli ta mała diablica chce, aby publicznie się przed nią pokajał, zawiedzie się.

Ale ona nie oczekuje przeprosin! Zapewne jest przekonana, że chcesz ponownie propozycję. Jack wahał się. Dłonie zacisnął w pięści i spojrzał na nią, kasztanowe włosy, starannie zaczesane do tyłu i zwinięte w kok. Korciło go, aby je pogłaskał. Tymczasem Kresyda nawet na niego nie spojrzęła!

A dlaczego miałyby patrzeć? Złożyła tej pannie haniebną ofertę, nie bacz na to, że jej ojciec pracuje w drugim końcu biblioteki, i masz pretensje, że teraz nie chce wysłuchać twoich przeprosin w obecności kogoś innego. W jakim wietle postawiłabyś sam siebie, bez skrępowania rozmawiając z tobą o tamtym incydencie?

Mimo wszystko trzeba wyrazić skruchę.

- Panno Bramley. Kresyda - zaczął. Dlaczego fular stał się nagle zbyt ciasny? Jack ze złości pociągnął za wąż. - Kilka dni temu zrobiłem z siebie kompletnego głupca. Moje sugestie były haniebne. Obraziłem panią i bardzo nad tym boleję.

Nie miał wyrazić się jaśniej. Meg rozmawiała z nim przyjaźnie, więc na tej podstawie wnioskował, że Kresyda się jej nie zwierzyła. Nerwowo przestąpił z nogi na nogę, czekał na odpowiedź.

Gdy uniosła głowę, pochylił się, walczył z pokusą, aby chwycić ją w ramiona i całować, a smutek zniknie z pięknych zielonych oczu.

- Znowu le mnie pan ocenił?

W milczeniu kiwnął głowę.

- No cóż, pozwól sobie zauważyć, że nie tylko pan ponosi za to winę. Jestem wiadoma, jak niewiele wiem o pewnych sprawach. Jeśli moje...

Jack uwiadomił sobie, do czego zmierza Kresyda. Usiłowała go przeprosić za to, że chciał z niej zrobić swoją kochankę.

- O nie! - krzyknął z pasją, a potem dodał przyciszonym głosem: - Ani mi się ważyła na siebie odpowiedzialność za moje postępowanie. Tego nie zniosę. Rozumiesz?

W milczeniu kiwnęła głowę, jakby nie była w stanie wykrztusić

słowa, ale Jack wcale nie chciał się tym, a zmusił ją do milczenia.

Natychmiast obrócił się na pięcie i wyszedł. Dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane. Chciał przeprosić, a tymczasem jeszcze bardziej ją zranił. Przedtem spojła na niego z chłodną obojętnością, a teraz z wielkich zielonych oczu wyczytał poczucie krzywdy. Przypominała nieufne, spłoszone zwierzę, przekonane, że czeka je tylko cierpienie.

Niewielki zegar na kominku przypominał skwapliwie, że jest pięć rano. W taki zimowy poranek każe się szanować, a siłownia, otulona kołdrą, przekroczyła na drugi bok, zamiast przesiadywać w chłodnej bibliotece długo przedtem, nim służyła napali w kominku. Na domiar złego Kresyda umarła tak w dniu urodzin.

Przysunęła bliżej lampy, oparła stopy o piecyk i chciała nie owinięta siłownią. Raz jeszcze przeczytała ogłoszenie w gazecie. Jeśli dostanie posadki, będzie to najlepszy prezent urodzinowy, jakiego mogła się spodziewać.

„Wymagana biegła znajomość francuskiego, włoskiego, muzyki i rysunku, a także ugruntowana właściwa lektura i inteligencja oraz nienagane referencje”.

Machnęła ręką na wzmianki o właściwej lekturze. Przeczytała przecie wszystkie wymagane mowy i umoralniające traktaty niezbędne do uszlachetnienia płochego kobiecego umysłu. Skoro na tym nie skorzystała, to jej problem. Przyszły chlebodawca nie musi o tym wiedzieć. Pod kądem innym względem była wietnie przygotowana do roli guwernantki. Referencje rzeczywiście miała nienagane. Hymn pochwalny napisany przez Megle był przed nią na blacie sekretarzyka. Hrabia Rutherford miał na prośby po wiadomości wytknąć pochlebne opinie.

Ziewając, sięgnęła po arkusz papieru i zaczęła na brudno pisać odpowiedź. Piekły jej oczy, jakby miała piasek pod powiekami. Powinna chyba wrócić do łóżka. Może uda się zasnąć. Nie, lepiej zaraz odpowiedzieć na ogłoszenie i jeszcze dziś opuścić dwór. Przez całą noc nie zmrużyła oka, więc uznała, że posiedzi tutaj nieco dłużej i dokończy list. Zdecydowanym ruchem zanurzyła pióro w kałamarzu.

- Olaboga!

Z zadumy wyrwał ją krzyk pokojówki. Zaskoczona odwróciła głowę.

- Och, to panienska! A już em myślała, że złodziej!

Odwróciła się i zobaczyła stojące w otwartych drzwiach słuchaczki uzbrojone w szczotki, cierki oraz wiadro.

- Jaki złodziej? O czym ty mówisz? Masz na imię Betsy, prawda?

Uradowana dziewczyna pokiwała głową.

- Tak, panienko. Okropnie mi głupio, ale w pierwszej chwili nie zorientowałam się, że to panienka. Siedziała panienka z pochyloną głową. Ostatnio tyle rzeczy zginęło panu Jackowi. Jużem miała wybiec na korytarz i wrzeszcze!

- Ach tak - powiedziała Kresyda i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Postanowiła dyskretnie wypytać dziewczynę. - Nic się dotąd nie znalazło, prawda?

- Ano nic, panienko. - Betsy pokręciła głową. - Zginęło tyle rzeczy z nefrytu i kości słoniowej. Wszystko licząco ci, jedna w drugą. Moim zdaniem ja nie pan jest tym okropnie przygnębiony. Pani Roberts ci głębię mi powtarza, że konik tata dał mu na urodziny.

Betsy paplała jak najtańszą, ale Kresyda nie zwracała na to uwagi. Pamiętała chociażby skiego konika. Papa go jej pokazał. Jack ani słowem nie wspomniał o kradzieży. Ciekawe dlaczego.

- Tak sobie myślę, że ja nie pan najpierw mnie podejrzewał, ale Evans i pani Roberts za mną poświadczali. Nasz pan to prawdziwy detektyw, więc ich posłuchał.

Prawdziwy detektyw. Owszem. I Bogu dzięki, że tak jest. Niemal każda dywielki pan z wyszłych sfer oskarżyłby i ukarał pierwszą lepszą słuchaczki, nawet jeżeli wina nie zostałaby udowodniona. To wystarczy, żeby napiętnowana dziewczyna trafiła do przytułku albo na ulicę.

Kresydzie zrobiło się słabo. Bo była miłosierna, co robi? Nie mogła spokojnie czekać, a ktoś niewinny spowodowany zostanie oskarżony o kradzież. Nikomu nie chciała.

Betsy spojrzała pobłażliwie na stos księzek i starodruków.

- Wyczyszcz tylko kominek, panienko. Jak skończysz, mam nadzieję, żeby panienka nie zmarzła?

- Co proszę? - Kresyda zamrugnęła powiekami. - Napali? Och, nie, nie, dziękuję, Betsy. Zaraz wychodzę.

Zlituj się, dobry Boże. Za parę tygodni definitywnie się wyjadę, modliła się żarliwie. Ale czy w tej sytuacji mogła sobie na to pozwolić? Trzeba również zdecydować, co zrobić z zaginionymi bibelotami.

Betsy skończyła sprzątać i wyszła, a Kresyda nadal siedziała nad rozpoczętym listem, o którym całkiem zapomniała. Wiedziała, że trzeba

go napisa i wysła , lecz nagle problem upragnionej posady stracił na znaczeniu. Odwróciła si i niewidz cym wzrokiem patrzyła w stron kominka, jakby miała wra enie, e znajdzie odpowied w ród ta cz cych płomieni.

Ogie ? Natychmiast wróciła do rzeczywiście ci. Betsy, nie zwa aj c na jej protesty, napaliła w kominku. Cała słu ba była wyj tkowo uczynna i yczliwa, czemu Kresyda przestała si ju dziwi . Lady Fairbridge zawsze powtarzała, e jaka pani domu, taki personel. W tym wypadku: jaki pan.

Z gorycz Kresyda przyznała sama przed sob , e zakochała si w Jacku Hamiltonie, ale wybranek, cho mu troch na niej zale ało, ani my li o lubie. Doskonale wiedziała o tym, e w wy szych sferach miło nie wystarczy, by doszło do zawarcia mał e stwa. Dziewczyna musi mie posag, a na dodatek pochodzi z zamo nej i wpływowej rodziny. Brakowało jej takich atutów, a poza ojcem nie miała nikogo. Co najwa niejsze, panna na wydaniu powinna cieszy si nieskaziteln reputacj . Kresydzie nie dane było zachowa dobrego imienia. W oczach ja nie pa stwa była skompromitowana.

Jack o tym nie wiedział, ale był wiadomy, e o lubie mowy by nie mo e. Chciał z niej zrobi swoj kochank , bo nic innego nie mógł zaproponowa . Pocz tkowo s dził, e ta sugestia zgodna jest z jej oczekiwaniami, ale gdy zrozumiał swój bł d, natychmiast j przeprosił.

Od dwóch dni starał si jej wynagrodzi tamto upokorzenie. Takie przynajmniej stwarzał pozory. Uznała, e stale jej nadskakuje, eby zmaza swoje winy. Chciał udowodni , e si o ni troszczy i darzy j szacunkiem. Z pewno ci nie zdawał sobie sprawy, e wystarczyło najl ejsze jego dotkniecie i natychmiast robiło jej si gor co. Dr ała z rado ci, ilekro ujmował jej dło i wsuwał pod swoje rami . Kiedy odezwał si do niej, była w siódmym niebie. Gdy po kolacji piewała, akompaniuj c sobie na fortepianie, i wiedziała, e na ni patrzy, to spojrzenie było dla niej jak najmiłsza pieszczota, jak łagodne mu ni cie, które zdarza si tylko we nie.

- Na miło bosk ! Co ci chodzi po głowie?

Zdumiony głos Jacka sprawił, e wyrwana ze wiata marze wróciła do rzeczywiście ci. Chyba si zdrzemnęła. Nerwowo zamrugowała powiekami, eby oprzytomnie , i popatrzyła na stoj cego obok Jacka. Trzymał w dłoni referencje i patrzył tak, jakby miertelnie go obraziła.

- Do diaska! Co to ma znaczy ?!

Kresyda chwyciła kartk i gniewnie spojrzała na Jacka, ale gdy si odezwała, w jej głosie pobrzmiwał ton wy szo ci, uroczy i zarazem irytuj cy.

- To s referencje. Zwykle prosz o nie potencjalni chlebowdawcy. Bez nich trudno o dobr posad .

- Dobr po...-Urwał, jakby zabrakło mu powietrza. -Nie ma potrzeby, eby pracowała jako guwernantka.

- Wr cz przeciwnie - sprzeciwiła si , zdecydowana postawi spraw na ostrzu no a. wiadomie d yła do kłótni. Lepszy spór ni ciel cy zachwył. Nawiasem mówi c, zagniewany Jack wygl dał wspaniale.

- Dlaczego chcesz zosta guwernantk ?

Szczerze mówi c, nie miała na to wi kszej ochoty, lecz odwa nie stawiała mu czoło.

-Bo je li nie liczy pa skiej intratnej propozycji, to jedyna praca, któr mog podj ze wzgl du na kwalifikacje. Płaca jest wprawdzie ni sza od gratyfikacji tak hojnie zaproponowanej przez pana, ale samo zaj cie znacznie bardziej mi odpowiada.

Przez moment obawiała si , e Jack j udusi.

-Przeprosiłem ci - powiedział po chwili. – Zapomnij o tamtych idiotyzmach. Zabraniam ci pracowa !

S ludzie, których trudno zadowoli , uznała zrezygnowana Kresyda. Jack jasno dał jej do zrozumienia, e na dłu sz met nie mo e bez przyzwoitki mieszka w jego domu. Kiedy znalazła sposób, eby wyjecha , nagle zacz ły si narzekania.

- Jak pan zamierza mnie powstrzyma ?

- Namówi twego ojca, eby ci zabronił. Musisz go słucha . Takie jest prawo.

- Od północy ju mnie nie dotyczy - odparła rozgniewana. - Je li zeche , posłucham ojca, bo go kocham i szanuj , ale nie musz wypełnia pa skich rozkazów. Nie ma pan nade mn adnej władzy.

Zakłopotana Kresyda za pó no si zorientowała, e powinna ugry si w j zyk. Jak mogła przez nieuwag da mu do zrozumienia, e dzi s jej urodziny. Miała nadzieję , e pu cił to mimo uszu.

- Od północy? Co ty ukrywasz?

Jasne. Nic mu nie umknie. Niemal widziała, jak pracuje jego umysł. Szybko przeanalizował fakty i wyci gn ł wnioski. Nagle pobladł.

- Dzi s twoje urodziny - powiedział takim tonem, e serce si jej krajało. - Dwudzieste pierwsze. Powinna obudzi si pełna rado ci i

my le tylko o prezentach, które dostaniesz z tej okazji, a tymczasem siedzisz tu sama i odpowiadasz na ogłoszenie w sprawie pracy, wiadoma, e twój ojciec jak zwykle zapomniał o wa nej rocznicy i nie zło y ci ycze .

- Nie o to chodzi. - Kresyda miała ci ni te gardło, wi c ledwie była w stanie wykrztusi kilka słów. Głos jej dr ał, a w oczach zakr ciły si łzy. Bez problemu radziła sobie z gniewem Jacka, lecz jego czuło była nie do zniesienia.

Odetchn ła gł boko i wzi ła si w gar . Sił woli opanowała dr enie głosu. Kiedy si odezwała, brzmiał prawie normalnie.

- Och, nie szkodzi. Dla mnie to bez znaczenia. Zeszłam na dół przed wszystkimi, eby w spokoju napisa list. Nie chciałam panu przeszkadza . Szczerze mówi c, nie s dziłam, e zachodzi tu pan o tej porze.

Popatrzył na ni surowo. Wiedziała, e w gruncie rzeczy to dobry człowiek. Skór na policzkach miał tak ciepł , przyjemnie drapi c w dotyku.

- Chciałem co sprawdzi - odparł przyciszonym głosem. - Musisz przyj do wiadomo ci, e nie wolno ci zosta guwernantk .

Co zamierzał sprawdzi ? Czy co nie zgin ło? O Bo e! Jak znale wyj cie z tej paskudnej sytuacji?

- Kresydo? - Drgn ła, gdy ruszył w jej stron . Je li znowu wyci gnie r k ... Stan ł jak wryty. -Przepraszam. Nie chciałem ci przestraszy . Dobrze si czujesz? - zapytał.

-Tak - skłamała. - Musz ju i .

achn ł si , jakby go uderzyła.

-Do stu diabłów! Kresydo, doskonale wiesz, e z mojej strony nie musisz si niczego obawia .

Gor ce łzy zapiekły j pod powiekami.

-Ja si pana nie boj - odparła zduszonym głosem. -Wiem, e do niczego mnie pan nie zmusi. - Wzi ła niedoko czony list oraz referencje i opu ciła bibliotek .

„Wiem, e do niczego mnie pan nie zmusi”. Te słowa d wi czały Jackowi w uszach, gdy wpatrywał si w zamkni te drzwi. Domy łał si , co chciała powiedzie . Nadal s dzi, e mógłby j uwie , wi c postanowiła jak najszybciej zej mu z oczu, opu ci dwór i znikn z jego ycia.

Guwernantka! Potrafił sobie wyobrazi , co by z tego wynikło.

Panie z towarzystwa niech tnie zatrudniaj młode i urodziwe nauczycielki, bo zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że albo dorosły syn da się zauroczyć ładnej pannie. Matrony szczególnie lękają się o synów, choć często poczuwają się do obowiązku po lubieniu dziewczyny, której zepsuły reputację. Zawsze istnieje obawa, że taka panna ma wysoko postawionych kuzynów, zdolnych przedyć czy pójść niej wymusi na uwodzicielu decyzję o ożenku. Ponadto wiele dam traktuje guwernantki jak woły robocze, narzucając im mnóstwo obowiązków niezwiązanych z nauczaniem.

Jack zadrżał na sam myśl, że taki los mógłby spotkać Kresydę. Nadal brzmiały mu w uszach jej słowa: „Wiem, że do niczego mnie pan nie zmusi”. Wielu mężczyzn nie miałoby żadnych skrupułów, byle tylko jej kosztem spełnić nieuczciwe zachcianki. Czy los matki niczego jej nie nauczył?

Kłopot z bezsilnej złości, podszedł do stołu. Co to strzeliło do głowy Meg, że napisała Kresydzie referencje? Jego kuzynka nie potrzebowała pomocy. Musi po prostu mieć kogoś, kto się nią zaopiekuje. Przydałby się dobry, kochający... mężczyzna. Otóż to! Starł się powstrzymać złość, która ogarniała go na samą myśl, że Kresyda mogłaby należeć do innego mężczyzny. Najchętniej krzyknąłby na cały głos, bo nie mógł się jej oświadczyć. Całkiem inaczej wyobraził sobie siebie. Nie wolno dać się załapać po daniu. Teoretycznie nie powinien mieć nic przeciwko temu, że Kresyda wyjdzie za innego mężczyznę, z którym będzie szczęśliwa. Tego jej życzył z całego serca.

Byłoby najlepiej, gdyby poлюбиła duchownego albo kogoś w tym rodzaju. Powinien to być mężczyzna łagodny jak baranek, zdolny tolerować wybryki pewnej siebie i nieco przemdrzałej kobiety. Problem w tym, że Kresyda nie ma posagu. Niewielu duchownych stałoby na poлюбienie dziewczyny, która nic mu nie wniesie.

Jack z ponurą miną usiadł w fotelu. Łatwo mógłby temu zaradzić, dając jej posag, lecz w tym przypadku, aby się na to zgodziła. Oprócz wielu innych wad cechowała ją także szatańska duma. Bębnił palcami, starając się znaleźć wyjście z sytuacji. Musi być jakiś sposób, aby wyposażyć Kresydę, nie raniąc jej uczuć.

Postanowił odłożyć te sprawy na później, a teraz zająć się najpilniejszą kwestią, a mianowicie jej urodzinami. Wielebny Bramley ani słowem o nich nie wspominał, więc pewnie zapomniał o swojej własnej córce. Starszy pan nie miał nawet pewnośc, w jakim jest wieku.

Jack wysilił imaginację, próbując wyobrazić sobie, co by czuł, obudzony w dniu urodzin z niezłomną pewnością, że nikt mu nie złożył życzeń i nie wręczył prezentu. Żadnych uroczystości ani odrobiny serdeczności.

Choć tak. Jego szczerze interesowało, jak Kresyda spędzi ten dzień. Trzeba pomyśleć o podarunku. Byli spokrewnieni, więc bez żadnej dwuznaczności mógł jej ofiarować kosztowniejszy upominek. Bezwartościowe, tanie błahostki nie wchodziły w grę.

Zmarszczył brwi i pogrążył się w zadumie. Co by ją ucieszyło? Większość kobiet lubi dostawać biżuterię. Kresyda nosiła czasami srebrny naszyjnik z kwiatków misternie wykutych w srebrze.

Dentelmen, postępuj zgodnie z zasadami dobrego tonu, mógł ofiarować pani wyjątkowo cenniejszy drobiazg.

O biżuterii nie było mowy. Jednak jako krewny... Przypomniawszy sobie o rzeźbionych koralach z kości słoniowej, które przed laty przywiózł z dalekiej podróży. Chciał je dać Nan, ale gdy wrócił, wyszła za Barraclougha i klejnotów miała aż nadto.

Trzeba poszukać tych koralów. Trzymał je w sypialni.

I dobrze. Gdyby leżały w bibliotece, mogłyby dostać się w ręce złodzieja.

- Aha! Nareszcie jest!

Kresyda zatrzymała się w progu salonu, gdy hrabia Rutherford zauważył jej przybycie. Nie była spóźniona, choć stroiła się dzień nieco dłużej niż zwykle. Nowa sukienka była taka liczna, że zachciało się Kresydzie eksperymentować z fryzurami w poszukiwaniu nowego stylu.

- Wszystkiego najlepszego, moja droga. Serdecznie gratuluję. Jack powiedział, że od dziś jesteś pełnoletnia.

Podeszła Meg i przyjrzała się aksamitnej kreacji.

- Hm. Leży jak ulał, a z tym będzie jeszcze ładniej. Stój prosto. - Zarzuciła Kresydzie na ramiona koronkową chustkę i zawiązała ją starannie. - Proszę bardzo. Idealnie. Wszystkiego najlepszego.

Trzeba coś powiedzieć. Kilka miłych słów, na przykład: dziękuję bardzo. Jednak Kresyda nie była w stanie wykrztusić ani sylaby. Łzy stanęły jej w oczach. Jak przez mgłę widziała uśmiechniętą twarz Meg.

Wielebny Bramley podszedł do córki z niepewnym minem.

- Wybacz, kochanie. Zapomniałem o twoim dniu.

Dopiero Jack mi przypomniał. Ale mam dla ciebie prezent. Od dawna zamierzałem ci go wręczyć w tym dniu. Z najlepszymi życzeniami.

Sięgnął do kieszeni i wyjął owalne pudełko, po czym pocałował córkę w czoło i wręczył jej podarek. Kresydzie ze wzruszenia zabrakło słów. Rece jej drżały, gdy wyjął z etui niewielką miniaturę namalowaną na kości słoniowej i przedstawiającą jej matkę w czasach wczesnej młodości. Uśmiechała się łagodnie do wiata, który już opuściła.

- Jack także ma dla ciebie upominek, dziecinko - powiedział starszy pan. - Zapytał mnie o zgodę na jego wręczenie, a ja nie widzę w tym niczego niestosownego.

Jack chciał jej coś ofiarować? Odwróciła się w jego stronę. Podszedł z ociąganiem.

- Drobiazg - wymamrotał. - Taka błahostka, ale uznałem, że będzie pasowała do nowej sukni. - Zaczepił się po same uszy, wręczając jej podłunę drewnianą etui.

Ostro nie położyła na stoliku bezcennej miniatury i otworzyła ją powoli. Skromny naszyjnik z białych, rzębkami paciorków w kształcie paciorków. Kości słoniowa. Prezent od Jacka.

Wzruszona przygłaskała się podarunkowi. Nie mogła go przyjąć. Wykluczone. Papa nie rozumiał, a ona przecież nie mogła mu tego wyjąć.

Gdy szukała odpowiednich słów, chcąc grzecznie odmówić przyjęcia naszyjnika, poczuła, że Jack wyjmując etui z jej drżących palców.

- Pozwól mi. Doskonale. - Przyjemny baryton pieścił uszy. Czując, że zrzuciła palce rozpinając zamek matczynej kolii ze srebrnych kwiatuśków. Nagle Kresyda przeszedł cudowny dreszcz, bo Jack zapinając korale, opuszkami palców musnął skórę na jej karku. - Proszę bardzo. Zrobione - oznajmił zmienionym głosem, który kontrastował z pieszczotami dłoni, trochę zbyt długo dotykających szyi Kresydy. Jack cofnął się o krok.

- Jack - Kresyda zwróciła się do niego po imieniu - nie mogła tego przyjąć.

- Wręcz przeciwnie - zaproponował. - Omówiłem wszystko z twoim ojcem. Nie ma w tym nic złego.

Arliwo tego protestu oznaczała, że jej nie zrozumiał. Nadal czuł się winny z powodu niestosownej propozycji i się dziwił, że z jej powodu w pierwszej chwili odmówiła przyjęcia prezentu. Milczała, choć powinna sprostować swój błąd. Owszem, ale nie teraz, nie tutaj.

Rutherford zbliżył się do nich i powiedział:

- Nie jestem twoim kuzynem, więc postąpiłbym niewłaściwie, dając ci prezent. Ludzie natychmiast wzięliby mnie na żarty, ale nie warto się tym przejmować, bo i tak mam fatalną reputację. Wiele osób, w tym Meg, może to pochwalić. Skoro upominek nie wchodzi w grę, postanowiłem wystąpić z zaproszeniem. Moja siostra i ja będziemy zaszczyceni, jeśli w karnawale zechcesz być naszym gościem.

Pół roku temu, otrzymawszy takie zaproszenie, Kresyda skakałaby z radości, ale teraz z trudem powstrzymała łzy, mamrocząc ogólnikowe podziękowanie. Trzeba będzie rano wyjść do Jackowi, w czym rzecz, a potem uporządkować wreszcie inne sprawy.

Zniecierpliwiony Jack po raz kolejny usadowił się wygodnie. Trzecia w nocy, a on nie śpi. Ulubiony fotel był wymarzonym miejscem do odpoczynku, ale dziś wyszło na jaw, że do drzemki się nie nadaje. Umiejący bezsenność, wyczuwał mimo woli wszelkie wypukłości i oraz wgniecenia tapicerki.

Zdawał sobie sprawę, że nie tylko wady fotela spowodowały trudność w zasypianiu. W tym celu, aby te kłopoty skończyły się, gdy spocznie w swoim wielkim i wygodnym łóżku, skoro przyłapał Kresydę na pisaniu listu do ewentualnego chlebodawcy, i to w dniu jej urodzin.

Pięknie oczy dokuczały mu tak samo jak wyrzuty sumienia. Ilekroć przymykał powieki, wyobraźnia podsuwała mu obraz Kresydy jako guwernantki - popychadła bezdusznej pani domu. W takim położeniu trzeba byłoby układać i potulnie, a bystry umysł i ci te riposty lepiej zachować na lepsze czasy. Zielone oczy skromnie spuszczone, urodziny bezpowrotnie zapomniane.

Chwilami miał przed oczyma nieco pogodniejsze wizje. Niekiedy pojawiali się w nich kandydaci na mężów, co ogromnie go niepokoiło. Zrywał się z fotela i rozdrażniony chodził po bibliotece, zastanawiając się, jak udaremnić szalony plan Kresydy. Mimo wszystko miewał przebłyski zdrowego rozsądku i wtedy zdawał sobie sprawę, jak niewiele może uczynić, by odwieść ją od realizacji niefortunnego pomysłu.

Przejechał palcami zmierzwiłone włosy i zmarszczył brwi. Nie może na jej rozkazywać, bo to się zda na nic. A gdyby tak użył podstępów? Natychmiast odrzucił tę myśl. Raz posłużył się tą metodą, a Kresyda pokrzykowała mu żarty. Wzdrygnął się, zadając sobie pytanie, co by się mogło stać, gdyby przyjął jego propozycję. Dobry Bóg!

Musiałby si jej wtedy o wiadczy .

Czy to byłoby takie złe?

Te co !

Lubisz j , kusił wewn trzny głos. Przy niej z pewno ci nie wiedziałby, co to nuda, ale nie zaznałby równie spokoju. Wywróciłaby jego ycie do góry nogami. Mimo tej wiadomo ci niepokoj ca wizja raz po raz do niego powracała. Czy by dotychczasowa egzystencja ju mu si znudziła? Wszystko jako by si uło yło, a spokój niejedno ma imi .

Chyba lepiej poło y si do łó ka, zamiast tropi złodzieja. Gdyby tylko udało mu si podej Kresyd i skłoni j do przyj cia posagu... oraz jego r ki. Có za osobliwy koncept! Ten wewn trzny głos w ogóle nie ma rozeznania w sytuacji. Uczucia, jakie Jack ywił dla Kresydy, trudno nazwa sympati . Nie potrafił ich nazwa , ale to okre lenie było zbyt słabe. Odsun ł od siebie t my l. Czas i spa . To dla niego najlepsze miejsce, je eli nie b dzie nił o...

Cichy trzask klamki wyrwał go z zamy lenia i sprawił, e odechciało mu si powrotu do ciepłego łó ka.

Drzwi si uchyliły i w drzwiach ukazała si drobna, szczupła posta nios ca lichtarz. Mimo półmroku natychmiast j rozpoznał. Charakterystyczny sposób poruszania, gdy szła do sekretarzyka i ten zapach. Poczł wo ró .

Co j tu sprowadza o tak pó nej porze? Chyba nie zamierza pisa kolejnej odpowiedzi na ogłoszenie dotycz ce posady. Nie mógł dojrze , co robi, bo płomyk wieczki za bardzo migotał. Czemu nie zapaliła kinkietu albo lampy?

Poruszył si , zamierzaj c wsta , aby wiedziała, e nie jest tu sama. Nagle w bladym wietle wiecy ujrzał tygrysa z ko ci słoniowej. Trzymała go w dłoni. Jacka ogarn ło zdumienie, które natychmiast ust piło miejsca gniewowi. Piekło i szatani! On tu przesiaduje, zachodz c w głow , jak wyposa y t mał szelm , eby mogła dobrze wyj za m , a tymczasem ona zadbała o swoje interesy. Nie chciał nawet my le o tym, e omal nie przyznał si do czego , co przecie nie mie ciło si w głowie.

Dobrze, e tego nie uczynił. Kresyda okradała go z zimn krwi . Na szcz cie przyłapał j . Teraz przyjdzie jej drogo zapłaci za to, e nadu yła jego zaufania.

Wstał i powiedział gło no:

- Łatwiej ci b dzie urzeczywistni plan, je li zapalisz lamp , moja

droga.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTY

Kresydaomal nie upuściła woreczka, gdy z ciemności dobiegł jej głos Jacka. Przerażona, nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa.

- Jack? - Przeklinając w duchu własny niepewny ton, próbowała ukradkiem wsunąć do woreczka trzymanego w rękę tygrysa z kocią słońcownicą. Nie chciała, aby Jack go zauważył. Najpierw musiała wyjść niemu kilka spraw.

- We własnej osobie. - W mroku rozpraszonym słabym wiatrem pojedynczego lichtarza majaczyła niewyraźna jego barczysta postać. - Pozwól, a ci pomogę.

- Nie. Sama dam sobie radę - wyjąca. Z przerażeniem spostrzegła w jego dłoni palce. Sparaliżowana lękiem, patrzyła, jak wyjmując jedną po drugiej, zapala od lichtarza i umieszcza w ramionach wiecznika.

Pełgające płomyki nadały osobliwy wyraz jego twarzy. Usta były mocno zaczerwienione i przypominały w kształcie kreski. W oczach pojawił się groźny błysk. Chyba nie ubrał sobie, a to ona jest winna... Ale skąd! To niemożliwe!

Odezwał się dopiero wtedy, kiedy wszystkie wiece zostały zapalone i umieszczone w wieczniku.

- Od razu lepiej. Teraz widać, czym się zajmujemy. - Jack sięgnął po woreczek, wyjął go z drżących palców Kresydy i włożył do niego rękę.

Najwyraźniej był przekonany, że kradzieżą to jej sprawa. Wyczytała to pewno z zimnego spojrzenia szarych oczu.

- Dziwne. Wieczorem schowała tu naszyjnik.

- Wyjdź mi, w czym rzecz - zaczęła. Właściwie po co? Z pewnościami jej nie uwierzy.

- Naturalnie - odparł lodowatym tonem. - Pozostaje tylko ustalić, przed kim będziesz się tłumaczyła: przede mną czy przed konstablami.

Tylko nie to.

- Och nie! - wyrwał jej się rozpaczliwy okrzyk. Zaciśnięła usta, aby powstrzymać następny. Bo była miłosierna, tylko nie to. Strach chwycił ją za gardło.

- Jack, błagam, nie rób tego! Musisz mnie wysłuchać, bo... - Umilkła w pół zdania. Prawda z pewnościami wydała mu się niewiarygodna. Był

w ciekły, a wi c tym bardziej nie zechce jej uwierzy , cho mo e zmieni zdanie, kiedy si uspokoi. Dr c na całym cieie, słuchała gniewnej tyrady.

- Dlaczego miałbym ci słucha ? Wprosiła si do tego domu, eby mnie okrada . Twój chytry plan spalił na panewce, cho niewiele brakowało, a zgarn łąby obfitszy łup!

Zbita z tropu, mogła jedynie zgadywa , co miał na my li.

- Łup?

Pogardliwie wyd ł wargi.

-O tak! Te wszystkie gierki. Ta skromno i pow ci gliwo . Zapewne po to, eby mydli oczy hrabinie Rutherford. Prawie ci si udało. Byłem bliski ofiarowania ci czego znacznie cenniejszego ni przelotny romans albo ładniutki naszyjnik.

Wstrzymała oddech, gdy spojrział jej prosto w oczy. Odto ył woreczek na biurko i zbli ył si . Zrobiła krok w tył i uniosła dło , jakby go chciała odepchn . Daremnie. Chwycił j mocno za nadgarstek, przyci gn ł do siebie i powiedział:

- Nie da si ukry , e mnie okradała . Co dasz mi w zamian, je li nie wezw konstabla?

Mogła wyjawi mu prawd , ale z obaw my łała, jak zareaguje. Poza tym co to da? Daremne wysiłki. Oczy ci łąby si z podejrze , ale za jak cen ? Je li przyjmie jego warunki, zyska troch czasu, eby poszuka wyj cia z sytuacji. Zrobiło jej si słabo. Serce jej si krajało, poniewa s dził, e jest zdolna do takiej podło ci.

Co jeszcze gotów był jej przypisa ?

Dr c na całym cieie, spojrziała mu w oczy i z trudem wykrztusiła:

- Wszystko, co mam, jest dla ciebie bez warto ci. Tylko jedno mog łąbym ci ofiarowa .

- O ile nie prehandlowała tego wcz e niej, próbuj c usidli inn ofiar - odparł z drwi cym u miechem. -Mam racj ? Dlatego twój ojciec musiał zrezygnowa z posady?

Tym zarzutem całkiem j zaskoczył. Dotkni ta do ywego krzykn ła:

-Nikczemniku!

Woln r k wymierzyła mu siarczysty policzek. Kln c paskudnie, chwycił mocno jej drug dło .

-Troch za pó no na wi te oburzenie, Kresydo - zauwa ył. - Ofiarowała mi siebie w zamian za pobła liwo . Nie ukrywajmy, e

kary za kradzie s do surowe: zesłanie do karnej kolonii lub szubienica. Albo...

Zawiesił głos. Wzdrygn ła si . Pokój zawirował; zrobiło jej si ciemno przed oczyma. Potrz sn ła głow , eby oprzytomnie . Nie mogła teraz zemdle . Mniejsza z tym, co Jack powie lub uczyni.

Niespodziewanie zwolnił u cisk i pu cił jej nadgarstki. Pozbawiona solidniej podpory zachwiała si na nogach i zacisn ła dłonie na brzegu blatu, eby odzyska równowag . Nogi miała jak z waty, głow ci k , a w sercu pustk . Była tak znu ona, e zobj tniała na ból i strach.

- Odmawiasz? - usłyszała znowu jego głos.

Przymkn ła oczy, um czona zawrotami głowy i pogard brzmi c w głosie Jacka. Wzmianka o honorze zabrzmiała jak obelga.

- Nie przyszło ci do głowy, e podejrzenie mogło pa na jakiego nieszcz nika? A gdyby o popełnion przez ciebie kradzie oskar ono kogo ze słu by? Nie my łała o ha bie i wstydzie, który przyniosłaby ojcu, gdyby ci przyłapano na gor cym uczynku?

Łzy stan ły jej w oczach. Bała si , e lada chwila si rozplacze.

- Przesta , błagam. Nie odtr cam ci . - Zacisn ła dłonie w pi ci tak mocno, e paznokcie wbiły si w skór . - Skoro domagasz si zado uczynienia... - Przymkn ła powieki, chc c powstrzyma ły. Gotowa była na wszystko, byle nie słuha dłu ej połajanek. Strach pomy le , jak grzmiałby i sro ył si , gdyby znał prawd . Zapewne pokazałby drzwi i jej, i ojcu. Nie mo na pozwoli , eby dowiedział si , w czym rzecz.

- Pozwól mi wyjecha . Poszukam posady. Zrób to dla mego ojca. Gdyby prawda wyszła na jaw,.. On tego nie prze yje. Przyjmuj twoje warunki. Zgadzam si na wszystko. Miejmy to za sob . - Przymkn ła oczy, czekaj c, a porwie j w obj cia.

Cisza. Zdradliwa cisza, która dzwoniła w uszach. Rozstrojone nerwy wołały o doznanie, które byłoby dla nich ukojeniem.

Uniosła powieki i napotkała wrogie spojrzenie szarych oczu.

- Nie zamierzam ci zmusza do uległo ci. Wyjd . Zabieraj si st d, nim zmieni zdanie. Uprzedzam ci tylko, e nie pozwol , aby twój biedny ojciec cierpiał z powodu grzeszków zepsutej do szpiku ko ci córeczki. Zabraniam ci st d wyje d a . Została przyłapano na gor cym uczynku, wi c teraz z obawy przed kar musisz zachowywa si jak nale y. Zabraniam posługiwa si referencjami Meg. Gdyby nie posłuchała, twoi pracodawcy i tak wkrótce dowiedz si prawdy. Ju ja

si o to postaram! - U miechn 1 si drwi co. - Je li chcesz mie zaj cie, dam ci je, a do tego przyjemny dom na uboczu w moim majtku.

- Nie - odparła szeptem. Powróciły wspomnienia, a z nimi i k. Gdyby nie wyjechali...

- Precz - powiedział cicho Jack. - Zejd mi z oczu, bo je li mnie znów rozgniewasz...

Odwróciła si i wybiegła, trzaskaj c drzwiami.

Jack z jkiem osun 1 si na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Był zdruzgotany. Kresyda okazała si kłamczucha, złodziejka i bezwstydn kokietka, a na domiar złego najzdolniejsza aktorka, jak dot d zdarzyło mu si spotka. Cierpienie i rozpacz, maluj ce si na jej twarzy, były tak wyraziste, e nawet teraz najbardziej na wiecie pragn 1 biec za ni i ukoi ten ból.

Był jednak wiadomy, e z czystego wyrachowania mówiła o ch ci oszcz dzenia cierpie swemu ojcu. Wiedziała doskonale, e nie potrafiłby zaszkodzi wiekowemu kuzynowi. Z pewno ci miała tak e wiadomo, e pod adnym pozorem nie zmusiłby kobiety, by była mu uległa, cho by była zepsuta do szpiku ko ci. Tak czy inaczej urocza kuzyneczka zrobiła z niego idiotę, a on dał si wodzi za nos, cho przeczuwał, co z niej za ziółko.

Zakl 1 szpetnie. Sytuacja patowa. Złodziejka została przyłapana na gor cym uczynku. I nic z tego nie wynika. Nie warto tu siedzie. Czas wróci na gór i poło y si do łóka. Kiedy wstanie dzie, trzeba b dzie zastanowi si, jak post pi z Kresyd. Je li pozwoli jej na wyjazd i przyj cie posady guwernantki, pewnie znowu co ukradnie i zostanie przyłapana. Obcy ludzie bez skrupułów wydadz j w r ce konstabl.

Przecie to twoja kuzynka, upomniał si w duchu Jack, uboga krewna zobowi zana do opieki nad ojcem, który oddaje ebrakowi ostatni grosz oraz swój płaszcz. Czy w tej sytuacji mo na j wini?

Niech to diabli! Czemu nie przyszła do mnie po rad i pomoc?

Targany sprzecznymi uczuciami obawiał si, e nie za nie tej nocy. Musi min sporo czasu, nim rozum pozwoli mu doj do wniosku, e nie mo na zakocha si w pannie, która chyłkiem kradnie cenne bibeloty.

Postanowił odstawi na miejsce jej wieczorny łup. Zapewne nim tu weszła, przeczesała tak e kilka innych pokoi. Zasmucony si gn 1 po figurk tygrysa, któr wcze niej wyj 1 z woreczka. Przyjrzał si statuetce i zmarszczył brwi.

Nie, chyba mu si zdawało. A jednak miał nieodparte wra enie, e

dzi po kolacji widział tygrysa w bibliotece. Stał na stole wielebnego Bramleya. Jack pami tał, e na widok statuetki zacz ł si zastanawia , czym kieruje si tajemniczy złodziej, kradn c kosztowne drobiazgi.

Wieczorem Kresydy nie było w bibliotece.

Poczuł zimny dreszcz, bo opadły go w tpliwo ci. Skoro figurka tu była, jakim sposobem znalazła si w woreczku Kresydy?

Otworzył go dr cymi palcami, zajrzał do rodka i zobaczył kilka pakunczków. Jakie drobiazgi starannie owini te w chusteczki do nosa i skrawki pomara czowego aksamitu, dla pewno ci przewi zane sznurkiem.

Otworzył jeden z nich i ze zdumieniem wpatrywał si w chi skiego konika z połyskliwego nefrytu. Co to ma znaczy ? Dlaczego złodziejka przyniosła ze sob ukradzione wcze niej drobiazgi? To bez sensu. Mo e ogarn łj strach i postanowiła wszystko zwróci ?

Czy by uznała, e złodziejski proceder staje si zbyt niebezpieczny? Popatrzył znów na tygrysa. Jak trafił do jej woreczka? Czy aby na pewno stał na stole wielebnego Bramleya?

Wszyscy go cie i domownicy z wyj tkiem Kresydy, która zaraz po kolacji poszła si poło y , spotkali si wieczorem w bibliotece. Przez jaki czas Meg siedziała tu sama z małym Jonem, a pó niej doł czyli do niej panowie. Wspomniała, e Kresyda ma migren i dlatego musi odpocz . Jack wiedział, e ból głowy jest zwykł wymóvk . Co jej le ało na sercu. Tygrys z pewno ci był na stole. A zatem...

Powrócił my ł do wczorajszego wieczoru. Marc stał obok sekretarzyka, tak jak teraz on, i spogl dał na Meg, miej c si z jej słów. Doktor Bramley siedział przy stole i machinalnie przekładał papiery. Wydawał si roztargniony bardziej ni zazwyczaj. Figurka tygrysa na pewno tu była. Jack przypominał sobie jak przez mgł , e starszy pan str cił j na podłog i natychmiast podniósł. Niedługo potem udał si na spoczynek.

Kresyda nie mogła zabra tygrysa. Jackowi kamie spadł z serca. Bogu dzi ki. I za co? Bezpodstawnie oskar ył j o kradzie . Groził, e zmusi j do uległo ci. Sumienie domagało si odrzucenia eufemizmów i nazwania rzeczy po imieniu. Z rozpacz u wiadomił sobie, e mówił tak, jakby chciał j zniewoli .

Wzdrygn ł si , zdegustowany własn brutalno ci i brakiem opanowania. Kresyda zapewne domy liła si , e tego by nie zrobił, e s to czcze pogró ki i nie wzi łby kobiety sił .

Zacisnął powieki, gdy stanła mu przed oczyma jej twarz, wyrażająca lęk i bezradność. Skąd miała wiedzieć o jego skrupułach? Raz po raz powtarzał, że chętnie zrobiłby z niej swój kochanek.

Z pewnością ci nie wzięła tygrysa. Tylko jeden człowiek mógł go zabrać, a z tego wniosek, że próbowała naprawić cudzy błąd. Przyszła tu, aby odstawić bibeloty na miejsce. Nie ufała mu. Wolała zaryzykować, że straci dobre imię i dach nad głową, byle tylko ukryć przed nim smutną prawdę.

Drucymir koma odwijał pakunczki i ustawiał je na stole. Skrawki pomarańczowego aksamitu spadały na podłogę. Cienkie tkaniny, z której Meg uszyła suknię dla Kresydy.

Jack westchnął ciężko. Wiedział teraz, dlaczego Kresyda zaraz po kolacji poszła na górę i czemu była taka przygnębiona, gdy ofiarował jej korale. Jak starannie zapakowała przedmioty, aby uchronić je przed uszkodzeniem. Potem czekała, a domownicy pójdą spać, by ustawić wszystko na właściwym miejscu.

Zostawił bibeloty na stole i ostrożnym krokiem wszedł po schodach. Po raz pierwszy w życiu tak bardzo opadł z sił. Idąc do swego pokoju, musiał ominąć sypialnię Kresydy. Nie wiadomo, zwolnił i nagle uwiadomił sobie, że w półmroku korytarza stoi przed jej drzwiami.

Zapuka? Powiedzieć, że domyślił się, kto wzięła kosztowne drobiazgi, i już wie, że jest niewinna? Machinalnie sięgnął do klamki i zatrzymał się w półgestu, bo usłyszał stłumiony odgłos: Kresyda płakała. Zapewne wtuliła głowę w poduszki, aby jej nikt nie usłyszał. Na pewno serce jej się kraje, bo nie ma komu zaufać albo zwierzyć się.

Cisza. Czekaj, wstrzymaj oddech. Znowu łkanie. Ledwie słyszalne, lecz dla niego donośne jak krzyk sumienia. Położył dłoń na klamce i zamarł.

Opuszczył rękę i oparł się plecami o ciany wykładane boazerią. Skulił ramiona. Co po niedawnej rozmowie w bibliotece Kresyda pomyślała o jego widoku? Ze swoim sercem doszedł do wniosku, że uzna, i zmienił zdanie i mimo wcześniejszych obiekcji przyszedł wyrównać rachunki. Nawet gdyby zapukał, gdzie przerażała ona tak samo jak w bibliotece.

Uspokoi się, gdy wszystko jej wytłumaczy. Ale co? Z ponurym miną przyznał sam przed sobą, jaka jest prawdziwa przyczyna, która teraz pcha go ku niej. Trudno mu było przewidzieć własne reakcje. Chciał ją utulić, pocieszyć, ale wiadomo, że własnych błędów nie osłabiła

tl tego si nadal po dania. W obecno ci Kresydy nie w pełni nad sob panował. Co wa niejsze, u wiadomił sobie, e po tym, jak oskarzył j o kradzie i szanta ował, ka c wybiera mi dzy oddaniem w r ce policji a zgod na romans, jest ostatni osob , z któr chciałaby rozmawia .

W uszach d wi czały mu jej słowa. „Zgadzam si na wszystko. Miejmy to za sob ”.

Zza drzwi znów dobiegło łkanie. Oczyma wyobra ni ujrzał zapłakan Kresyd , która z głów wtulon w poduszki usiłuje powstrzyma łzy.

Z gorycz wspominał, o czym my lał, nim przysła do biblioteki. Zdał sobie spraw , e mu na niej zale y, a wywrócenie jego wiata do góry nogami wcale nie byłoby takie złe. Najwy szy czas nazwa to uczucie po imieniu: kochaj ! Wreszcie zrozumiał, dlaczego przy niej traci głów i nie potrafi nad sob zapanowa . To przez ni w jego yciu panował teraz kompletny zam t.

Tym razem serce okazało si m drzejsze od rozumu. Kresyda była t jedyn . Chciał j chroni , kocha i posi . Nareszcie to sobie u wiadomił, a niespodziewane odkrycie w pierwszej chwili go poraziło. Nie tak wyobra ał sobie miło . Spodziewał si , e b dzie to uczucie spokojne, łagodne, w miar uładzone; czułe przywi zanie wła ciwe logicznie my l cemu, rozs dnemu m czy nie. Ta miło była jak po ar - rozpalaa nami tno . Dostrzegał tak e inne jej przejawy: czuło , serdeczno .

Miło . Ludzie nieustannie o niej mówi i dlatego w oczach Jacka straciła na znaczeniu. Gdy pokochał, ukazała mu pełni barw, t czow rozmaito odcieni, nagle o ywionych nami tno ci . Nie potrafił znale słów, które mogłyby dokładnie opisa jego stan. Znał tylko jedno, w którym wszystko było zawarte: kocham.

I pomy le tylko, e wystarczyło pół godziny, by skutecznie zniech cił do siebie ukochan . Wcale by si nie dziwił, gdyby konsekwentnie unikała spotka i rozmów ze swoim dr czycielem. Podejrzewał, e po tym, co mi dzy nimi zaszło, jego miłosne wyznania potraktowałaby z du doz nieufno ci. Wzdrygn ł si na sam my l o tym. Co gorsza, całkiem prawdopodobne, e odrzuciłaby je ze wstr tem.

Wielebny Bramley podniósł głów znad stołu. Pokryta zmarszczkami

twarz wyrażała roztargnienie, które po chwili ustąpiło miejsca panicznemu strachowi.

- Mówisz, że Kresyda miała te wszystkie drobiazgi? Przyłapała ją, gdy je tu przyniosła, tak? Ale... ona z pewno ci ... Jack, zapewniam ci ...

- Przypuszczam, że chciała je odłożyć na miejsce - wpadł mu w słowo Jack. - Wiem, że z pewno ci nie wzięła stąd tygryśka z kocy słoniewej, bo wczoraj wieczorem stał na pańskim stole. Czy pan go sobie przypomina?

Starszy pan pokręcił głową, ale Jack nie wiedział, czy to oznacza zaprzeczenie, czy tylko niepewność.

- W takim razie sugerujesz...

- Ja tylko pytam - zastrzegł łagodnie Jack. - Czy wie pan, dlaczego Kresyda miała u siebie te rzeczy i czemu je tu przyniosła, nie wspominając mi ani słowem, że je znalazła?

- Owszem - wymamrotał Bramley. - Sądziłem, że musiałem je zabrać.

Jack spodziewał się takiej odpowiedzi, ale jej forma była dla niego całkowitym zaskoczeniem.

- Sądzi pan?

Wielebny Bramley w jednej chwili postarzał się o dziesięć lat. Twarz mu się skurczyła i poszarzała.

- Wszystkiemu winne przekleństwo laudanum. Pomaga na skurcze ośrodkowego układu nerwowego i daje zdrowy sen - wyjął.

Jack wiedział, że starszy pan zażywał laudanum, ale nie pomyślał o skutkach ubocznych, bo znał innych ludzi, którzy je stosowali bez przykrych konsekwencji. Jednak przypomniał sobie, że matka z obawy przed niekorzystnymi efektami kuracji odmówiła przyjmowania laudanum. Twierdziła, że lek sprowadza nocne koszmary i powoduje kłopoty z pamięcią.

- Niestety, drogi chłopcze, zawsze byłem zapominałki. Po laudanum jest ze mną jeszcze gorzej, ale kiedy przestaję brać, mój stan bardzo się pogarsza. Mam paskudny nawyk machinalnego sięgania po różne drobiazgi. Bawię się nimi i nie wiadomo chowam do kieszeni.

- Ale potem sięga pan do niej i wyjmuje zawartość, prawda? Wtedy jest pan już tego wiadoy.

Starszy pan tylko nie kiwał głową.

- Raczej nie. Moja matka znajdowała w sypialni rozmaite drobiazgi znoszone z najróżniejszych miejsc w całym domu. Nie wiadomo czemu chowałem je zwykle do mego sakwoja. Nikt się tym specjalnie nie

przejmował. Mówi o naszym domu. Ja nie byłem wiadomy, e i tu si tak zachowuj . -Z obaw popatrzył Jackowi w oczy. - Od mierci Amabel jest coraz gorzej. Szczerze si o mnie troszczyła. Kresyda bardzo si stara, ale to zupełnie inna sytuacja. Byłem do nieboszczki ony ogromnie przywi zany, cho pobrali my si w niecodziennych okoliczno ciach. Pewnego dnia Kresyda b dzie musiała mnie opu ci . Znajdzie posad i wyjedzie. Nie mam prawa jej zatrzymywa , ale wtedy zostan zupełnie sam.

Starszy pan martwił si na zapas, co zapewne dodatkowo pogarszało jego stan. Z obawy przed skurczami oł dka za ywał spore dawki laudanum. Szarada została rozwi zana. I co dalej? - zapytał si w duchu Jack. Najpierw musi uspokoi przera onego starca.

- Prosz si nie obawia , drogi panie - zaczą ł serdecznie. - Sam pan powiedział, e w domu nikt si specjalnie nie przejmował pa skimi drobnymi dziwactwami. Tak b dzie nadal, bo teraz tu jest pa ski dom. Wyja ni słu bie, w czym rzecz, i zło wszystko na karb pa skiego roztargnienia. Gdyby co zagin ło, we miemy pana na spytki.- Popatrzył na zdenerwowanego duchownego, podszedł do stolika i hojnie nalał brandy do szklanki. - Prosz to wypij . - Z wymuszonym u miechem podał j starszemu panu. - Nie ma powodu do obaw.

Wielebny Bramley upił spory łyk i zadał pytanie, na które z niepokojem czekał Jack.

- Co pan powiedział Kresydzie?

- Pocz tkowo s dziłem, e ona... e mnie okrada. Groziłem, e oddam j w r ce konstabla. - Albo zaci gn do ło ka, dodał w my li.

- Przypuszczam, e natychmiast powiedziała panu prawd .

Jackowi zapało dech w piersiach, jakby go kto uderzył. Czy by wielebny tak słabo znał własn córk ?

- Nie - odparł cicho. - Nie potrafi pan sobie zapewne wyobrazi , jak byłem rozgniewany. Nie chc pana denerwowa , powtarzaj c bzdury, których nagadałem Kresydzie. Zamiast zrzuci win na pana, milczała uparcie i nie baczc na moje pogró ki, pozwoliła mi wierzy , e jest złodziejek . - Nie zdobył si na to, eby wyzna starszemu panu wszystko. Przynajmniej na razie.

- Niemo liwe! - Wielebny Bramley ukrył twarz w dłoniach, zadr ał i dodał stłumionym głosem: - Bo e miłosierny, co ja narobiłem! Co ja narobiłem!

- Przecie to nie pa ska wina - tłumaczył zakłopotany Jack.

- Musz ci o czym powiedzie , Jack - oznajmił Bramley. - Chodzi o to, dlaczego straciłem posad w Kornwalii. Widzisz, drogi chłopcze, nie po raz pierwszy w cudzym domu przywłaszczyłem sobie cudz własno .

Gdy Jack opu cił bibliotek , był tak rozgniewany, e twarz mu pobladła, a zło podniosła mu ci nienie. Je li kiedykolwiek stanie mu na drodze wicehrabia Andrew Fairbridge, po ałuje, e przyszedł na wiat. Najlepiej byłoby wysmaga go szpicrut , a potem zbeszta i poni y bez lito ci. Tylko łotr zwodzi pann z dobrego domu obietnic mał e stwa, której nie my li dotrzyma . Tylko ostatni dra cierpliwie czeka na odpowiedni moment, by wreszcie pewnego zimowego wieczoru pod nieobecno ojca wezwanego do konaj cego parafianina odwiedzi dziewczyn i zaproponowa jej nami tny romans.

Zacisn ł dłonie w pi ci. Andrew Fairbridge mógł si uzna za szcz ciarza, bo Kornwali i Leicestershire dzieli wiele mil. Gdyby mieszkał bli ej, zostałby natychmiast wyzwany na pojedynek i zastrzelony bez pardonu.

Wzburzony Jack przeci ł główny hol. Z w ciekło ci m ciło mu si w głowie. Pu cił mimo uszu słowa Evansa i poszedł na gór . Koszmarna wizja sytuacji, któr po powrocie do domu zastał wielebny Bramley, przyprawiała go o mdło ci. Bogu dzi ki, e nieszcz sny parafianin szybko przeniósł si na tamten wiat, a Bramley przybył w sam por .

Jack zakł ł, gdy wyobraził sobie Kresyd , walcz c rozpaczliwie z Fairbridge'em. Tupn ł z bezradnej zło ci, zastanawiaj c si , jakimi słowami ten szubrawiec oznajmił, e nie ma wobec niej powa nych zamiarów.

Nie dziwił si równie , i lady Fairbridge rozgniewała si na syna z powodu jego niewczesnych amorów, zwłaszcza e tu za wicehrabi do jej domu wpadł rozsierzdzony duchowny, daj c, aby młodzian zachował si , jak przystało na d entelmena i po lubił Kresyd . lub syna z pann bez posagu i koneksji byłby zapewne dla wielkiej damy ogromnym rozczarowaniem.

Nadal brzmiał mu w uszach głos wielebnego. „Chciałem j tylko ochroni . Błagała, eby tam nie szedł. Powtarzała, e woli mier ni lub z tym człowiekiem, ale nie posłuchałem. Z powodu zadymki nie nej nie mogłem wróci do domu i nocowałem w pałacu. Rano lokaj znalazł w mojej kieszeni tabakierk . Widział, jak po ni si gałem”, Gdy Jack sobie to przypomniał, pociemniało mu w oczach ze zło ci.

Wielebny cięgnął dr cym głosem. „Zapowiedzieli mi, e je li spróbuje zmusi Fairbridge'a do mał e stwa z Kresydem, oskarżenie o kradzież”.

A potem na wszelki wypadek odebrali mu parafi, pozbawiając rodaków do ycia, i zepsuli opinię Kresydzie, rozsiewając pogłoski, jakoby była puszcza i oddawała się temu, kto najwięcej zapłaci. A wszystko po to, eby nikt się nie o nią miał krytykować i nikczemnego panicza.

W końcu znalazł się ktoś, przed kim Fairbridge odpowie za swe postępowanie. Trzeba wyzwać tego łajdaka na pojedynek. Najlepsze będzie szpady, eby mu została trwała pamiątka. Musi odpokutować za swój występ.

Jack nagle ochłonął i zaczął rozumować trochę więcej. Je li wyzwie Fairbridge'a, ten będzie miał prawo wyboru broni. Parszywy tchórz zaproponuje pistolety. Tak czyni obecnie większość entelmenów. Jack nie miał nic przeciwko tej broni, lecz wolałby zabić gada powoli. Bardzo powoli.

Skręcił w boczny korytarz i nagle zderzył się z osobą idącą w przeciwnym kierunku. Meg (bo to ona wpadła na pana domu) zakląła paskudnie i spiorunowała go spojrzeniem.

- Co ty wyprawiasz! - achnęła się. - Szarujesz jak rozwieszony byk. - Przyjrzała mu się z uwagą. - Dobrze się czujesz? Co z tobą? Wyglądasz okropnie. Nie widziałeś Kresydy? Evans powiedział, e wyszła z domu wieki temu.

Jack czuł, e blednie. Czy by odeszła? Pewnie o tym chciał mu powiedzieć Evans. Dokąd się wybrała? Dlaczego? Nie mogła teraz odejść!

- Wziła coś z bagażu?

- Na spacer? — Meg spojrzała zdziwiona i odparła ironicznie: - Nieśmiało. Evans o tym nie wspominał. Mówił tylko, e jego zdaniem powinna już wrócić.

To jasne jak słońce, e nie mogła stać odejść. Nie zostawiłaby ojca na pastwisko. W każdym razie nie teraz, gdy uważa, e musi go chronić przed... Wzdrygnął się, kiedy o tym pomyślał.

- Jack? - Meg przyglądała mu się, nie kryjąc zdumienia. - Co ci jest? Rami znów dokucza?

Nie czuł fizycznego bólu, natomiast jego poczucie godności i miłość własna srodze ucierpiały. Przed chwilą oburzał się na Fairbridge'a za

haniebne potraktowanie Kresydy i jej ojca, a sam nie był lepszy. Mo na uzna , e dopu cił si znacznie wi kszej podło ci. Z oci ganiem popatrzył na Meg.

- Pójd jej poszuka . Nie martw si . To moja wina. Mieli my sprzeczk .

Serce cisn ło mu si z alu, gdy kiwn ła głow . Wyznanie wcale jej nie zdziwiło.

- Rozumiem. To wyja nia, dlaczego Evans uznał, e była przygn biona.

Jack ruszył w kierunku stajni. Musi dosi konia, cho podejrzewał, e Clinton b dzie sarka . Bez powodu. Doktor Wilberforce wyra nie zakazał tylko polowania. Ani słowem nie wspomniął o je dzie konnej, a Clinton ma słuca rozkazów i koniec.

- Ja nie pan chce jecha konno? A niech to wszyscy... Przecie doktor powiedział, e nie wolno. Ja nie pan ma zakaz na cały miesi c.

- Człowieku, co ty gadasz? Mówił tylko, e nie mog polowa . Do gadania. Osiodłaj mi Peryklesa.

- Pan doktor zapowiedział mi, e do Wielkiego Postu ma si ja nie pan trzyma z daleka od koni. Polowanie, do jasnej - zerkn ł na syna, który nadstawiał ucha, konotuj c, jak nale y rozmawia z lepszymi od siebie - ciasnej - doko czył Clinton, wzi wszy si w karby. - Zmykaj st d, Danny - powiedział do chłopca i zwrócił si znowu do chlebodawcy. - Ja nie pan nie powinien dosiada konia a do...

Jack zakł ł, trac c cierpliwo .

- Zrozum, Clinton! Panna Bramley wyszła z domu przed kilkoma godzinami. Musz jecha , eby jej poszuka . Dawno powinna wróci . Bóg jeden wie, któr drog wybrała. - Z obaw popatrzył na niebo, z ka d chwil coraz bardziej zachmurzone. Trzeba szybko znale Kresyd .

Clinton najwyra niej był w kropce.

- Panienska Kresyda? Trzeba było od razu tak mówi , ja nie panie. Migiem osiodłam konia i pojad jej szuka , a ja nie pan.

- Nie - przerwał spokojnie Jack, który cudem zdołał si opanowa . Clinton przyjrzał mu si z uwag .

- Ja nie pan chce Peryklesa, tak? - Westchn ł ci ko. - No dobrze. Ale gdyby doktor si czepiał, prosz pami ta , e to na pa sk odpowiedzialno .

- Ja nie panie...

- Słucham, Danny? - Jack starał się przybrać yczliwy wyraz twarzy, ale z miny chłopca wywnioskował, e niezbyt mu się to udało.

- Ja chciałem... - Danny nerwowo przełkn ł lin . -Panienka Kresyda poszła do lasu.

-Naprawd ? - To ju co ! Dobrze się stało. Podczas zamieci drzewa stanowi pewn osłon .

Danny energicznie pokiwał głow .

- Tak, ja nie panie. Widziałem j kilka godzin temu, kiedy przeprowadzałem Ognika. Szła do lasu tamt drog .

Jackowi kamie spadł z serca, bo ju wiedział, gdzie jej szuka . Wczoraj padał deszcz, ziemia była mi kka, wi c łatwo znajdzie trop.

Gdy pi minut pó niej jechał truchtem, zdał sobie spraw , e odnalezienie Kresydy to najłatwiejsze zadanie. O wiele trudniej b dzie przekona j , eby pozostała w jego domu - zwłaszcza w roli, któr dla niej wybrał.

ROZDZIAŁ DZIESI TY

Kresyda skuliła ramiona dla ochrony przed przenikliwym wiatrem z północy i nieco przyspieszyła. Zimowe trzewiki na grubej podeszwie zapadały się w błoto, które zostało po wczorajszym deszczu. Przy ka dym kroku słyszała gło ne pla ni cie. Nie powinna tak g ł boko zapuszczać się w las, ale potrzebowała sporo czasu na my lenie i nie chciała, eby zakłócano jej spokój. Problem w tym, e kiedy zawróciła, była ju bardzo zm czona. Nogi coraz bardziej jej ci yły.

Nie mogła przebole , e Jack uznał j za kokietk i oszustk gotow zastawi na niego sidła. Łza spłyn ła jej po policzku. Gdyby tylko wiedział, e za nic w wiecie nie uległaby m czy nie jego pokroju, zwłaszcza komu tak bliskiemu jej sercu jak on. Mał e stwo równie nie wchodziło w gr . Nie chciała z nim dzieli swej niesławy, a nic wi cej nie miała do zaferowania.

Nie mo esz mu odmówi , ostrzegł wewn trzny głos. Zapomniała , e uznał ci za złodziejek ? Teraz chce, eby była jego kochank .

Zatrzymała się przed konarem zagrządzaj cym drog . Nie mo e wini Jacka, e tak o niej pomy ła. Została przyłapana, gdy miała przy sobie wszystkie zaginione przedmioty z nefrytu i ko ci słońiowej. Có mógł o niej pomy le ?

Dlaczego nie przyszło mu do głowy, e znalazła te przedmioty i

chcesz dyskretnie odnieść je na miejsce, rezonował wewnątrz trzyny głos. W środku nocy? Niemal po ciemku? Bez lampy lub choćby wiecy? Mimo woli zachowała się jak złodziejka.

Gdy natknęła się na nią w bibliotece, odniosła wrażeń, a nie gardzi. Teraz z ponurą miną analizowała tamtą scenę. Byłoby łatwiej przejść nad tym do porządku, gdyby potrafiła go znienawidzić lub przynajmniej zdobyć się na obojętność. Daremnie próbowała wzbudzić w sobie te odczucia. Zależało jej na Jacku. Nie sposób tego porównać z jej nastawieniem wobec Andrew. Zauroczenie przystojnym mężczyzną wzięła za miłość. Dopiero Jacka pokochała.

Groził, że odda mnie w ręce konstabla, przypomniawszy sobie z obawą. A jeżeli papa w błogiej nie wiadomo ci będzie nadal zabierał do swego pokoju cenne drobiazgi? Co wtedy? Jak zareaguje Jack, kiedy się o tym dowiedzie?

Znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Nie mogła zostawić ojca samego. Wtępiła, czy uda jej się przekonać go do wyjazdu. Aby postawić na swoim, musiałaby powiedzieć, co się stało, a tego uczynić nie mogła. Dręczyła w podmuchach zimnego wiatru, przyspieszyła kroku.

Trzeba zaufała Jackowi i wyznała mu prawdę. Nie ma wyboru. Zresztą już wcześniej zdecydowała, że rano opowie mu swoją historię, ale wydarzenia ostatniej nocy wszystko skomplikowały. To jednak nie zwalnia jej z obowiązku bezwzględnej szczerości. Znowu przyspieszyła. Im bardziej będzie to miała za sobą, tym lepiej.

Kolejny wielki konar zagroził jej drogę. Przeskoczyła go pospiesznie, unosząc długi płaszcz, ale zaczęła o złamaną gałązkę. Po liznęła się na zdradliwej, rozmokłej drodze. Z krzykiem rozłożyła ręce, aby utrzymać równowagę, ale upadła na błotnistą drogę i mokry konar. Poczwała w kostce okropny ból.

Jack popatrzył na niebo zasłane ciemnymi chmurami. Diabli nadali! Wiatr dął coraz mocniej; zapewne spadnie śnieg. O tej porze roku trudno spodziewać się zamieci, lecz i tak Jackowi serce się krajało na myśl, że zżębni ta Kresyda samotnie błąka się po lesie.

Skąd ci przyszło do głowy, że zabłądziła, głupku, skarcił się natychmiast. Poszła na długi spacer, a ty wyjechałaś jej naprzeciw.

Nie miała pojęcia, gdzie jej szuka. Nie była wiadoma, i dowiedział się wszystkiego. Nie zważając na pulsujący ból w ramieniu, zmusił Peryklesa do cwałowania na rozmokłej lewej drodze. Grudy błota leciały spod kopyt wielkiego szarego wałacha. Był uwalany aż po brzuch. Jack nie wyglądał

lepiej. Wełniany płaszcz chronił przed zimnem i wilgoci , cho był cały w ciemnych plamach.

Jack jechał ostro nie, bo wymagała tego liska droga, a zarazem wytął wzrok, nieustannie wypatrując Kresydy. Widział wyraźnie lady małych stóp na mokrym podłożu. Miał nadzieję, że należe do niej. Ujechał już dobrą milę. Na pewno wkrótce spotka Kresydę. W tępym, eby przy takiej pogodzie zaszła do daleka.

Poczuł na twarzy chłodny muśnięcie. Kilka dni nie było opadło na grzywe Peryklesa. Koź zastrzygnął uszami i w tej samej chwili zaczął z oburzeniem, bo na nos spadło mu kilka płatków niegu.

- Wybacz, staruszko - powiedział Jack. - Musisz przyspieszyć. - Zachęcił Peryklesa do galopu, modlił się w duchu, eby szalona jazda nie skończyła się upadkiem konia i jeźdźcą. Czuł ból obojczyka pulsujący w rytm kopyt bijących o podłoże.

Nagle dostrzegł między drzewami smug szkarłatu. Czy to Kresyda? Serce w nim zamarło. Gwałtownie sięgnął wodze. Tak! Odetchnął z ulgą. Może na powieź, że jest bezpieczna.

Dziwnie się poruszała. Krok był nierówny, ruchy osobliwe. Zawsze podziwiał jej lekkość i grację. Skąd ta nagła zmiana? Zniecierpliwiony Perykles dreptał w miejscu. Jack puścił go truchtem.

Co się stało Kresydo? Zmęził w ustach przekleństwo, gdy zobaczył, że podciera się kijem i mocno kuleje. Dobry Boże! Skoro może i o własnych siłach, raczej nie złamała nogi, ale... Poczuł się winny. Gdyby nie zrugwał jej w nocy, nie spacerowałaby samotnie. Dręczony wyrzutami sumienia puścił cugli Peryklesowi.

Kresyda podniosła głowę. Widząc Jacka, zmieniła się na twarzy. Straciła równowagę, upuściła kostur i upadła jak długa na błotnistą cieki.

- Kresydo! - zawołał, zeskakując z konia. Przypadł do niej i usłyszał cichy, znużony głos.

- Spokojnie. Proszę się nie denerwować. Wcale nie próbowałam umknąć, eby uniknąć wywiezienia się z umowy. - Usiadła z trudem i wtedy zobaczył jej twarz: skurczoną, pobladłą od zimna, wykrzywioną grymasem cierpienia.

Oniemiał, gdy uwiadomił sobie, że jej zdaniem przyjechał tu wyłącznie z obawy, i postanowiła przed nim uciec. Drżał cały, unosząc dłoń, eby pogłaskać ją po policzku, ale znieruchomiał w półgestu, bo skuliła się i odwróciła głowę, unikając jego spojrzenia.

- Kresydo, co ty mówisz?! Wcale ci nie cigalem, eby... - Głos mu si załamał. A co miała sobie my le po tym wszystkim, czego jej nagadał? - Jestem tutaj, bo martwiłem si o ciebie. Postanowiłem sam ci odnale i powiedzie , e rozmawiałem dzi rano z twoim ojcem. Ju wiem, co si stało w Kornwalii, dlaczego stracił posad , jak ci oszukał Fairbridge.

- Papa wszystko ci wytłumaczył? - zapytała. Głos jej dr ał, cho próbowała nad nim zapanowa .

- Oczywiście - zapewnił. - Rzecz jasna niczego nie ukradła . Wiedziałem to ju przed rozmow z twoim ojcem.

Sk d wiedział? Nie była w stanie trze wo my le . Trz sła si z zimna, kostka j bolała. Marzyła jedynie o tym, by skuli si , zasn i ni , e Jack w cudowny sposób dowiaduje si o wszystkim, o czym mu nie wspomniała, puszcza przeszło w niepami i prosi j o r k .

Poczuła, e mocne dłonie unosz jej mokr sukni i zwijaj po czochy. Natychmiast wróciła do rzeczywisto ci, pospiesznie naci gn ła spódnic i cofn ła si , odpychaj c Jacka.

- Kresydo, chc tylko sprawdzi , co z twoj kostk .

- Naprawd ? - zapytała i nieco uspokojona spojrzała mu w oczy.

- Pewnie. - Odsun ł ponowi gruby aksamit i rozwi zał trzewik. - Jest troch za chłodno, eby w lesie pokłada si z pannami.

Wyrwała stop i j kn ła z bólu.

- Uraziłem ci ? - spytał troskliwie i ostro nie pomacał spuchni t kostk .

Kresyda odczekała moment, eby opanowa dr enie głosu, a potem skłamała gładko.

- Dzi ki za trosk . Moja kostka jest całkiem sprawna.

- Aha - mrukn ł z roz targnieniem, jakby w ogóle jej nie sływał. Ostro nie badał staw, wyginaj c stop w ró ne strony. - adnych dolegliwo ci, tak? - Zało ył jej trzewik. - To wyja nia, czemu kulafa i podpierafa si kijem. Ale mniejsza z tym. Nawet gdyby nie kłamała w ywe oczy, i tak pojechałoby my konno, zamiast wraca piechot . B dzie szybciej. - Lu no zawi zał trzewik. - W domu ci go poprawi . Twój ojciec dostanie ataku serca, jak si zorientuje, e wychodziła . - Pisn ła zaskoczona, gdy niespodziewanie wzi ł j na r ce. - Spokojnie. Musimy wróci , nim zacznie si zadymka. - W powietrzu wirowały ju białe płatki.

- Naprawd nie jeste zły na pap ? - Kresyda odetchn ła z ulg .

Jack zawsze był mu ucykliwy, więc skoro zna prawdę, drogi papa jest bezpieczny. Z pewno cię może liczyć na pomoc i opiekę młodego kuzyna.

- Ale skąd.

Kresyda musiała walczyć ze sobą, żeby nie położyć głowy na mocnym ramieniu. Najchętniej tak by już pozostała.

- Natomiast w ciekłem się na ciebie. - Głos miał zdławiony, kiedy wsadzał ją na swego konia i sam się za nią sadowił. Zadrżała mimo woli, gdy objął ją, sięgając po uźdź.

- Zapewniam, że jestem w stanie chodzić - mamrotała naburmuszona. Jasne. Gorzej z siedzeniem. Na dobrą sprawę niemal leżała w ramionach Jacka, przytulona do ciepłego torsu i boleśnie wiadoma, że on nie darzy jej sympatii i jest na nią zły. Mimo to była w siódmym niebie.

- Głupstwa mówisz. Nie mam ochoty na wieczorne spacerowanie. Chce wrócić do domu przed zmierzchem.

Starła się nie patrzeć, jak przekłada wodze z ręki do ręki. Zdumiała się, gdy rozpiął guziki płaszcza i przyciągnął ją do siebie.

- Co robisz? - szepnęła, kiedy objął ją w taliu, jakby chciał, by się w niego wtuliła.

- Musz ci trzymać, żeby nie spadła, i okryj, bo zmarzniesz. - cięgnął ją do siebie i zapinał guziki. - Dlaczego w nocy nie wyznała mi prawdy? - spytał, wzmacniając uścisk.

- A jak się dzisiaj?

- Bała się, że oddam twego ojca w ręce policji, zgadłem? - odparł zapalczywie i gniewnie. - Kresy do! Igrała z ogniem!

- Wiem, ale ryzykowałam jedynie to, co moje - odparła rozzłoszczona. Nagle stała się podejrzliwa. - Chyba nie powiedziała papie o swojej propozycji?

- Skądże. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał ponuro - Nazwijmy rzecz po imieniu. To były pogroźki. Nie obawiaj się. W rozmowie z twoim ojcem nie przyznałem się, że próbowałem wymóc na tobie zgodę na romans i chciałem, aby została moją kochanką.

Kresydzie kamień spadł z serca. Skoro Jack nie wspomniał o tamtych grobach, papa nie ma powodu, by przymuszać go do małżeństwa.

- W takim razie wszystko jest w porządku - podsumowała. Dla jej spokoju byłoby lepiej, gdyby nie tulił jej do siebie tak czule. Tłumaczyła sobie, że Jack trzyma ją w ramionach, bo chce tylko jak najszybciej

wróci do domu. Gdyby nie padał nieg, siedziałaby sama na koniu, a Jack prowadziłby go za uzd .

- Nie masz racji, Kresydo. Musz ci zada jedno pytanie. Czy bardzo zale ało ci na Fairbridge'u?

Zrozpaczona mocno zacisn ła powieki, staraj c si nie dr e .

- Przez jaki czas byłam nim mocno zaj ta. - Nie potrafiła mówi dalej i wyja ni , e młodzie czy zachwyty przystojnym wicehrabi przerodził si w pensjonarskie zauroczenie, gdy poj ła, e ja nie pan raczył zwróci na ni uwag . Potrafił by czaruj cy, miał spory maj tek i darzył j zainteresowaniem.

- S działa , e si z tob o eni?

- Tak. Byłam głupia. Wierzyłam w jego kłamstwa.

- W tpi , eby miał taki zamiar, moja droga. Z pewno ci nie doszłoby do lubu.

- Nie musisz mi tego u wiadamia . My lisz, e łatwo mi było ze wiadomo ci , i jestem dla niego wył cznie zabawk ? Zreszt nic dziwnego. Kto by chciał takie brzydactwo jak ja? -Poczuła, e siedz cy za ni Jack zeszytniał. - Na domiar złego bez posagu, bez koneksji. Panna pozbawiona wszelkich atutów miałaby wyj za m za bogatego d entelmena z tytułem i pozycj w wielkim wiecie? Pocz tkowo nie zwracałam uwagi na jego umizgi, ale kiedy wyznał, e mnie kocha i zamierza si o mnie stara ...

- Tak powiedział? Słowo w słowo?

- Naturalnie. Ostrzegiał, e jego matka b dzie przeciwna, ale twierdził, i i tak pragnie si ze mn zwi za , a matka z czasem to zaakceptuje.

- I rzeczywi cie si o wiadczył?

Kiwn ła głow , tul c policzek do jego szerokiej piersi. Nie powinna mu si zwierza , bo uznaj za idiotk i ladacznic , ale musiała wreszcie opowiedzie o tamtych zdarzeniach. Zbyt długo dusiła to w sobie.

- I co dalej?

- Powiedział, e po zar czynach b dziemy si mogli cz ciej widywa . Sam na sam. Nic trudnego, bo przychodziłam codziennie do pałacu na lekcje francuskiego. Uczyłam jego młodsz siostr . Potem zjawiał si Andrew, odprowadzał mnie do domu i... - Zadr ała w jego obj ciach.

- Mów, Kresydo.

- Całował mnie. - Wzdrygn ła si na wspomnienie tamtych

pocałunków. - Niezbyt to lubiłam. Nazywał mnie małą głupią ciotką i obiecywał, że po prostu wiele się od niego nauczy. Wtedy zaczęłam wątpić, czy rzeczywiście chce się ze mną ożenić. Zaczęłam go unikać, bo mi się nie udało, a co z oczu, to z serca. Łudziłam się, że szybko o mnie zapomni.

- Czy mówił wprost o małżeństwie, o miłości?

- Tak.

- Co zaszło tamtej nocy na plebanii?

Nagle Kresyda zrobiła się słabo, lecz nie dała tego po sobie poznać. Drżała, ale nie z zimna.

- Powiedział, że matka odmówiła nam swego błogosławieństwa, więc na razie nie możemy się pobrać. Zamierzał jednak nadal ją przekonywać. Tłumaczył, że mnie pragnie, i że gdybym nosiła w łonie przyszłego dziedzica, matka zmieniłaby i przystała na to.

- Co? - Jack wyprostował się tak gwałtownie, że i Kresyda podskoczyła.

- Wściekłaś się. Zrozumiałam, że mnie oszukiwał, więc odmówiłam, a wtedy on... - zamilkła, niezdolna mówić dalej.

- Próbował cię zniewolić?

Nie umiała powiedzieć, co Jack czuje. Gniew, niesmak, pogarda? Ze wszystkich sił starała się powstrzymać napływające do oczu łzy. Obawiała się, że każda chwila będzie miała mokre policzki.

- Kiedy odmówiłam, nie uwierzył.

Te słowa wypowiedziane ze złości tym gardłem wzburzyły Jacka. Rozgniewał się, gdy wielbny Bramley przedstawił mu swoją wersję wydarzeń, ale wyznanie Kresydy doprowadziło go do furii. Andrew Fairbridge może się już uważyć za nieboszczyka. Jack milczał przez kilka chwil, próbując zapanować nad sobą. Oddychał głęboko i starał się nie zwracać uwagi na uroczyste zapachy

wody różanej, którym przesiąknięte były włosy Kresydy. Rozkoszna, subtelna, zwodnicza woń pieściła nozdrza i zachęcała, aby przytulił policzki do jedwabistych loków, na których topniały płatki niegu. Czule ucałował czubek kształtnej główki i usłyszał stłumiony szloch.

Zależało jej wtedy na tym nikczemniku. Ufała mu. Podeptał jej marzenia, zawiódł zaufanie, bo samolubnie postanowił pozbawić ją cnoty. Zapewne od początku do tego zmierzał.

- Kiedy papa ujrzał nas razem - podjęła opowieść Kresyda - i

dowiedział si , e lord Fairbridge przyrzekł mi mał e stwo, natychmiast pospieszył do pałacu. Chciał wymóc na Fairbridge'ach, eby Andrew spełnił obietnic . - Głos jej si załamał. - Błagałam, aby tam nie chodził, bo nie miałam ju ochoty wychodzi za m . W ogóle. Byłam zdegustowana tym, co zaszło, ale papa nie słuchał. Czasami bywa przesadnie rycerski i...

- Wiem, co było dalej - przerwał Jack, zdecydowany oszcz dzi jej bolesnych wspomnie . - Za ył laudanum, chc c u mierzy ból wywołany skurczami oł dka. Oszołomiony lekiem i mocno przygn biony schował do kieszeni tabakierk Fairbridge' a. Widział to lokaj. - Rozgniewany Jack zacisn ł z by. - Lady Fairbridge dała wielebnemu mo liwo wyboru: policyjne ledztwo i proces albo zaniechanie mał e skich roszcze .

Zapadła cisza. W zimnym powietrzu wirowały płatki niegu.

- Tak - odezwała si w ko cu Kresyda. Z jej tonu Jack wywnioskował, e to nie wszystko. Wielebny Bramley zapewne nie miał poj cia o tym wydarzeniu, a Kresyda wołałaby je wyrzuci z pami ci.

- Co jeszcze?

- Och, nic.

Jack zatrzymał Peryklesa, przeło ył wodze do drugiej r ki i łagodnym ruchem zmusił Kresyd do uniesienia głowy. Wiele by dał, eby powstrzyma dr enie palców, które muskały jedwabist skór . Musi wzi si w gar . Najch tniej dotkn łby wargami rozchylnych ust i całował j do utraty tchu.

- Co jeszcze? Powiedz mi, kochanie. - Czułe słówko wymkn ło mu si mimo woli.

- Prawda jest taka, e Andrew w ogóle si mn nie interesował - odparła cicho. - Pragn ł jedynie zepsu mi reputacj , eby łatwiej zmusi pap do rezygnacji z parafii.

- Co takiego?

Ze smutkiem pokiwała głow .

- Dwa dni pó niej, w niedziel po południu, raz jeszcze przyszedł, eby si ze mn zobaczy . Wszyscy okoliczni mieszka cy słyszeli ju sensacyjne opowie ci o niedawnych wydarzeniach. Wystarczyło, e wyszłam z domu, a zewsz d padały wyzwiska. O pój ciu do ko ciola nie było mowy. Dlatego list napisany do ciebie przez ojca nie dotarł na poczt . Sama nie mogłam go wysła , a papa zapomniał.

Jack, niepewny, co jeszcze usłyszysz, ze ci ni tym sercem czekał, a

Kresyda podejmie opowie .

- Tak? - rzucił zach cają co.

- Andrew oznajmił mi, e papa musi opu ci parafi , bo moje zachowanie i dokonana przez niego kradzie ... - Umilkła, tłumic szloch. - Wtedy poj łam, w czym rzecz. Jego młodszy brat niedawno przyj ł wi cenia. Potrzebowali dla niego parafii. Moja łatwowierno była im na r k .

Jack zrozumiał, czemu zawzi cie bronila ojca i gotowa była chroni go za wszelk cen . Słyszał w jej głosie pogard dla samej siebie.

- Kiedy oznajmił, e nadal pragnie uczyni mnie swoj kochank - ci gn ła - byłam tak w ciekła, e chwyciłam pogrzebacz i...

- Uderzyła go nim z całej siły? - doko czył Jack, gdy zawiesiła głos.

- Niezupełnie- odparła Kresyda. - Zamachn łam si , ale chwycił go, nim zadałam cios. elazo było jeszcze gor ce, bo chwil wcz e niej poprawiałam ogie w kominku. Andrew wrzasn ł i wybiegł, zostawiaj c mnie w spokoju.

Jack zachichotał.

- Wyobra am sobie. Zmykał jak niepyszny - powiedział z satysfakcj . Los okazał si sprawiedliwy i ogniem pokarał natr ta. W tpliwe jednak, eby zdesperowana Kresyda potrafiła to doceni .

Nagle przyszło mu do głowy ciekawe pytanie. Skoro tak zawzi cie opierała si Fairbridge'owi i nie chciała mu ulec, czemu wobec niego...

- Kiedy wczoraj prosiłem... dałem od ciebie... -zacz ł ostro nie. — Kresydo, mnie nie odmówiła . Najpierw pozwoliła , ebym uznał ci za złodziej k , a potem była gotowa... - Nie potrafił wypowiedzie tych słów. Sama my ł wprawiła go w zakłopotanie.

-Chodziło o pap , o jego spokojn staro . Tak si rozgniewała .

Nie mógł tego słucha .

-Przesta , Kresydo - burkn ł. - Nie przypominaj mi. Zachowałem si równie podle jak Fairbridge, ale przysi gam ci, e to były jedynie gro by. Nie było moim zamiarem wprowadzi je w czyn. Chciałem...

Zamilkł. To nie był wła ciwy czas i miejsce na tak rozmow . Kresyda potrzebowała teraz ciepłej strawy, wygrzanej po cieli i długiego snu, on za du o czasu na przemy lenie tych wszystkich spraw. Jedno było dla niego oczywiste: musi si ni opiekowa , czy ona tego chce, czy nie.

-Mniejsza z tym - powiedział cicho. - Najwa niejsze, e teraz jeste

bezpieczna. Po powrocie do domu trzeba opatrzyć kostki i zapakować je do łokci. Musisz się dobrze wyspać.

Kresyda w milczeniu kiwnęła głową, a to lekkie poruszenie było dla Jacka niczym najmilsza pieszczota.

Jechali w ciszy, którą przerywał jedynie tupot kopyt Peryklesa. Od czasu do czasu rwał się gniewnie, gdy płatki śniegu osiadały mu na chrapach. Jack mocniej objął Kresydę. Uspokoiła się wreszcie. Ciężka była mu coraz bardziej. Po regularnym oddechu poznał, że w końcu zasnął w jego ramionach.

Dopiero teraz zaczął dostrzegać w lesie niezliczone oznaki zapowiadające wiosnę. Na zacisznych polankach fiołki pokazały już fioletowe główki, a na wieżach spowitych niskim welonem jasnej zieleni mimo chłodu pojawiły się drobne kwiatki. Zima szykowałą się do odejścia, wiosna miała wkrótce zająć jej miejsce, a Kresyda znalazła się tam, gdzie powinna być: w jego ramionach. Przysięgł sobie, że gdy wróci do domu, natychmiast spali przekłamanie referencje napisane przez Meg. Jego przyszła żona nie będzie harowała u obcych ludzi jako guwernantka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie.

- Opamiataj się, Kresydo! Masz być moją żoną, nie kochanką. - Natychmiastowa i zdecydowana odmowa zirykowała Jacka.

Kresyda pozostała niewzruszona. Z dumnie uniesioną głową spoglądała mu prosto w oczy i powiedziała dobitnie:

- Nie wyjdę za ciebie.

Jackowi nie przyszło do głowy, że dostanie kosa. Musi przyjąć jego oświadczenie! Jak ma zadbać o jej szczęście i bezpieczeństwo, skoro nie chce za niego wyjść? Teraz, gdy poznał przyczynę niedawnej tułaczki Bramleyów, stało się dla niego oczywiste, że Fairbridge zepsuł jej reputację. Dobrze imi mogła odzyskać tylko dzięki odpowiedniemu małżeństwu. Hipokryzja wszystkich sfer sprawiała, że choć Kresyda obroniła cnotę, mimo wszystko przyłączyła się do niej opinia kobiety upadłej. Została zbrukana i tyle. Gdyby za niego wyszła, zamknęłyby usta plotkarzom, choć z wyjątkiem najbardziej zatwardziały. Tak czy inaczej nawet oni nie mieliby potępić ataki. Szeptaliby tylko po kątach, nie podnosząc głosu, zwłaszcza że mieliby z nim do czynienia.

Wytrcony z równowagi Jack przyglądał się kuzynce patrząc na niego bez emocji ponad blatem stołu. Sprawiała wrażenie niewyspanej, ale z zielonych oczu nie wycierał łez. Niewielka pociecha, skoro przysiadła niespokojnie na brzegu krzesła. Jej zdenerwowanie było niemal namacalne.

Jack przegarniał palcami ciemne włosy.

- Kresydo, chodzi mi jedynie o to, aby chronić ci przed skutkami tego incydentu. Czy nie widzisz...

- Dlaczego chcesz mnie chronić ?

- Dlaczego? Jak możesz pytać ? - Zdumienie na moment odebrało mu mowę. Po chwili odparł: - Moim zdaniem to oczywiste.

Długo milczała, a kiedy zmówiła, odniósł wrażenie, że starannie dobiera słowa.

- Nie sądzę, drogi panie.

Jack zacisnął dłoń w pięść. Drogi panie, dobre sobie. Znowu ten oficjalny ton. Posługiwała się nim, ilekroć chciała narzucić mu właściwy dystans. Ani myślała w jej lady. Jako kuzyni byli na ty. Koniec, kropka.

- Proszę wziąć pod uwagę, że dla mnie pański sposób myślenia jest wielką niewiadomą. Skąd pomyślała, że trzeba mnie chronić? Dlaczego mam obciążać tym brzemieniem dalekiego kuzyna?

Tylko spokojnie. Nie wszystko naraz. Jack wziął głęboki oddech.

- Kochanie, Fairbridge nie dopięła swego, ale twoja reputacja mocno ucierpiała. Dla wielu ludzi to dostateczny powód, aby ci wykluczyć z towarzystwa. Trudno zakładać, że ten łobuz obraca się wyłącznie w ród ziemian w Kornwalii. To pewne, że w wyższych sferach wszędzie będzie się o tobie plotkować. Jeśli zatrudnisz się jako guwernantka, przedej czy później wie ci dojdzie do twoich chlebodawców. To jedynie kwestia czasu.

Skruszony patrzył, jak Kresyda błędnie. Nie musiał jej tłumaczyć, jak to się skończy. Jeśli pani domu usłyszy ohydne plotki, Kresyda zostanie natychmiast odprawiona bez referencji. Jeśli natomiast pan domu dowie się o wszystkim, zapewne spróbuje szantażu. Wykorzysta przeciwko niej swoją wiedzę, aby uszczknąć coś dla siebie, nim rzuci ją na poarcie drapieżnikom z wyższych sfer.

- Rozumiem - odparła zdławionym głosem, zachowując pozory spokoju. - Ale skąd przekonanie, że ty musisz mnie chronić ?

Podchwytliwe pytanie.

-Zachowałem si wobec ciebie haniebnie. Obraziłem ci , dwukrotnie proponuj c, eby została moj kochank .

Zacisn ł usta. To nie jest odpowiednia chwila, eby tłumaczy , jak bardzo czuje si zakłopotany i bezradny wobec pot gi nami tno ci. Kresyda odnosi si zapewne nieufnie do m skich dz. A co si tyczy jego miło ci, nie potrafi przekonuj co mówi o uczuciach. Mimo to trzeba spróbować .

-Kresydo, nale ysz do rodziny. Nasi ojcowie si przyja nili. Mieszkasz w moim domu, gdzie nikt ci nie powinien uchybi . Honor wymaga, eby si o wiadczył. A poza tym trzeba ci wiedzie , e stała mi si bardzo bliska. Byliby my dobran par .

Nareszcie to powiedział. Na swój sposób.

Kresyda była zrozpaczona i przygn biona. Dla niego to kwestia honoru. Nic wi cej. Rycersko , honor, poczucie obowizku. Ka da rozsdna dziewczyna cieszyłaby si , gdyby jej m miał te cechy. Przyznał, e j lubi, ale trudno si ludzi , i odwzajemni uczucie. Nie miała wyboru. Za bardzo go kocha, eby przystać na takie po wi cenie.

Łzy napłyn ły jej do oczu, ale powstrzymała je i odparła bardzo oficjalnym tonem.

-Doskonale, sir. Uczynił pan zado wymogom honoru, ale ja te mam poczucie godno ci i dlatego odmawiam. Moja reputacja była zaszargana, nim si spotkali my. Nie ma pan z tym nic wspólnego, a zatem....

Przeklestwa, którymi wybuchn ł Jack, nie straciły swojej mocy, cho zostały wypowiedziane przyciszonym głosem. Kresyda otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Nie wierzyła własnym uszom. Jack spłn ł rumie cem.

- Wybacz, Kresydo, ale to jest choler... - zreflektował si natychmiast - potworny idiotyzm.

- Nieprawda.

- Kochanie.

-Do ! Nie wyjd za ciebie! Nie mog !

Nie wolno mi, dodała w my li.

Kresyda desperacko próbowała nad sob zapanować . Zacisn ła dłonie w pi ci, wbijaj c paznokcie w skór . Nie potrafiła si broni przed jego czuło ci . Kochała go tak e za serdeczno i rycersko , ale nad tymi cechami potrafiła przej do porz dku. Gdy przemawiał czule, stawała si bezbronna. Jeszcze moment, a z płaczem rzuci

mu się w ramiona i wyzna miłość. Wtedy będą na siebie skazani, bo Jack nie pozwoli jej odejść. Przecież czuje się za nią odpowiedzialny. Nie może pozwolić sobie na chwilę słabości ani schwytać go w pułapkę szlachetnych porywów.

- Nie nalegaj, Jack. Dla mnie to nie do zniesienia.

- Cholera jasna! - Co w nim pokłó, gdy błagała urywanym szeptem. Obszedł stół i łagodnie zmusił ją, aby wstała. Potrzebował jej pocałunku jak powietrza. Należała się jej pociecha, więc zamiast całować, przytulił ją łagodnie i policzkiem dotknął włosów. Jedną dłonią głaskał kasztanowe loki, a drugą machinalnie rozwiżywał podtrzymując jej włosy.

Zdał sobie sprawę, co czyni dopiero, gdy kaskada jedwabistych pukli spłynęła mu na dłoń. Stał jak zaczarowany. Powinien wypuścić Kresydę z objęcia i cofnąć się, zanim będzie za późno, nim znowu wszystko zepsuje.

Początkowo wyczuwał opór, który jednak szybko zelał. Kresyda wtuliła się w niego i rozplakała. Jack powiedział sobie w duchu, że zaraz się odsunie. Najszybciej jak potrafi. Ale tak mu było dobrze, kiedy ją obejmował. Sama słodyczy i ufności. Przytuliła się do niego i objął ją go w pasie. Jej piersi tuż przy jego torsie... Obiecał sobie, że tym razem wszystko będzie jak należy. Adnego po piechu, aby nie uznała, że ją popadza. Spokój i powściągliwość, przynajmniej do czasu, gdy poprosi jej ojca o zgodę na ich małżeństwo. Łudził się nadzieją, że wytrwa w tym postanowieniu do chwili, gdy wielbny Bramley zwiędnie i umrze. Na zawsze. Jack nie rzucał słów na wiatr, nie składał przysięg, których nie zamierzał dotrzymać. Teraz nie ma mowy o pocałunku. Trzeba dać jej czas, aby go lepiej poznała.

Gdy Kresyda poruszyła głowę, przesuwając nieco policzek, przez surdut do konnej jazdy, kamizelki i lnianych koszul poczuł mimowolnie pieśczęt. Walcząc ze sobą, Jack napiął mięśnie i odruchowo pogłaskał drągi policzek, delikatny, aksamitny. Zwrócenia dechu mu zaparło, gdy wyobraził sobie, że Kresyda ociera się nim o jego nagi tors. Palce drżały, kiedy głaskał kasztanowe włosy. Kciukiem dotknął cudownych ust, ciepłych i delikatnych. Bezmiar łagodności i słodyczy.

Jakiż mógłby oparłby się takiej pokusie? Ostro nie zachcił Kresyda, aby podniosła głowę. Po daniu rozgorzało w nim jeszcze silniej, gdy uwiadomił sobie, że wystarczy jej trochę o miłości, by zapragnęła nowych pieśczęt. Oboje mieli te same pragnienia.

Ogarni ta wstydem Kresyda powiedziała:

- Nie, nie. Pu mnie, prosz . - Nie wyrywała si , bo ufała mu i wiedziała, e sam si odsunie. Pragn ł jej, lecz honor nie pozwoli mu da od niej uległo ci.

Opu cił ramiona.

- Kresydo.

Odwróciła si do niego plecami.

Patrzył, jak odchodzi, jak prostuje ramiona i dumnie podnosi głow . Trzask zamykanych drzwi odbił si echem w jego sercu.

Postanowiła wyjecha . adne jego słowa ani uczynki nie wpłyn na jej decyzj .

Jak ma dalej bez niej y ?

Wzdrygn ł si na my l o samotnej przyszło ci. Nie potrafił sobie wyobrazi , e jej przy nim nie b dzie. Nie miał ochoty snu takich wizji. Zycie z dala od niej to n dzna wegetacja pozbawiona sensu i tre ci. Pustka.

Trzeba zatrzyma Kresyd . Dlaczego miałyby zosta ? Wszystko, co dot d mówił i czynił, było dowodem, e wyznaczył jej w tym domu po ledniejsze miejsce. Najwi kszym z popełnionych przez niego głupstw był pomysł, eby zaproponowa jej mał e stwo z rozs dku. Spó niona i niejasna deklaracja uczu nie zatarła złego wra enia. Kresyda miała wszelkie powody, eby okazywa mu niech .

Nie mógł jej zmusi do lubu, cho jedynie mał e stwo przywróciłoby jej dobr sław . Przyja Rutherfordów i jego opieka ułatwiłyby jej ycie, ale to pół rodki. Kresydzie potrzebny jest m . Jack zdziwił si , czuj c, e ogarnia go bezrozumna w ciekło . Gdy u wiadomił sobie, e ona mo e po lubi innego m czyzn , zerwał si na równe nogi i zacz ł chodzi z k ta w k t. To nie do pomy lenia.

Ale trzeba wzi pod uwag tak ewentualno . Skoro nie chce za mnie wyj , pomy lał niech tnie.

Zatrzymał si przy oknie wychodz cym na taras i przygl dał si ogołoconemu z li ci ogrodowi. Trudno uwierzy , e wkrótce znów okryje si zieleni i kwieciami. Jack zadał sobie pytanie, jak mógł by takim głupcem i teoretyzowa bez sensu na temat wzorowej ony, skoro idealna kandydatka sama wpadła mu w r ce.

Zacisn ł pi ci. Dobry Bo e! Okazał si wyj tkowym głupcem, ale nie przypuszczał, e miło to takie trudne yciowe do wiadczenie. Po raz pierwszy uczucie do kobiety powaliło go na kolana. Nie

przypuszczał, i całkiem zbije go z tropu. Zawsze mu się wydawało, że miło przyjdzie jako doznanie łagodne, ciepłe i przyjazne. Zakładał, rzecz jasna, że będzie pragnęła swojej, ale nie spodziewał się wszechogarniającego pościgu, które domaga się, by za wszelką cenę posiadł ukochaną.

Wykluczone! Z miejsca odrzucił takie podejście do sprawy. Nie będzie sobie folgować za cenę szczycia i spokoju Kresydy. Oto kolejna włączyła prawdziwej miłości, która mocno go zadziwiła: potrzeby i pragnienia ukochanej przedkładał nad własne. Dałby sobie uciśnienie, byle oszczędzić jej cierpienia. Gotów był nawet oddać życie. Właśnie. Co z jego życia? Czy będzie coś warte bez Kresydy?

Skoro wzdraga się na myśl o nich, trzeba ją zostawić w spokoju. Ważniejsze było dla niego, aby ją chronić, niż posiadać. Takie winny być jego preferencje, choć wszystko się w nim buntowało, gdy mu wiadoma była, że Kresyda może należeć do innego mężczyzny.

Z rozpaczliwą determinacją nakazał sobie rzeczowo i obiektywnie rozważyć praktyczne aspekty tej sprawy. Skoro Kresyda ma wyjść za niego, powinna znaleźć godnego siebie mężczyznę. Kiedy rozmyślał o tym, poza sobą nie znalazł w Leicestershire odpowiedniego kandydata. Rzecz jasna, nie brakowało tutaj młodych mężczyzn, ale w głowie były im teraz polowania, nie zaś szukanie żony, chociaż sezon myśliwski dobiegał już końca.

Trzeba zabrać Kresydę do Londynu, wprowadzić do eleganckiego towarzystwa. Jako jego kuzynka i znajoma

Rutherfordów zostanie tam uciążliwie przyjąta. Fairbridge'owie zapewne zjadą do stolicy. Wicehrabia postąpi roztropnie, jeżeli będzie trzymał język za zębami. Jack niech go nie uważa, że lepiej nie wyzywa go od razu na pojedynek, choć powinien odcierpieć swoje postępowanie. Zaczęłyby się plotki, a to umniejszałoby małżeńskie szanse Kresydy.

Pojawiła się kolejna trudność, a mianowicie pieniądze. Trzeba sporo wydać na ubrania, w których Kresyda będzie mogła pokazać się na przyjęciach. Przede wszystkim musi mieć posag. Mało kto spośród godnych jej ręki kawalerów byłby gotów oświadczyci się dziewczynie, która nie ma ani pensa. Nawet ci bogatsi wolą zamężne panny. Bez posagu ani rusz.

Trzeba się o niego postarać. Potrzebna jest okrągła sumka, ale nie tak duża, by chcieli po nią sięgnąć łowcy posagu. Dla Jacka taki wydatek byłby niewielkim uszczerbkiem w rocznych dochodach. Miał tyle

pieniędzy, a sam nie wiedział, na co je wydawać. Problem w tym, że Kresyda nie przyjmie takiego подарunku. Jedyne człowiek, który może jej coś ofiarować, to ojciec. Trzeba jej sprytnie podejść.

Współczuj, czy głos wyrwał go z zamyślenia.

— Domyślam się, że twoje oświadczyny nie zostały dobrze przyjęte.

Odwrócił się, niechła mu i stanął twarzą w twarz z Markiem.

- Słuszna uwaga. Skąd wiesz?

- O czym? Chciała oświadczysz się Kresydzie czy dała ci kosza?

- Jedno i drugie - odparł Jack. Wczoraj wieczorem przy butelce brandy zrelacjonował mu sytuację.

- Kto ci dobrze zna, wie, czego w tych okolicznościach może na siebie spodziewać. - Marc wzruszył ramionami. - Niewiedziom było natomiast, czy ona cię przyjmie. - Podeszedł do bocznego stolika i nalał brandy do dwóch szklaneczek.

- Trochę na to za wcześnie burknął opryskliwie Jack, wiadomo, że zachowuje się niewłaściwie.

U mieczni ty Marc pokręcił głową.

- Moim skromnym zdaniem powiniene napić się przed oświadczynami. - Podeszedł do Jacka i podał mu kryształową szklaneczkę.

- Tak zrobiłem. - Jack podziękował skinieniem głowy. - Skąd wiesz, że odmówiła?

Po chwili wahania Marc powiedział:

- Rzadko się zdarza, aby dziewczyna płakała rzewnie po przyjęciu oświadczyn jednego z bogatszych mężczyzn w kraju, nawet jeśli to zwykły ziemianin bez tytułu. Słyszałem, że rano prosiła się o spotkanie sam na sam, więc łatwo się było domyślić reszty.

- Płakała - powtórzył z przejęciem Jack. Marc kiwnął głową.

- Mogę ci jakoś pomóc, stary? - zapytał, się czy o brandy. Jack upił spory łyk i poczuł, jak alkohol go rozgrzewa.

Przyjemne ciepło dodało mu otuchy, podobnie jak obecność przyjaciela.

- Muszę cię wydać za młody.

Zdumiony Marc zakrztusił się brandy, a Jack usłu nie poklepał go po plecach.

- Proszę? - wyjął Marc.

- Przecież słyszałaś. - Jack nie miał ochoty dwa razy tego

powtarza . Sama wiadomo , e musi dyskretnie wyswata Kresyd , doprowadzala go do rozpaczy. Gdy mowil o tym glo no, sprawa nabierala realno ci, jakby naprawd miało doj do jej lubu z obcym m czyzn .

- Owszem, słyszałem - przyznał Mark - ale nic z tego nie rozumiem.

- Moim zdaniem nie ma tu nic do rozumienia. Sprawa jest oczywista - burkn ł Jack, trac c cierpliwio , a potem dodal: - Przepraszam, nie zwracaj na mnie uwagi. Wszystko okropnie si skomplikowało.

- Tak to bywa z miło ci , ale jedno ci powiem. Na pewno nie poczujesz si lepiej, gdy zobaczysz, jak inny m czyzna prowadzi j do ołtarza.

Jack był tego samego zdania, lecz to niewiele zmieniało. Kresyda nie zamierzała wzi pod uwag jego mał e skiej propozycji. Stanowczo odrzuciła o wiadczyny. Nie mógł jej zmusi do lubu. Dała mu do zrozumienia, e takie mał e stwo byłoby dla niej tortur . Nie miał wyboru. Trzeba zacisn z by i cierpie w milczeniu. Skoro nie mo e sam jej posi i strzec, musi znale godnego zast pc i udawa , e si tym nie przejmuje.

Najpierw trzeba jednak zadba o jej posag.

Przedstawil Marcowi swój pomysł i omówil z nim wszystkie szczegóły. Dopiero gdy si po egnali, niespodziewanie przypomniał sobie uwag przyjaciela: „Tak to bywa z miło ci ”. Ani ladu zdziwienia czy zaskoczenia. Spokojna, rzeczowa konstatacja. Nie przypominal sobie, by wspominal Marcowi, e jest zakochany w Kresydzie.

Przyjaciel wszystkiego si domy lił. Spostrzegawczo Marca wynikała z osobistego do wiadczenia oraz ich długoletniej znajomo ci. Jack zastanawial si nad rad , któr uslyszal pod koniec dzisiejszej rozmowy. „Moim zdaniem, stary, nie musisz si tak po wi ca . Daj Kresydzie mo liwo poznania innych kawalerów, ale sam te ruszaj w konkury. Niech zobaczy, e starasz si o ni z własnej woli, a nie z obowi zku. Daj słowo, ka da dziewczyna czułaby si ura ona, gdyby m czyzna o wiadczyl si jej tylko dlatego, e tak mu nakazuje honor”.

Gdy Jack rozwa yl jeszcze raz te słowa, za witala mu nadzieja.

- Dobry Bo e! - wbrew swym obyczajom krzykn ł wielebny Bramley, gdy jedli niadanie.

Znu ona Kresyda, niespodziewanie wyrwana z zamy lenia, a podskoczyła, słysz c podniesiony głos ojca. Od dwóch tygodni le

sypiała. Była przygnębiona. Nie poprawiła jej humoru nawet wiadomość, że papa jest bezpieczny, a Jack wyrozumiale odnosi się do jego drobnych dziwactw i gotów jest od czasu do czasu prosić o przetrwanie cię pokoju w poszukiwaniu zaginionych drobiazgów.

- Jak to może być? - Wielebny Bramley trzymał w ręku list, co samo w sobie było osobliwością, ponieważ z nikim ostatnio nie korespondował.

- Kto do ciebie napisał, papo? - zapytała Kresyda, sięgając po babeczkę. Znajomych mieli niewielu, głównie w Kornwalii, ale nikt nie miał ich obecnego adresu.

- Kancelaria adwokacka Chadwick&Simms. - Popatrzył na Jacka. - Pan Simms twierdzi, że jest twoim plenipotentem. -

Kresyda zerknęła na kuzyna siedzącego po drugiej stronie stołu. Sprawy wrażeń nie lekko znużonego.

- To prawda. Rzeczywiście korzystam z jego usług. Niedawno wspomniałem mu w liście, że pan tu mieszka.

- To by wyjaśniało, jak mnie znalazł, lecz mimo to rzecz jest osobliwa.

- O co chodzi, papo? - spytała Kresyda.

- Chodzi o ten list. Nie miałem pojęcia, że Morwell nie żyje. To przygnębiające. Wszyscy się starzejemy, ale on...

- Jaki Morwell, papo?

- Chodzi zapewne o Thurstona Morwella, naszego dalekiego kuzyna. Zmarł w ubiegłym roku - wtrącił Jack i zwrócił się do duchownego. - Mój ojciec często wspominał podróż po Europie, którą trzej odbyli cię w młodości.

Wielebny kiwnął głową.

- Byli my ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni, ale tego się po nim nie spodziewałem. Bo jest miłosierny, nie mam pojęcia, co zrobi z tak wielką sumą. Tyle pieniędzy?

- Pieniądze? - powtórzyła Kresyda, omal nie upuściwszy babeczeki.

- Wygląda na to, że zostawił mi dziesięć tysięcy funtów. - Bramley pomachał listem, który trzymał w dłoni. — Córeczko, pomóż tylko, ile dobrego mogą zdziałać, posiadając taki majątek. Tyłu jest biedaków zasługujących na lepszy los. Teraz bądź w stanie im pomóc.

Dlaczego papa ani przez moment nie myśli o własnym bezpieczeństwie i dostatku? - pomysł Kresydy. Może uda jej się namówić go, aby dobrze zainwestował te pieniądze i wspierał ubogich

cz ci dochodu z procentów.

- Papo, nie s dzisz.

- Tak! Trzeba mi si zaraz rozmówi z miejscowym proboszczem. Od niego dowiem si , jak najlepiej wykorzysta ten deszcz złota - ci gn ł rado nie Bramley.

- Papo...

- Z całym nale nym szacunkiem chciałbym doradzi panu inny sposób wykorzystania tych pieni dzy - wpadł jej w słowo Jack. - Prosz si zastanowi , czy nie potrzebuje ich raczej kto z pana bliskich.

- Naprawd ?

Babeczka wysun ła si z palców Kresydy i wyl dowła na podłodze obok stopy hrabiego. O co chodzi Jackowi? Czemu podjudza pap , zamiast przemówi mu do rozs dku? Doskonale wiedział, e s ubodzy. Gdzie si podziej , je li ten wariat podczas kolejnego polowania skr ci kark?

Hrabia Rutherford wła nie podawał jej kolejn babeczk , gdy Jack doko czył my l.

- Skoro pan uznał, e nie potrzebuje dla siebie tych pieni dzy, prosz je scedowa na Kresyd . Nie b dzie musiała zarabia jako guwernantka. Rutherfordowie i ja chcemy j zabra do Londynu i wprowadzi do wytwornego towarzystwa. Je li b dzie miała spory posag, bez trudu znajdzie m a.

Pokój niebezpiecznie zawirował jej przed oczyma. Kolejna babeczka kruszyła si w dr cych palcach. Kresyda z trudem chwytła powietrze. Co on wygaduje? Rozum mu odj ło? Londy skie towarzystwo? Fairbridge'om b dzie nie w smak, e ich ofiara bryluje w salonach, wi c zniszcz j bez pardonu. Nie ma mowy, eby wzi ła te pieni dze. Papa ich potrzebuje.

-Naturalnie! - Wielebny Bramley z entuzjazmem odniósł si do propozycji Jacka. - e te wcze niej na to nie wpadłem! Znakomity pomysł! A wi c postanowione. -U miechn ł si szeroko do Kresydy. - Mam nadziej , córeczko, e b dziesz szcz liwa. - Zwrócił si znowu do Jacka. - B d łaskaw przeka za panu Simmsowi odpowiednie instrukcje. Mo esz to dla mnie zrobi ? B dziesz wiedział co i jak.

Hrabia Rutherford podał Kresydzie nast pn babeczk . Wzi ła gł boki oddech, staraj c si uspokoi . Na wszelki wypadek odgryzła spory kawałek. Z pełnymi ustami raczej nie zacznie kl , a miała wielk ochot pou ywa sobie na tych dwu hultajach. Chocia dla papy szkoda

słów, bo i tak się nie przejmie. Jackowi postanowiła wygarnąć, co o nim myśli, gdy spotka się z nim sam na sam.

Zdyszała go po południu w gabinecie. Przez cały rano naradzała się z zarządcą, ale teraz był sam.

- Proszę.

Usłyszała niski, głąboki głos. Podniosła dumnie głowę i weszła do gabinetu. Zamierzała krótko przedstawić, o czym myślała przez ostatnie trzy godziny. Wystarczy, żeby jej wysłuchał. Nic trudnego.

Jack uśmiechnął się na jej widok, a proste zadanie natychmiast się skomplikowało. Kresyda nie mogła się skupić, kiedy patrzył na nią w ten sposób. Mimo to wzięła się w garść i nie odwróciła wzroku.

- Pieniądze potrzebne są papie, nie mnie. - Ratunku! Przygotowała sobie dłuższą mowę, ale jasne, okrągłe zdania wyleciały jej z pamięci. Nie mogła się skupić, gdy czuła na sobie badawcze spojrzenie szarych oczu, wokół których przy uśmiechu rysowały się nagle zmarszczki.

- Jak zwykle jesteś wyjątkowo bezpořednia, Kresydo - zauważył.

Zarumieniła się.

- Chciałam tylko powiedzieć

- że martwisz się o swego ojca. Nie wiesz, co z nim będzie, jeśli odda cały swój spadek. Poza tym chcesz mi oznajmić, że nie zamierzasz wychodzić za małżonka do Londynu, bo tam z pewnořcią natkniesz się na Fairbridge'a i jego matkę. Czy o czymś zapomniałem?

Kresyda nie była w stanie wykrztusić słowa, więc tylko kiwnęła głową. Wymienił niemal wszystkie jej obiekcje. Zabrakło tylko jednej. Musiała się zdecydować, czy ulegnie pokusie wyznania mu, jak bardzo cierpi, bo odrzuciła jego oświadczyny. Musiała tak uczynić, ponieważ jej nie kocha. Zdeklarował się, ponieważ tak mu nakazywały zasady honoru i rycerskości, a także wiązki rodzinne.

- Łatwo mogą rozwiać twoje wątpliwości - powiedział przyciszonym głosem. - U mnie twój ojciec jest najzupełniej bezpieczny. Nawet gdybym zmarł, nie zabraknie mi pieniędzy na zaspokojenie wszelkich potrzeb. Zmieniłem testament. Do końca życia będzie otrzymywał pensję i na zawsze pozostanie w tym domu jako oficjalny rezydent.

- Wydała dyspozycje? - spytała zdziwiona. Jack potwierdził skinieniem głowy.

- Dlatego Simms wiedział, gdzie szuka wielbego. Przekazałem mu listownie swoje uwagi, a prawnicze dokumenty przysłał odwrotnie

poczt . Wszystkie zostały ju podpisane i przekazane do Londynu.

- Rozumiem. - Zabezpieczył jej ojca na przyszłość . Wspaniały m czyzna: oddany, yczliwy, lojalny. Ka da dziewczyna marzy o takim m u. - Dzi kuj ci, ale do Londynu nie pojed . I za m te nie wyjd .
- Nie byłaby w stanie po lubi innego m czyzny, nawet gdyby kto si jej o wiadczył, w co w tpiła.

Natychmiast wyprowadził j z bł du.

- Masz dziesi tysi cy funtów, wi c jeste dobr parti , cho by w przeszło ci bł dziła. Z punktu widzenia łowcy posagu dziesi tysi cy to nie jest łakomy k sek, ale mo esz liczyc na wielu kandydatów.

Wzdrygn ła si , kiedy o tym wspomniał. Mał e stwo było teraz dla niej nie do pomy lenia. Kocha Jacka, wi c nie mogła odda si innemu m czy nie.

- Nawet je li teraz my l o mał e stwie jest ci wstr tna po tym, co si wydarzyło, te pieni dze zapewni ci niezale no . Jako guwernantka zawsze byłaby nara ona na wiele nieprzyjemno ci - tłumaczył.

Dostrzegła luk w jego argumentacji i postanowiła to wykorzysta .

- Doskonale. A zatem nie ma potrzeby, ebym jechała do Londynu. Zrozum, moja reputacja...

- Zapewniam ci , Kresydo, e je li Fairbridge albo kto inny o mieli si plotkowa na twój temat, bez trudu zamkn mu usta. Na wieki wieków.

Kresyda oniemiała. Jack postanowił wyzwa Fairbridge'a na pojedynek. Czy wiedział, e tamten łotr jest znakomitym strzelcem?

- Jack, nie wolno ci. - Mow jej odj łó, gdy wyobraziła sobie miertelnego rannego Jacka. Oszołomiona zacisn ła palce na blacie biurka i napotkała bezlitosne spojrzenie szarych oczu.

- Nie troszcz si o niego tak bardzo - poradził Jack. - On nie miał lito ci dla ciebie i twojego ojca.

Czy by s dził, e l ka si o Fairbridge'a?

- Błagam, Jack, nie chc , eby wyzwał go na pojedynek. - Głos jej si załamał. Była zrozpaczona, bo pos dzał j o sympati do tamtego drania. Gdyby jednak wyznała, o kogo naprawd si boi, w chwil pó niej zapewne wyznałaby Jackowi, e go kocha. To nieuniknione.

- Uniemo liwisz mi to, jad c do Londynu - tłumaczył łagodnie. - Nie zamierzam wzbudza plotek. To ostatnia rzecz, na której mi zale y. Gdybym wyzwał tego... - umilkł i odetchn ł gł boko. - Zamierzam wyzwa Fairbridge'a, je li b dzie ci oczernia , ale to ostateczno .

My 1 , e tego nie zrobi. Nie odwa y si . Postaram si u wiadomi mu, jak wiele ryzykuje.

- Ale...

- Nie mo esz tu zosta , Kresydo - przerwał zdławionym głosem.

Gdy poj ła, co chce przez to powiedzie , zrobiło jej si przykro. Musi st d odej . Zdała sobie spraw , e takie jest jego yczenie.

- Rozumiem - odparła z udawan oboj tno ci . -A wi c zgoda. Kiedy mam wyjecha ?

Zwykle słowa zabrzmiały z bezwzgl dn wyrazisto ci .

- Meg i Marc sp dz tu jeszcze kilka dni, a potem wracaj do domu - odparł równie chłodno. - Zaproponowali, eby si do nich przył czyła. Za dwa tygodnie w Londynie zaczyna si sezon. Pojedziecie tam razem. Marc obiecał ci t wypraw jako prezent na urodziny.

A wi c powinna jecha najszybciej, jak to mo liwe. Przeszył j ból. Jack naprawd miał jej do , skoro nie mógł wytrzyma z ni nawet dwóch tygodni.

Machinalnie zacisn ła palce na blacie biurka i niewidz cym wzrokiem spogl dała na regał za jego plecami, wypełniony starymi ksi gami rachunkowymi. Ogie wesóło trzaskał w kominku, daj c ciepło, które jej nie rozgrzewało. Czula w sercu chłód.

- Id do sypialni, Kresydo. - Zmieniony głos Jacka wyrwał j z otchłani złych my li. - Ka ci przysła posiłek na gór .

- Dzi kuj - odparła beznamienne. Nie b dzie płaka . Nie mo e sobie na to pozwoli .

Jack odprowadził j wzrokiem, gdy szła ku drzwiom. Walczył z pokus , eby zerwa si na równe nogi, pobiec za ni , pochwyci w ramiona i całowa , a zaniecha oporu. Sprawiała wra enie znu onej i zzi bni tej, jakby uchodziły z niej siły yciowe. Jednak ani drgn ł. Bardziej od niechcianych umizgów potrzeba jej było ognia w kominku i smacznego posiłku w ciepłej sypialni.

Bogu dzi ki, e zgodziła si pojecha do Londynu. Wystarczyło pi minut sp dzonych w jednym pomieszczeniu, eby zapagn ł porwa j w obj cia i kocha do utraty tchu. Dobrze si stało, e usiadł za biurkiem, bo inaczej natychmiast poznałaby, na co mu przysła ochota.

Przez ostatnie dwa tygodnie próbował da jej do zrozumienia, e stała mu si bardzo bliska. Trudne zadanie, poniewa od kilkunastu dni starała si go unika . Podczas nielicznych spotka zachowywała si

pow ci gliwie. Je li to było mo liwe, jak najszybciej wychodziła z pokoju. Kiedy dotykał jej umy lnie albo przypadkiem, wyczuwał nerwowe napi cie.

Nie ma sensu katowa si wspomnieniem słodczy ust, ciepła gładkiej skóry i rozkosznych kształtów, idealnie dopasowanych do jego ciała. By mo e dawniej miała dla niego odrobin uczucia. Zapewne istniały szanse, e b dzie znaczył dla niej tyle, co ona dla niego. Niestety, zaprzepa cił je tamtej nocy, kiedy oskar ył j o kradzie i nalegał, eby została jego kochank .

Z ponur min wrócił do gospodarskich rachunków. Zawsze bardzo lubił t robot , ale teraz zamiast liczy , my lał o tym, jak przyjemnie byłoby wprowadza Kresyd w tajniki ziemia skiej buchalterii. Z rado ci obserwowalby, jak si rozpromienia, chwytaj c w lot wszelkie zawilo ci. Uradowany słuchałby jej miechu i odpowiadał na docieklive pytania. Wspólna praca, wspólne ycie. Do tej pory chciał mie on gotow dzieli jego ycie takim, jakie było: cich , potu ln istot , któr mógłby si opiekowa . Niebiosa, nie bacz c na te mrzonki, zesłały mu dziewczyn , jakiej naprawd potrzebował, a on jak ostatni głupiec nie wiadomie zrezygnował z niej, zanim poj ł bezmiar swego szcz cia.

Kresyda wyszła do ogrodu i z daleka popatrzyła na dwór. U miechaj c si przez lzy, spogl dała na przyjazn fasad wyło on óltawym piaskowcem. To mógł by jej dom. Nadal istniała taka mo liwo . Wystarczyło pój do Jacka i powiedzie , e gotowa jest przyj jego o wiadczyny. Kiedy j prosił, by została jego on , nie miała jeszcze w r ku atutów stanowi cych zach t dla wi kszo ci kawalerów. Ani posagu, ani rodzinnych koneksji. O wiadczył si , eby sprosta wymogom honoru. Kaprys losu uczynił z niej dobr parti , a Jack natychmiast rozpocz ł niezbdne przygotowania do jej wyjazdu.

Postanowiła jednak wybra si do Londynu i jak najlepiej wykorzysta ten pobyt. Rzecz jasna o szukaniu m a nie ma mowy. Zdecydowała, e gdy sezon dobiegnie ko ca, znajdzie przytulny dom na wsi, gdzie papa b dzie mógł odwiedza j od czasu do czasu. Wystarczy jej pieni dzy na w miar dostatnie ycie. Miała nadziej , e osi dzie niedaleko rodowej siedziby hrabiego Rutherforda. Miałaby wówczas w s siedztwie serdeczn przyjaciółk .

Powodziło jej si teraz o wiele lepiej ni po nagłym wyje dzie z Kornwalii. Papa otrzymał stał posad , gwarantuj c dostatek i

powaga, a ona zyskała niezależność i przynajmniej jedną bliską duszę. W takim razie dlaczego łzy napływają jej do oczu? Wyjła z rękawa chusteczkę i głębiej wytarła nos. Nie może dać po sobie poznać, jak jest jej smutno z powodu wyjazdu. Miała nadzieję, że czasem ból zelżeje. Czy na pewno? Opadły jej włosy w twój ci. Westchnęła głębiej. Mniejsza z tym. Trzeba zachowywać się tak, jakby wszystko jej przeboleła, i stawia czoło nowemu życiu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Nie sądzisz, że ta sukienka jest przesadnie wyzywająca? - Kresyda popatrzyła na swoje odbicie w lustrach salonu. Czy szlachetna panna odziana w jedwabie to naprawdę ona? Wyglądała elegancko i jakby wyładniała. Lecz niecała tkanina cudownie harmonizowała z zielenią oczu. Dekolt był jednak stanowczo zbyt głębi.

- Moim zdaniem za wiele pokazujesz - upierała się Kresyda.

Lady Diana Carlton, szwagierka Meg, zachichotała, a sama Meg obrzuciła podopieczną badawczym wzrokiem.

- Zadam ci pytanie. Gdyby inna kobieta, na przykład ja, wybrała taki fason, uznałaby go za nazbyt miały?

Zaskoczona Kresyda mimo wszystko podjęła wyzwanie, rozważając je wszelkie za i przeciw. Zlustrowała uważnie jej licznik, choć mocno wydekoltowaną suknię. Wczoraj wieczorem Meg nosiła równie odważną kreację. Spojrzenia hrabiego Rutherforda stanowiły widomy dowód, że ten fason bardzo mu się podoba.

- I cóż?

Kresyda uśmiechnęła się mimo woli.

- Nie, w żadnym wypadku, ale ty jesteś hrabiną.

- Rzecz jasna - przerwała Meg - nie radziłabym siedemnastoletniej debutantce paradować w takiej sukni, ale ty skończyłaś dwadzieścia jeden lat, jesteś posażną panną, na dodatek kuzynką Jacka Hamiltona, więc może sobie pozwolić na większą swobodę. Diana jest tego samego zdania - zwróciła się do szwagierki - prawda, kochanie?

Lady Diana kiwnęła głową,

- Efekt jest znakomity. Moim zdaniem tylko jedna osoba może mi zastrzeżenie do głębi dekoltu.

- *Rewissement, mademoiselle!* - wtręciła swoje trzy grosze krawcowa. - *Les gentilhommes* b d ... Jak to się u was mówi?

- Zafascynowani? - podpowiedziała Meg.

- *Exactement!* - ucieszyła się krawcowa. - Powiedziałam szczerą prawdę. Trzeba wierzyć, bo mój salon nie by prosperował, gdybym nie potrafiła dobrze ubrać klientki. A teraz obejrzyjmy pelis.

Kresyda zaniechała oporu. Skoro lady Diana Carlton oraz właścicielka renomowanego salonu mody uznały, że suknia nie jest zbyt miła, czy mogła się nadal sprzeciwić? Je li te panie uważają, że nikt nie poczuje się dotknięty jej strojem, tak będzie i koniec, kropka. Z jednym wyjątkiem. Jaka tajemnicza osoba wspomniana przez lady Dianę może być zbulwersowana. Trudno. Ten wyjątek naprawdę nie jest wart uwagi.

Jack z kwadransu minutowi toszka obserwował tańczące pary. Jak mógł wcześniej nie spostrzec, że panie coraz lepiej odsłaniają swoje wdziaki. Bezwstydnice! Wcale by się nie zdziwił, gdyby wszystkie zapadły na galopujące suchoty. Zło cił się na myśl o sukni, w jakiej Kresyda paradowała podczas dzisiejszego balu w salach readowych, gdzie mógł się na nią gapić każdy osławiony londyński hulaka.

Co też strzeliło Meg do głowy, że wybrała taki fason? Przyzwoitka ma podobno rzucić przynętę i wystawić na pokaz atuty podopiecznej, lecz we wszystkim potrzebny jest umiar. Dopasowany karczek odsłania pół biustu, a la-mówka niemal muska sutki! Szczerze mówić, sam chętnie by jej obsypał pocałunkami. Zaciśnięty powieki i spojrzał ponuro na Kresydę. Na szczęście nikt nie zarezerwował u niej walca. Gdyby musiał patrzeć, jak wiruje na parkiecie w ramionach któregoś z lubieżnych bawidamków, tak bardzo by się śmiał, czy nie spadnie z niej suknia, że chyba wylądowałby w przytułku dla obłąkanych.

Muzyka ucichła. Jack zachłannie przyglądał się Kresydzie, schodzącej właśnie z parkietu. Prowadził ją lord Parbury, którego do tej pory uważał za przyjaciela, lecz teraz gotów był zmienić zdanie, widząc, jak flirtuje z Kresydą. No proszę! A ta znowu się śmieje. Chichocze. Ciekawe, co ją tak rozbawiło, skoro Parbury jest wyzuty z poczucia humoru.

Jednak dobrze się stało, że wróciła jej radość życia. W czasie podróży z Wyckeham Manor Meg udało się ją rozruszać. Zatrośkaną melancholiczką zastąpiła wygadana panna, dowcipna i bystra. Kokietowała wszystkich kawalerów z wyższych sfer... oprócz Jacka Hamiltona, którego demonstracyjnie ignorowała.

Przeraony Jack spostrzegł lady Stanhope dryfując w jego stronę z nieodłęczną Alison. Lito ci! Groził mu taniec z tępokropnymi dziewczuchami! Ogarnięty panik rzucił się do ucieczki i z irytacją stwierdził, że zmierza w stronę Kresydy i jej partnera, którzy wracali do hrabiny Rutherford.

- Dziękuję, Parbury. Gdzie indziej zastawiają teraz sidła. Zwierzyny nie brakuje - burknął Jack, daremnie siląc się na uprzejmość.

Parbury uśmiechnął się wyrozumiale, dolewając oliwy do ognia.

- Panna Bramley jest najbardziej czarująca ze wszystkich obecnych tu pań. Gratuluję. Ładniutka ta twoja wybranka.

- To nie jest moja wybranka!

- Nie jestem jego wybranką!

Lord Parbury stłumił miech i omal się nie zakrztusił. Jack chłynie dokończył dzieła, zaciskając palce na jego szyi, lecz przypomniał sobie, że kto wstępuje w małżeńskie szranki, ma obowiązek przestrzegać tej zasady, i konkurentów się nie morduje.

- Jasne, stary — odparł Parbury pojednawczym tonem - ale zachowujesz się, jakby miał na nią oko. Brała lekcje u Rutherforda? Zauważyłem, że wielki z niego zazdrośnik. Sztuk pilnowania on opanował do perfekcji. Panno Bramley, pozwól sobie zostawić pani pod opiekę kuzyna. Jestem pewien, że z nim wróci pani bezpiecznie do hrabiny Rutherford. Czy wolno mi już teraz zaprosić panią na przejażdżkę po parku?

- Bardzo zachwycona, milordzie - odparła Kresyda z entuzjazmem, który Jackowi wydał się całkiem nie na miejscu.

- W takim razie zjawi się niezawodnie — zapewnił Parbury, pochylając się z galanterią i całując jej dłoń. - Zawsze do usług, mademoiselle. Bywaj, Jack.

Odszedł, a gniew Jacka zelżał nieco, lecz rozgorzał na nowo, gdy Kresyda spytała z rezygnacją:

- Co masz przeciwko niemu?

- To hulaka i rozpustnik! - odparł i pociągnął za sobą. Trzeba iść, bo inaczej lady Stanhope zdybie go i zacznie na nowo swoją kampanię.

- Proszę? On te? Meg zapewniła mnie, że to twój przyjaciel! - Kresyda rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Nie masz znajomych godnych szacunku?

Jack uznał, że zamiast wszystkich potępiać, lepiej będzie wyliczyć z nazwiska kilku statecznych kawalerów, z którymi Kresyda mogłaby zatańczyć. Wewnętrzny głos, obojętny i denerwujący co przenikliwy,

podpowiadał, że jest tylko jeden powód, dla którego natychmiast wykluczył wszystkich nie onaty mi dzy dwudziestk a sze dziesi tk .

Był roztargniony i nieobecny duchem. Zdał sobie sprawę, że to może być dla niego niebezpieczne, dopiero wtedy, gdy poczuł na karku gorący oddech i usłyszał znajomy głos:

- Nareszcie! Ledwie za panem nadjechałam! Wiem, jak ceni pan sobie spotkania z moją kochanką Alison, więc nie dałam za wygraną! - zawołała tryumfalnie lady Stanhope, dopadając upatrzony ofiar. Alison deptała jej po piętach.

- Ach, jest i panna Bramley. Cóż za niezwykle zbieg okoliczności! Właśnie odbyłam z moją kuzynką niezwykle ciekawą pogawiedkę na pani temat. - Lady Stanhope zamilkła na

moment i spojrzała z góry na Kresydę. - Moja kuzynka mieszka w Kornwalii. To lady Fairbridge. Sporo o pani wie. - W jej oczach pojawił się złowieszczy błysk.

Jack szykował się do pierwszego starcia. Zarozumiałe babsko!

- Tak, milady. Wielebny Bramley wspominał tych państwa, mówił o znajomych z Kornwalii. Proszę łaskawie przekazać jej lordowskiej moją wiadomość i nosz się z zamiarem szczegółowego zbadania postępków młodego Fairbridge'a.

Lady Stanhope pojechała, a w ogniu walki może dostać rykoszetem, więc natychmiast podała tyły.

- Jack, proszę. - Poczuję Kresydę mocno chwyta go za rękaw. - Moją córkę wróci do domu? Ona wie. Na pewno o mnie rozmawiały. Wiedziały, że tak będzie. Błagam, pozwól mi się dowiedzieć.

- Kresydo - zacznij, spójrzaj na jej pobladłą twarz. - Czy dobrze czułaby się w Londynie, gdyby nie plotki Fairbridge'ów i lady Stanhope?

Popatrzyła na niego tak, jakby uznała, że jest niespełna rozumu. Głupie pytanie. Dla każdej dziewczyny Londyn i jego sklepy, opera, rozplotkowane salony to doskonała zabawa.

- Naturalnie - odparła. - Byle nie przez cały rok. Spojrzała w dal. - Nawet nie co roku. Strach pomyśleć, że gdybym przyjechała tu na krótki sezon, nie zobaczyłabym nigdy kwitnących lasów, lasów pokrytych młodym zieleni, polan usianych białymi dzwonkami i rozkwitłych sadów. Tydzień albo dwa w stolicy to miła odmiana, ale w domu zawsze najlepiej.

Zrobiło mu si przyjemnie, ale nim zd ył odpowiedzie , znów usłyszał znajomy głos.

- Witaj, Jack, stary przyjacielu. To pewnie twoja kuzyneczka. Słyszałem, e jest czaruj ca. Wygl da uroczo. Panno Bramley, lord Danville, do usług. Czy znajdzie pani dla mnie wolny taniec?

Zdumiona Meg z rozbawieniem obserwowała Jacka, gdy próbował odprawi lorda Parbury. Nieco zniecierpliwiona popatrzyła na lady Jersey.

- Co si z nim dzieje?

Hrabina, zaj ta ledzeniem daremnych zabiegów lady Stanhope, wzruszyła tylko ramionami.

- Kto wie? - odparła po chwili. - Z m czyznami nigdy nie wiadomo. Zr cznie pozbył si lady Stanhope. Za to gotowa jestem wiele mu wybaczy . Ohydne babsko!

Mimo poirytowania Meg wybuchn ła miechem, lecz po chwili zmarszczyła brwi, obserwuj c przygotowania do ataku na Bogu ducha winnego lorda Danville.

- Niesamowite. - Lady Jersey westchn ła, widz c, e lord Danville został odprawiony. - Zawsze mi si wydawało, e Jack ma szare oczy. Jego przyszła wybranka uzna bez w tpienia, e to najpi kniejszy kolor na wiecie. Ale dzi widz , e jego szare oczy z zazdro ci robi si zielone. Cudownie. Jakie to ciekawe obserwowa , jak sprawnie nasz drogi Jack walczy na dwa fronty.

Meg roze miała si , zakrywaj c usta eleganckim wachlarzem ze strusich piór i spojrzała zaczepnie na przyjaciółk . :

- Sally, jeste dzisiaj okropnie w cibska.

Królowa salonów i niepoprawna plotkarka w jednej osobie nawet nie mrugn ła okiem.

- Naturalnie, moja droga. Zawsze w ciubiam nos w cudze sprawy.

- Droga lady Jersey - odparła Meg z pobła liwym u miechem. — Jak wida , mój protegowany zachowuje si skandalicznie. Trzeba go poskromi . Prosz u y swego wpływu. Organizatorki balu maj do tego prawo. - Spojrzała znac co na Jacka. - Teraz b dzie walc, prawda?

Sally u miechn ła si chytrze i powiedziała z roztargnieniem:

- Tak mi si wydaje, hrabino Rutherford. Dobrze si składa. Trzeba działa . Tylko szaleniec ryzykuje walk z trzema przeciwnikami

jednocze nie.

Spojrzały sobie w oczy, rozumiej c si bez słów. Zza pleców dobiegł je przyjemny baryton.

- To chyba mój taniec, ono. Witaj, Sally.

Meg odwróciła si natychmiast, próbuj c skry u miech. Po minie Marca i jego podejrzliwym spojrzeniu poznała, e jej wysiłki spetzły na niczym. Przez chwil wodził spojrzeniem od jednej rozchichotanej hrabiny do drugiej.

- Mam zada pytanie czy pozosta w słodkiej nie wiadomo ci?

- Radz nie pyta - odparła z u miechem Meg - ale je li popatrzysz na Sally...

Odprawdził spojrzeniem lady Jersey, która torowała sobie drog w tłumie go ci, id c tropem upatrzonej ofiary.

- Dobry Bo e! Chyba nie chcesz powiedzie , e ona...

- Nasz kochany Jack! - za wiergotąła lady Jersey. - Jak miło ci znów widzie ! Po prostu cudownie. Jest i panna Bramley. Mam nadziej , e bawi si pani doskonale, moja droga. Wygl da na to, e dzi wieczorem prawie wszystkie ta ce ma pani zaj te. Hrabina Rutherford i wszyscy, którzy pani dobrze ycz , s w siódmym niebie, bo ma pani ogromne powodzenie.

Zarumieniona Kresyda wyj kała nieskładne podzi kowanie, a Jack nieufnie przygl dał si Sally. adnych szans na ucieczk . Co ona knuje?

Wkrótce si dowiedział.

- Nie chc pokrzy owa pani planów, e si tak wyra , lecz za chwil zacznie si walc. Przyszłam tutaj, bo w naszym małym kółku wszyscy bardzo pragniemy ujrze pani teraz na parkiecie. — U miechn ła si , zdaniem Jacka wyj tkowo chytrze. W tej samej chwili zagrała orkiestra. - Och, fatalnie! Nie ma czasu, eby znale partnera dla pani. Mo e pan Hamilton ten jeden jedyny raz zechce z pani zata czy ? Kiedy stanie si oczywiste, e przyj li my pani da naszego grona, b dzie si pani op dza od zachwyconych d entelmenów.

Postawiła Jacka w sytuacji bez wyj cia i odeszła, unosz c dło na po egnanie. Stało si ! Wyszedł obronn r k z kilku potyczek, ale było to pyrrusowe zwyci stwo; musiał si uzna za pokonanego. Nie wiedział, co b dzie dla niego trudniejszy prób : patrzy jak Kresyda ta czy z jakim bawidamkiem czy samemu zaprosi j do walca. Zas piony spojrzał na kuzynk .

- Nie ma powodu, eby pan ulegał jej yczeniu. Rozumiem, e nie

ma pan ochoty ta czy , prosz mnie zatem odprowadzi do hrabiny Rutherford.

Serce mu si cisl ło, gdy uslyszal jej z pozoru oboj tny gl ős. Zn ów j urazil. Uznała pewnie, e brak mu ochoty na taniec.

-Z najwi ksz przyjemno ci odprowadz ci do hrabiny Rutherford - oznajmil zmienionym gl osem i poci gn ł j w stron parkietu.

Popatrzyła na niego zielonymi oczyma, szeroko otwartymi ze zdumienia.

- Jack. To znaczy...

- Bardzo dobrze. Od dzi zawsze mów mi po imieniu - przerwał tonem nieznoszącym sprzeciwu. Cudownie było zn ów trzymać j w ramionach, czuć ciepło jedwabistej skóry, podziwiała gibko kibici. Machnął rękami na wszelkie skrupuły. Mijając lady Stanhope i kochankę Ali-son, Jack rozpromienił się, a potem zn ów spojrzął z zachwytem na Kresydę. Niech te babska doniosła Fairbridge'owi, co widziały.

-Powiedziały, e zaprowadzisz mnie do Meg -przypomniała wpatrzona w najwyszy guzik jego kamizelki.

-Jeśli się obrócisz - natychmiast okrzyknij j, tak e wykonała uroczy piruet - sama zobaczysz, e ta czy z Markiem. Lepiej ich nie naładujmy - ostrzegł, bo przyjaciel jak zwykle zbyt mocno tulił on w tańcu i bez wątpienia szeptał jej do ucha słodkie słówka. Przeszedł go miły dreszcz na myśl, e mógłby przycisnąć Kresydę tak blisko, by o jego nogi ocierała się nie turkusowa spódnica, lecz ukryte pod nią uda.

Odruchowo przycisnął j mocniej i z przerażeniem uwiadomił sobie, e mimo woli zachca j do robienia tego, przed czym dawniej ostrzegał. Ów bezmyślny, a zarazem władczy gest sprawił, e byli teraz bardzo blisko siebie. Skóra Kresydy pachniała różami. Kuschcała wo przywozila na myślny lato i senne marzenia.

Jack stłumił westchnienie i skupił się na krokach tańca, starając się nie zwracać uwagi na przyspieszony puls. Turkusowa suknia, wybrana przez Meg, cudownie podkreślała zielone oczy Kresydy. A może wypieknięty, bo patrzył w nie wzrokiem zakochanego? Włosy sprawiały wrażenie jedwabistych. Chciał je pogłaskać i poczuć, jakie są przyjemne w dotyku. Walczył z pokusą, by jeszcze mocniej przycisnąć j do siebie. Muzyka spowila ich obłokiem dźwięków, rytm czarował i porywał. Kresyda, gibka i zwinna, poruszała się z wyjątkowo lekkością.

Ciekawe, dlaczego walczył z Jackiem tak bardzo różnił się od poprzedników - nauczycielem tańca signorem Ridolphem albo z hrabią Rutherfordem.

Oszołomiona Kresyda zastanawiała się nad tym, przemierzając parkiet w ramionach ukochanego. Z tamtymi szło jej łatwo. Kiedy pokonała naturalne zmieszanie wywołane bliskością mężczyzny, walcowała bez trudu. Hrabia Rutherford wszedł raz do salonu, gdy przed balem z pomocą Meg przypominała sobie kroki w salonie Rutherford House. Natychmiast się do nich przyłączył i wiczył z Kresyda.

Taniec z Jackiem był jednak wyjątkowym doznaniem. Gdy uczył ją signor Ridolpho, ani razu nie poczuła zmysłowego dreszczu. Blisko niezwykle przystojnego hrabiego Rutherforda też nie robiła na niego wrażenia. Gdy przekomarzał się z nią i wiczył taneczne kroki, jej serce biło w równym rytmie, zamiast kołatać tak jak teraz. Nawet zawoalowane nogi lady Stanhope nie miały już dla niej żadnego znaczenia.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że jest to ostatnia sprzymierzy się z lady Fairbridge, we dwie będzie stanowiła poważne zagrożenie, ale w ramionach Jacka czuła się bezpieczna. Biło od niego przyjemne ciepło i siła. Serce Kresydy trzepotało jak po szybkim biegu. To dziwne. Piersi miała obolałe. Zapłoniona i niespokojna chciała przytulić się znowu do Jacka, szukać ulgi. A może cierpienie tylko by się pogłębiło? Mimo wszystko miała wrażenie, że nigdy więcej nie zagrozi jej żadne niebezpieczeństwo.

W sali balowej było gorąco nie do wytrzymania. Przedtem obawiała się, że zmarznie w sukni z głębokim dekoltem, ale Meg ją uspokajała. I słusznie. Kresyda cała w przeszłości uznała, że ten rumieniec rozgrzałby ją nawet wtedy, gdyby była marmurową figurą. Gorące spojrzenia Jacka tylko pogarszały sprawę, lecz jego mina pozwalała się domyślić, że zamknął się w sobie, by nie zdradzić pochopnie, co czuje.

- Co się stało?

Pytanie najwyraźniej zbiło go z tropu.

- Skąd wiesz, e... Ale skąd! Dlaczego pytasz? - odparł kłamliwie. Czerwone policzki zdradziły go tak samo jak niedokończony zdanie. Gdy uwiadomił sobie, że kłamstwo się wydało, nieco odprężony popatrzył na niego z uśmiechem, lecz nadal wydawał się wytrącony z równowagi, a puls miał przyspieszony.

- Wyglądasz, jakbyś cię bolało - powiedziała, gdy okrył się w tańcu. - Pomyślałam, że to ramię.

Jack napotkał bezlitosne spojrzenie rozbawionego Marca, który najwyraźniej domyślał się, co stanowi powód jego zmieszania. Z pewnością ci nie było nim zwichnięte ramię ani złamany obojczyk.

- Bark prawie mi nie dokucza - zapewnił.

Taniec dobiegł ko ca, a Jack nadal nie potrafił zdecydowa , czy był dla niego cudownym prze yciem, czy tortur . Z przera eniem stwierdził, e niemal wszyscy kawalerowie, uchodz cy za dobre partie, wpatruj si w Kresyd z jawnym zainteresowaniem. Szeptano, jakoby królowa salonów Sally Jersey osobi cie zapewniła pann Bramley, e mietanka towarzystwa chce j ogl da na parkiecie w pierwszym walcu. Dla panów taka nowina oznaczała jedno: sezon łowiecki wła nie si zac z ł.

Gdy Jack u wiadomił sobie, e przyjdzie mu konkurowa z połow londy skich kawalerów, natychmiast poci gn ł Kresyd ku stolikom z napojami i przek skami.

- Powinna napi si lemoniady - oznajmił. Sam ch tnie wychyliłby du szkłank , byle z lodem. Potrzebował ochłody. Nagle usłyszał m ski głos, zdradzaj cy nonszalancj i pewno siebie. Natychmiast wzi ł si w gar , gotowy do walki.

- Panno Bramley, jakie miłe spotkanie. Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy mama powiedziała, e bawi pani w stolicy.

Jack poczuł, e Kresyda zaciska dło na jego ramieniu. Obserwował j , kiedy si odwróciła. Sprawiała wra enie opanowanej.

- Dobry wieczór, lordzie Fairbridge - odparła z niezmc onym spokojem.

Jacek ledwie zdołał opanowa w ciekło . Obrzucił wicehrabiego taksuj cym spojrzeniem. Nie zamierzał wszczyna bójki w sali balowej, lecz kiedy si odezwał, w jego głosie pobrzmiwał ton pogardy.

- Moja kuzynka wspomniała o ł cz cej was znajomo ci. Prosz wzi pod uwag , e teraz ja sprawuj nad ni opiek . Mam nadziej , e lady Stanhope przekazała usłyszana ode mnie wiadomo .

Kresyda natychmiast odwróciła głow . Nie słyszała dot d, eby Jack mówił takim tonem nawet wówczas, gdy był na ni rozgniewany. Spojrzenie było wrogie. Do tej pory uwa ała go za człowieka pełnego ogłady. Uosabiał dla niej typ bibliofila i uczonego. Najwyra niej nie dostrzegła innych aspektów zło onej osobowo ci Jacka.

Lord Fairbridge najwyra niej te popełnił ten b ł d.

- Kresyda jest twój kuzynk , Hamilton? - Wicehrabia zaj ty strzepywaniem niewidzialnych pyłków z r kawa swego fraka nie zauwa ył zaci ni tych pi ci i zmru onych oczu rozmówcy. - Panna Bramley ani razu o tym nie wspomniała. - Obdarzył Kresyd najbardziej

czaruj cym ze swoich u miechów. - Jak si czuje pani ojciec? Mam nadziej , e nic mu ju nie dolega.

Kresyda z trudem zdobyła si na uprzejm odpowied . Stał przed ni człowiek, który podst pem wyrzucił pap z parafii, a potem straszyl go zesłaniem do karnej kolonii. Mimo to zdobyła si na wymuszony u miech i odparła pogodnie:

- Papa ma si znakomicie, milordzie. W nast pnym li cie wspomn , e pan o niego pytał. - Omal si nie udławiła tym kłamstwem.

- Wygl da pani ol niewaj co, panno Bramley. - Fairbridge przygl dał jej si ostentacyjnie. Nagle po ałowała swej ust plivo ci w kwestii dekoltu. Gdyby bardziej stanowczo opierała si pomysłom Meg, teraz nie musiałyby pali si ze wstydu pod lubie nym spojrzeniem tego drania.

Nigdy dot d nie była równie wiadoma ogromnej siły Jacka jak teraz, gdy jej dło ukryta w r kawiczkce spoczywała na jego ramieniu. W oczach innych była pann emablowan przez dwu przystojnych kawalerów, ale sama dr ała niczym jagni , kryj ce si za ogromnym psem pasterskim, eby nie trafi do paszczy wilka.

- Panno Bramley, czy mog odprowadzi pani do mojej matki? - Zapropozował lord Fairbridge. - Mama powiedziała, e ch tnie odnowiłyby znajomo .

Zbita z tropu Kresyda usiłowała pogodzi te rewelacje ze wspomnieniem o ostatnim spotkaniu z lady Fairbridge, która napi tnowała j wtedy jako podst pn ładacznic . Mo e surowa matrona chciała teraz dobitniej wyrazi owo mniemanie.

- Zechce mi pani potem uczyni ten zaszczyt i zata czy ze mn ?

Nie zd yła odpowiedzie , bo Jack oszcz dził jej kłopotu.

- Innym razem, Fairbridge - powiedział. - Przyrzekłem towarzysze mojej kuzynki, e po walcu bezpiecznie odprowadz jej protegowan . A co do ta ca, panna Bramley ma ju wypełniony karnet. Lady Fairbridge

mo e odwiedzi hrabin Rutherford w jej siedzibie przy Grosvenor Square. Z pewno ci zostanie przyj ta. Fairbridge osłupiał.

- Mówisz o hrabinie Rutherford?

Przez moment Kresyda miała wra enie, e pies pasterski zmienia si w wilka. Tylko głupiec dałby si zwié , widz c z pozoru przyjazny u miech Jacka.

- Owszem, Fairbridge. Kresyda mieszka w jej domu. Mam nadziej , e oboje z matk macie teraz jasn sytuacj .

Odszedł, nieubłagane cię gnęła za sobą Kresyda, która odetchnęła z ulgą. Łudziła się, że gdy nabierze pewno ci siebie, z większym spokojem będzie przyjmowała takie spotkania. Czemu Andrew do niej podszedł? Może chciał powtórzyć swój ... sugesti? Niezbyt szczęśliwe określenie, ale nie potrafiła znaleźć lepszego. Propozycja? Oferta? Mniejsza z tym. Teraz najważniejsze to przekona Jacka, że w obecności Fairbridge'a nie jest skrępowana.

Czuła emanację z niego w ciemności. Ramię pod jej dłońmi w białej rękawiczce było twarde jak stal. Twarz wyglądała jak wycięta w kamieniu. Znowu ogarnął ją strach, że Jack pod jakimkolwiek pretekstem wyzwie Fairbridge'a na pojedynek. Poraziła ją myśl, że ukochany z jej powodu miałby zginąć lub zostać okaleczony. Odetchnęła głębiej i przepraszała w duchu za kłamstwo, które zamierzała wypowiedzieć, zaczęła pogodnie:

- Miło ujrzeć znajomą twarz wśród tylu obcych. Lord Fairbridge zachował się nader uprzejmie, gawędził z zemną. Ciekawe, czy lady Fairbridge rzeczywiście się pofatyguje do Rutherfordów.

Jack zdołał odpowiedzieć do rzeczy i grzecznie, co w jego przypadku graniczyło z cudem. Zastanawiał się również, jak mógłby taki głupi i wysłać Kresydę do Londynu z całkiem niezłym posagiem.

Ku ogromnemu przerażeniu Kresydy lady Fairbridge przyjechała z wizytą następnego dnia. W sali balowej widziały się tylko z daleka. Po tańcu z Jackiem zachwyceni dżentelmeni natychmiast rzucili się do Kresydy, by zamawiać nieliczne wolne tańce. Nie usiadła ani na chwilę, lecz nieustannie czuła na sobie wrogie spojrzenie wyniosłej matrony.

Siedziała sama w salonie Rutherford House, gdy wszedł lokaj z wiadomością, że przyjechała lady Fairbridge. Uśmiechnęła się zyczliwie.

- Powiedziałem, jak mi kazano, że ja nie pani nie ma w domu, ale milady oznajmiła, że chętnie zobaczy się z panią. Obiecałem zapytać, czy zechce pani przyjechać.

Meg poszła na górę, aby nakarmić Jona. Co robi? -zastanawiała się Kresyda. Mogłaby poprosić Delafielda, aby skłamał, że jej również nie ma w domu. Dlaczego miałaby w pojedynkę stawiać czoło lady Fairbridge? Jednak może rozmowa w cztery oczy byłaby najlepsza? Zapewne surowa matrona podczas wczorajszego balu uważa nie

obserwowała syna i postanowiła stanowczo zakazać jej wszelkich z nim kontaktów. Kresyda zadziałała i doszła do wniosku, że woli rozmówić się z nim na osobno ci. Zapewni, że nie jest zainteresowana jej synem i obieca nigdy więcej się z nim nie kontaktować. Trzeba postawić spraw jasno. Szukanie wykrętów nie ma sensu.

- Proszę powiedzcie lady Fairbridge, że ją przyjmę - oznajmiła w końcu.

Nie musiała długo czekać.

Delafield zaanonsował dostojną matronę i zamknął za nią drzwi. Kresyda wstała i podeszła bliżej.

- Witam. Jak się pani miewa? - powiedziała uprzejmie. Postanowiła, że będzie dążyła do uosobienia dobrych manier. - Zechce pani spocząć?

Niespodziewanie otoczyła ją woń perfum i obłok purpurowej satyny.

- Kochana panno Bramley! Dzięki za troskę, zdrowie raczej mi dopisuje. Cóż za miła niespodzianka, że i pani zjechała do stolicy. Niedobra dziewczyna! Trzeba było od razu napisać do mnie i zawiadomić o swoim przybyciu. Najmilsze spotkanie z dawnymi przyjaciółmi. Jak się czuje pani kochany tatu? Mam nadzieję, że wyleczył się ze swych dolegliwości.

Oślepiała Kresyda ledwie zdołała wyjąć kilka urywanych słów.

- Ma się ... dobrze... Moim zdaniem nie był...

- Zapewniam, że Andrew był uszczęśliwiony waszym wczorajszym spotkaniem. Nie miałam pojęcia, że jest pani skoligaconą z Hamiltonami. Co słychać u lady Anny, uroczej mamy Jacka? Prawda, że to czarująca istota? Jest w Londynie?

Lady Fairbridge umieściła swe obfite kształty na kanapie i zachęcając co poklepała miejsce obok siebie. Kresyda udała, że tego nie widzi, i podeszła do dzwonka. Jak się ma, wyjechała, że lady Anna bawi u córki w Yorkshire.

Dodała, że nie miała sposobności jej poznać, i zapytała go, czy chce się czego napić.

Gdy lady Fairbridge po raz wtóry wskazała miejsce na kanapie, Kresyda usiadła wciwnie w róg. Czy to sprawa Jacka? Zapewnił, że Fairbridge'owie nie będą jej nękać. Czy by tak ich nastraszył, że całkiem zmienili front? A może zapowiedział Andrew, że nie wykręci się od małżeństwa z jego kuzynką?

Kresyda ochłonęła na tyle, że potrafiła swobodnie gawdzić z gościem, próbując jednocześnie znaleźć rozwiązanie tej zagadki.

Wkrótce rzecz si wyja niła.

- Ile pani słodzi? - spytała, nalewaj c herbat . Si gn ła po szczypczyki.

- Prosz ociupink . Dzi ki! Có za szcz liwy zbieg okoliczno ci. Mówi o spadku. Tak, tak, słyszałam nowin . Dla panny na wydaniu to prawdziwy u miech losu.

Sk d wiedziała? Nikomu przecie o tym nie mówili. Lady Fairbridge roze miała si perli cie.

-Och, moja droga. Nie b d taka zdziwiona. Na prowincji nowiny szybko si rozchodz . Moja kuzynka, lady Stanhope, zna wszystkie szczegóły.

Paplała z o ywieniem, wymieniaj c wszelkie korzy ci wynikaj ce z posiadania sporego posagu. Kresyda zadr ała, u wiadamiaj c sobie, co zmieniły w jej yciu niedawno odziedziczone pieniądze. Z ubogiej córki duchownego, któr mo na bezkarnie wykorzysta , stała si posa n pann na wydaniu. Zacz li nagle o ni zabiega nie tylko sami kawalerowie, lecz tak e ich matki.

Dr ały jej r ce, dygotała lekko fili anka z cienkiej porcelany. Wzi ła gł boki oddech, eby ochłon . Wie ci, które doszły do lady Fairbridge, były chyba przesadzone. Czy dziesi tysi cy funtów to naprawd łąkomy k sek, dzi ki któremu córka duchownego mo e złapa m a z tytułem? Zapewne plotkarze zwielokrotnili sum .

-Spadek nie jest du y - wyznała szczerze. – Zaledwie dziesi tysi cy funtów.

Lady Fairbridge nie drgn ła powieka.

-Oczywi cie, moja droga, ale i to si przyda. Wyznam ci, e upatrzyłam ju sobie pann dla mojego Andrew. -U miechn ła si tajemniczo. - Najwy szy czas, eby si ustatkował i postarał o dziedzica. W jego wieku dobry o enek to podstawa.

Nadej cie hrabiny Rutherford sprawiło, e panie zmieniły temat rozmowy. Meg usprawiedliwiła si uroczo, e dopiero teraz zjawia si , by powita go cia.

-Na szcz cie nasza nieoceniona panna Bramley wspaniale mnie zast piła. - Tym słowom towarzyszył promienny u miech.

Kresyda nieustaj co podziwiała łątwo , z jak Meg wchodziła w rol damy z wy szych sfer i czaruj cej pani domu. I teraz była uprzejma, przemiła, zachwycaj ca, a mimo to zachowywała rezerw , zbywaj c ogólnikami ciekawsk lady Fairbridge i stale podkre laj c, e Kresyda to

jej najlepsza przyjaciółka.

W ko cu matrona wstała i zacz ła si eгна . Meg zadzwoniła na lokaja.

- Do widzenia. Zobaczymy si dzi na wieczorku u lady Verner?

Lady Fairbridge dyskretnie wygładziła sukni .

- O tak. Je li chodzi o dobór go ci, Aurelia jest niesłychanie wybredna. Namówiłam syna, eby mi towarzyszył. - Rzuciła Kresydzie znacz ce spojrzenie. - Moim zdaniem wy dwoje macie sobie du o do powiedzenia. Andrew uwa a pewnie, e asystowanie własnej matce to nudne zaj cie, wi c mam nadziej , e spotkanie z pann Bramley b dzie dla niego nagrod .

- Zapowiada si bardzo miły wieczór. Czekam z niecierpliwo ci - odparła taktownie Meg, wi c przera one spojrzenie Kresydy pozostało niezauwa one.

Na miło bosk ! To babsko nie s dzi chyba, e... Wykluczone, eby to ona była posa n pann , któr lady Fairbridge upatrzyła dobie dla uwielbianego jedynaka. Opanowała si i po eгнаła go cia.

- Tak si cies z naszego spotkania, Kresydo. Odprowadzisz mnie do powozu? Hrabina Rutherford nie b dzie musiała si fatygowa , wzywaj c lokaja.

Kresyda była tak zdumiona, e nie umiała na poczekaniu znale pretekstu do odmowy, wi c przystała na t propozycj . Gdy szły, lady Fairbridge zachwycała si wystrojem Rutherford House. Nagle zmieniła temat.

- Kresydo, mam nadziej , e gotowa jeste pu ci w niepami nieporozumienia, które poró niły nas kilka miesi cy temu. Kochany Andrew. - Wybuchn ła perlistym miechem. - Nie s dziłam, e jest taki stały w uczuciach. Nie zmienił zdania, wi c musiałam ust pi . Mam nadziej , e zechcesz mi wybaczy i... Przecie wiesz, o co mi chodzi!

Kresyda poczuła, e dławi j zło . Ju miała kategorycznie odmówi , ale u wiadomiła sobie, e stangret, stoj cy u drzwi nieruchomo jak pos g, nadstawia ucha i słyszy ka de słowo. Je li nie ma zwyczaju trzyma j zyka za z bami, b d plotki, które pr dziej czy pó niej dotr do Jacka. Gdy ten uzna, e Andrew wszedł mu w drog , z pewno ci wyzwie go na pojedynek, a to wielka niewiadoma. Kresyda wzdrygn ła si , ale z wymuszonym u miechem rzuciła kilka ogólników. Poczekala, a lady Fairbridge wsi dzie do landa, i szybko wróciła do salonu. Meg

siedziała na kanapie, wachluj c si porann gazet .

- Fe! Ale ona mocno si perfumuje! Ledwie mog oddycha . Jeste wreszcie. No prosz i Znalazła si przynajmniej jedna mama gotowa ci schlebia , byle zwi kszy szanse ukochanego synka.

- Naprawd zni aj si do takich zabiegów? - Kresyda była wystraszona, e-lady Fairbridge wła nie j upatrzyła sobie dla Andrew, jednak taktyka zapobiegliwej rodzicielki wydała jej si interesuj ca.

Meg wybuchn ła miechem.

- Celuj w tym matki młodszych synów, którzy dziedzicz niewiele, wi c musz si dobrze o eni . Starszych trzeba niekiedy wyci ga z klubów i ze wzgl du na potrzeb spłodzenia dziedzica zmusza do konkurów, ale pr dzej czy pó niej problem sam si rozwi zuje. Wiem o tym od Diany. - Meg spowa niała. - Łatwo zniech cisz Fairbridge'a, a je li w ogóle nie chcesz mie z nim do czynienia, Marc robi to za ciebie. Nie radz prosz Jacka o tak przysług . Jest teraz dra liwy i wybuchowy.

- Moim zdaniem na razie lepiej nie wspomina o zamiarach lorda Fairbridge'a. - Kresyda była niemal pewna, e Marc natychmiast poszedłby z tym do Jacka, a ten nie czekaj c na rozwój wypadków, wzi łby sprawy w swoje r ce.

- Jeste pewna? - Meg nie kryła niepokoju. Kresyda przywołała na twarz pogodny u miech.

- Oczywi cie. Po co zra a do siebie lady Fairbridge? Jestem teraz dobr parti , wi c Andrew b dzie zapewne okazywa mi wi kszy szacunek. Z pewno ci nie ma powodu do obaw.

Miesi c pó niej zagniewany i milcz cy Jack siedział w czytelni. Czekał na Marca, eby wyrzuci z siebie wszystko, co mu le ało na w trobie. Umówili si w klubie. Dla zabicia czasu przegl dał gazety. Same brednie. Zamkn ł dziennik i rzucił na stół.

Do diabła! Gdzie ten... A, jest! Zapewne przez dwie godziny wi zał kosztowny fular.

- Długo kazałe na siebie czeka - burkn ł.

- Mniejsza z tym. Plotkarze nie pró nuj , stary - oznajmił Marc, nie zwa aj c na utyskiwania przyjaciela i od razu przechodz c do rzeczy. - Kilka dam pytało, jak długo jeszcze Meg b dzie rzekom przyzwoitk panny Bramley. Widziałem domy lne u miechy.

Pochylił si nad barkiem i nalał brandy sobie i przyjacielowi, który

powiedział:

- Przrzekam, e zatłuk gada.

- Ciszey, panowie! - protestowali z oburzeniem posłowie sp dzaj cy w klubie czas na powa nych dyskusjach politycznych i grze w karty.

- Przez ciebie, stary zło niku, panowie nie mog si skupi na grze i ratowaniu pa stwa - kpi co beształ przyjaciela Marc. - Moim zdaniem to pierwsze jest dla nich wa niejsze.

Jack mimo woli wybuchn ł miechem, słysz c cyniczn uwag , i popatrzył na d entelmenów siedz cych w rogu sali.

- Chyba nie s tacy li. Chc si na moment oderwa od politycznych dyskusji, wi c siadaj do kart, - Nagle spochmurniał. - Umy lnie zmieniasz temat - dodał oskar ycielskim tonem.

- Jak wida , udało mi si na moment skierowa twoje my li na inne tory. Skoro koniecznie chcesz zna moje zdanie, powiem tak: je li wyzwiesz Fairbridge'a na pojedynek, b dziesz miał satysfakcj , lecz nie pomo esz Kresydzie. Przeciwnie, plotkarze zyskaj pewno , e mieli racj . Sam wiesz, jak to jest. Poza tym nie masz dowodu, e to on rozpuszcza plotki. Spójrzmj prawdzie w oczy. Czy nam si to podoba, czy nie, wszystkim si wydaje, e ten dra stara si o pann .

Jack kiwn ł głow , cho te uwagi były mu nie w smak.

- W porz dku. Znajd inny pretekst, eby go wyzwa . Masz jaki pomysł?

- W tej chwili raczej nie. - Marc upił łyk brandy.

- Niech ci diabli porw . - Jack pieklił si , cho przyciszonym głosem. - Sam w obecno ci Sally Jersey omal nie wychłostałe szpicrut Winterbourne'a, gdy usiłował porwa Meg. Naprawd chcesz mi wmówi , e mam siedzie beczynninie i patrze , jak Fairbridge szarga dobre imi Kresydy?

Marc zamilkł na chwil , a potem odparł cicho:

- Jack, całkiem prawdopodobne, e tym razem rzeczywi cie chce j po lubi . Okoliczno ci si zmieniły. Kresy-da mo e teraz liczy na opiek krewnych i przyjaciół. Nie s dzisz, e posag jest dla niego dostatecznym wabikiem?

Jack był zdegustowany. Przez my l mu nie przeszło, e Fairbridge odwa y si ponownie zainteresowa Kresyd . A ona? Nie zach cała go, ale te nie dała stanowczej odpawy. U miechała si , ta czyła z nim, je dziła do parku jak z dziesi tkami innych panów. Tamci jednak emablowali rozmaite panny. Fairbridge asystował wył cznie Kresydzie.

Potem zaczął się plotki. Nic wielkiego. Zwykle pogłoski, jakoby panna Bramley pozwalała sobie na pewną swobodę, a owinęła sobie wokół palca Jacka Hamiltona oraz Rutherfordów, a wszystkim mydli oczy. Nic konkretnego. A raczej wierzyły, aby komuś skrzyknęły.

Jack dostawał mdłości na samą myśl, a obcy mężczyźni miałyby posiadać Kresydę. Gdy wyobraził sobie, a b dzie j mie Fairbridge, wszystko się w nim gotowało. Sam pragnął się z nią oeni. Gotów był natychmiast zaprowadzić ją do ołtarza. Potem wróciliby do domu, aby spędzić miłe wieczory w przytulnej bibliotece. Raczej w tpił, by zajmowali się opracowywaniem księgozbioru. Wierzenia ze „Sztuki kochania” Owidiusza wydawały się bardziej prawdopodobne.

Jack chciał mieć Kresydę na własność. Pragnął jej ciała, umysłu i serca. Po prostu dał jej miłość.

Marc skinął na kelnera.

- Proszę nam podać jeszcze jedną butelkę.

- Dzięki - mruknął ponuro Jack. - Skoro nie mogę nic zrobić, przynajmniej się upij.

- W tpi. Masz mocną głowę. To dopiero druga butelka - odparł z uśmiechem Marc. - Wróćmy do tematu. Moim zdaniem to matka Andrew szkaluje Kresydę.

- Lady Fairbridge? - Jack uznał, że to jeszcze gorzej. Plotki szerzą się wśród mężczyzn, którzy łatwo mogą na krótko, domagając się satysfakcji od tego, kto je rozpuscita. Czasami wystarczy ostrzeżenie przekazane przez osoby trzecie, aby panna odzyskała dobre imię. Kłamliwe pogłoski rozsiewane przez wytworne damy z towarzystwa miały znacznie większą siłę. Taki atak trudno przetrzymać. Gdyby panie zmówiły się przeciwko Kresydzie, byłaby zgubiona. Wkrótce zamknęłyby się przed nią wszystkie drzwi. W żadnym domu nie byłaby przyjmowana, a wówczas o stosownym zamknięciu mowy nie ma. Byłby całkiem bezsilny i nie mógłby uczynić niczego, aby temu zapobiec. Nie wyzwie przecie na pojedynkę lady Fairbridge. A gdyby tak...

Wykluczone. Od kobiety nie sposób dostać satysfakcji, ale można na jej zdrucie i narazić na towarzyski ostracyzm, co jest szczególnie dokuczliwe, gdy ma się córkę w wieku stosownym do zamknięcia. Jack zacisnął dłoń w pięści. Przeklął babsko. Powinna nareszcie przyjść do wiadomości, że Kresyda nie interesuje się jej synem i stara się go unikać. Ani razu nie zarezerwowała dla niego walca.

Lady Fairbridge złożyła Kresydzie wizytę. Z relacji Meg wynika, że

była słodka jak miód i wyjątkowo ułożona. Dlaczego lady Fairbridge odwiedziła Kresyd, choć krzywo patrzy na małżeńskie plany syna i nadal usiłuje zepsuć dziewczynię reputację?

Jack napotkał pytające spojrzenie Marca, który wypowiedział głośno to samo w tliwie, a po chwili namysłu dodał:

- Jest dodatkowy aspekt tej sprawy, który trzeba wziąć pod uwagę.

Jack spozjrzał na niego z zaciekawieniem.

- Pamiętaj, że lady Stanhope jest kuzynką lady Fairbridge. Są ze sobą blisko - cięgną się do Marc.

Jack zaklął, gdy mu wiadomił sobie konsekwencje tego faktu. Lady Stanhope gotowa była na wszystko, byle pokrzyżować małżeńskie plany Kresydy. Bała się, że mogłoby dotyczyć Jacka Hamiltona.

- Wszystko jasne - rzekł. - To swoisty szantaż. Je li uda im się pozbawić Kresyd dobrego imienia, znajdzie się w sytuacji bez wyjścia. Według tych bab, żeby uratować swoją reputację, będzie musiała przyjąć jedynego konkurenta gotowego się jej oświadczyć. A panna Stanhope nie straci szansy na poślubienie Jacka Hamiltona.

Marc skinieniem głowy potwierdził domysły Jacka.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ani wspaniałego balu wydanego przez lady Wragby, ani ucykliwość gospodyni nie cieszyły Kresydy, gdy zdała sobie sprawę, że lord Fairbridge uparł się jej asystować. Przemięty wieczór zmienił się w towarzyską szczytność.

Unikała walca w ramionach Fairbridge'a, zbywając go paskudnym kłamstwem, ale nie zdołała się wykręcić od dwu kadryli. Gdy muzyka ucichła, partner zauważył, że jest mocno zarumieniona.

- Pójdź z pani na taras - zaproponował. - Chodźmy tam od razu. Nie warto niepokoić hrabiny Rutherford. Z pewnościami nie miałyby nic przeciwko temu.

Kresyda zaprotestowała grzecznie, lecz stanowczo.

- Dziękuję, milordzie. Nie ma takiej potrzeby. Czuję się doskonale i nie mam ochoty marznąć na wiejem powietrzu.

Czy by uznał ją za kompletną idiotkę? A może do głowy mu nie przyszło, że Meg i Diana uprzedziły, jak niebezpieczne są dla pań takie spacerowanie w takim towarzystwie? Zresztą przed Fairbridge'em nikt nie musiał jej ostrzegać.

Usiłowała wysunąć dłoń spod jego ramienia, ale trzymał ją mocno drugą ręką. Była zdecydowana uwolnić się od jego obecności, lecz dyskretne aluzje nie robiły na nią

wrażenia. Zastanawiała się, jakich użyłby sposobów, aby wreszcie zostawił ją w spokoju. Najchętniej zdzieliłaby go pięścią w nos, lecz nie chciała wywoływać awantury. Poza tym Andrew był wysoki, musiałaby więc stanąć na palcach, aby dosięgnąć jego nosa. Z trudem zdołałaby uderzyć go w szczękę. Rozważszy wszelkie za i przeciw, Kresyda doszła do wniosku, że lepiej trzymać ręce przy sobie:

Zerknęła na Fairbridge'a, rozżłoszczona ciekawskimi spojrzeniami gościa, którym nie umknął fakt, że przystojny młodzieniec wiernie jej asystuje.

- Milordzie, czy zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo irytuje się lady Fairbridge, widząc nas razem? Wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie życzy sobie dla pana takich znajomości. Sprawia jej pan ogromny przykrość, a ja nie chcę jej denerwować.

- Mówi pani o mojej mamie? - zdziwił się pobłażliwie Fairbridge. - To chyba jakieś nieporozumienie, droga Kresydo.

Niewiele brakowało, aby z wściekłości zaczęła szarpać fałdy wieczorowej sukni koloru zielonego jabłka.

- Nie zgłasza żadnych obiekcji i doskonale wie, że staram się o twoje względy. Szczerze mówiąc, mam jej błogosławić.

Czy by? W takim razie dlaczego... Może ktoś inny rozpuszcza plotki i sugeruje, jakoby panna Bramley nie była taka niedostępną, jak się z pozoru wydaje? Ale kto szerzy takie pogłoski?

Była pewna, że doszły tak do Jacka, bo chodził ponury jak chmura gradowa i marszczył brwi, kiedy na nią

patrzył. Wszystko zaczęło się kilka dni temu, po jego powrocie z klubu, gdzie był razem z Markiem. Starła się o tym nie pamiętać, bo cierpiała bardzo na myślenie go rozczarowuje, zasmuca i przynosi mu wstyd. Jego złość była tym większa, że z pewnością miał nadzieję w Londynie szybko zrzucić z barków odpowiedzialność za kuzynkę i szczęśliwie pozbyć się jej ze swego otoczenia.

Niestety, panowie, z którymi ta czyła, nie wykazywali szczególnej ochoty do eniaczki. Niewielu darzyli ją sympatią - przysyłali kwiaty, spacerowali po parku. Chętnie flirtowali, lecz żaden nie wystąpił z oświadczeniami.

Im bardzo dobrze, bo nie zależało jej na zamążpójściu. W każdym razie nie wśród nich szukałaby kandydata na męża.

Jedynym mężczyzną, jawnie starającym się o jej względy, był lord Fairbridge. Mężczyłki ogromnie jego niewczesne umizgi. Naprzykrzał się jak natrętna mucha. Uznała, że musi go zniechęcić.

Gdy rzuciła mu karcące spojrzenie, dodał protekcjonalnie:

- Musisz wykończyć swoją pracę, a innych konkurentów nie widać, prawda?

Nadal przytrzymywał jej rękę, wyciskając ją pod osłoną męskiej dłoni. Zaciśnięte palce i boleśnie go uszczypliła. Kiedy gwałtownie cofnęła ramię, klnąc pod nosem, obdarzyła go anielskim uśmiechem i oznajmiła rozpromieniona:

- Obawiam się, że jest pan w błędzie. Nie zamierzam wychodzić za pana.

Złoty skromnie dłoń. Wyglądała jak uosobienie paniejskiej skromności i powściągliwości.

- Jesteś pewna, że lub na nic ci się nie przyda, moja droga? Wietnie się bawisz w wielkim świecie, prawda? Cóż to byłoby za przykrość, gdyby została nagle wykluczona z naszej sfery. Jak by się czuła, gdyby w żadnym londyńskim salonie nie chciano ci przyjmość?

Dłonie rozszkroszczonej Kresydy wbrew jej woli rozdzieliły się i zaciśnięte w piątki.

- Moje jednak przekonasz się do małżeństwa? - dodał.

Niech mnie niebiosy strzegą od mężczyzny, którym się wydaje, że wszystko najlepiej wie, powiedziała sobie w duchu Kresyda. Doceniła fakt, że Andrew zamiast wygłaszać kolejne twierdzenia, wykończył ją o zdanie.

- Nie ma mowy - odparła z fałszywym uśmiechem. - Starannie przemyślałam tę sprawę i doszłam do wniosku, że wstrętnie plotki, rozsiewane na mój temat, stanowczo uniemożliwiają mi zamążpójcie. Poczucie godności nie pozwala nawet myśleć o przyjęciu oświadczyn któregoś z dżentelmenów - oznajmiła, sprytnie wykorzystując dla swoich celów cudzą nieszczelność.

- Co? - Andrew wybałuszył na nią oczy i ze zdumienia otworzył usta. - Jak miesz... Chciałem powiedzieć, że wszyscy zapomnieli o tych pogłoskach, kiedy za mnie wyjdiesz. Pleciesz androny. Nie masz wyboru, moja droga.

- Mogę zdecydować się na życie w samotności - odparła.

- To nie jest dobry wybór dla dziewczyny zatroskanej o bezpieczeństwo ojca - uznał z pozorną obojętnością.

Kresyda próbowała ukryć, że drży na całym ciele. Tylko nie to. Nie

odwa si ...

- Mój kuzyn...

- U ledczych i w s dzie niewiele zdziała. Prosz to przemy le , panno Bramley.

Wystraszona nie zdawała sobie sprawy, e id w stron oszklonych drzwi. U wiadomiła to sobie dopiero, gdy Fairbridge otworzył je i poci gn łj na taras.

Jack kr ył po zatłoczonej sali balowej, szukaj c Kresydy. Od dziesi ciu minut nigdzie jej nie widział i bardzo si tym martwił. Machinalnie u miechn ł si do spoczywaj cej na sofie lady Jersey, która unosz c dło , pozdrowiła go z daleka. Królowa salonów daje znak swoim dworzanom, eby zamilkli. Bez w tpienia plotkuj o dziwnym i pociesznym zachowaniu pana Jacka Hamiltona oraz mał e skich szansach jego podopiecznej, ironizował w duchu.

Nie rozumiał, co si dzieje. Ka dego wieczoru Kresyda ta czyła do upadłego na balach wydawanych w najlepszych domach. Jej karnet był wypełniony po brzegi. Oblegali j czaruj cy kawalerowie zdadni do eniaczki. Tak mówiły o nich jej przyjaciółki, Meg i Diana. Jack twierdził jednak, e to banda łotrów i rozpustników. Kresyda brylowała w towarzystwie. I nic. Ani jeden si nie o wiadczył.

W gł bi sali spostrzegł dwóch znajomych. Zbli ył si do nich w nadziei, e wiedz , dok d poszła Kresyda.

- Witaj, Jack - wicehrabia Parbury odezwał si pierwszy. - Widziałem niedawno twój podopieczn . Ta czyłem z ni . Szcz ciarz z ciebie, stary draniu. Mam racj , Petersham?

Lord Petersham przytakn ł skinieniem głowy.

- Czaruj ca panna, naprawd czaruj ca.

- Ale nie jest moj podopieczn ! - zdenerwował si Jack.

- Naturalnie - odparł Parbury pojednawczym tonem. - Nie dopatruj si w tym adnych zdro no ci. Ogólnie wiadomo, e za nic nie uchybiłby tej dziewczynie, cho okoliczno ci s dla ciebie sprzyjaj ce. Chc tylko, aby wiedział, co si dzieje. Wszyscy rozumiemy, e jeste ni zainteresowany, wi c nie wchodzimy ci w drog , cho ka dy ch tnie sprz tn łby ci pann sprzed nosa. Ale powstrzymujemy si , bo dobrze ci yczymy. Tylko młody Fairbridge nie ma takich skrupułów. Poszedł z ni na taras. Snuje si za ni jak cie . Niewiele mo na ma to poradzi , ale zrobiłem przynajmniej tyle, e wpisałem twoje nazwisko przy jedynym wolnym ta cu w jej karnecie. Radz ci jak najszybciej poda rzecz do

wiadomo ci. Twój rywal nie należy do ludzi, którym wystarczy dyskretna aluzja, aby zniknąć z horyzontu. Wiem, co mówi, bo próbowałem dać mu do zrozumienia, by przestał się naprzykrzać twojej pupilce. Niestety, daremnie.

- Co mam powiedzieć do wiadomo ci? - zapytał nonszalancko Jack. Niemożliwe, po prostu niemożliwe, aby Parbury domyślił się prawdy.

- Wasze zaręczyny - usłyszał w odpowiedzi. - Pospiesz się. Musisz ukrócić ohydne plotki krążące na jej temat. Jeszcze jedno ci powiem. Przed kilkoma tygodniami Fairbridge zgrał się w karty i popadł w długi, a krewni sprawujący kuratelę nad rodzowym majątkiem uparli się, żeby ich nie zapłacił. Ostatnio przyszło im płacić karciane długi jego brata, więc miarka się przebrała. Domyślił się, że Fairbridge musiał przyjąć ich warunki i obiecał, że się ustakuje.

Jack miał ochotę kląć, na czym wiatr stoi.

- Jestem tego samego zdania - powiedział Parbury, jakby czytał w jego myślach. - Stawiam dziesięć do jednego, że lady Fairbridge woli, żeby ktoś inny zapłacił długi synalka. Zapewne przyznasz mi rację, jeśli powiem, że dziesięć tysięcy funtów to całkiem ładna sumka, a procencik w postaci frenetycznej panny Bramley też nie lichy. Posaż na licznok to nie ładna gratka.

Odpowiedzi Jacka nie dałoby się zacytować, ale przynajmniej wrócił mu głos.

Petersham zajął tabaki, kichnął i tak wtrącił swoje trzy grosze.

- Na twoim miejscu nie pozwoliłbym, żeby dostała się Fairbridge'owi. Szkoda panny Bramley dla tego szubrawca.

- Czy dobrze słyszałem? Wspominał, że moja kuzynka z nim spaceruje? - upewnił się Jack, puszczając mimo uszu pozostałe rewelacje Parbury'ego. Trzeba się skupić na sprawach, które mogą załatwić od razu.

Parbury kiwnął głową.

- Daruj, stary, że o tym mówi, ale chciałem mu przygadać. No wiesz, w obecności tej dziewczyny. Była wyraźnie poruszona, ale nie wydaje mi się, żeby sobie tego życzyła. - Przerwał i uklonił się lady Sefton.

Jack rozejrzał się. Zwykle uważał swój wzrost za sporą uciążliwość. W sali balowej, mimo chęci, nie mógł nigdy zniknąć w tłumie. Konie pod wierzch zawsze miał potężniejsze niż inni, a panie wiodły ciekawe rozmowy z jego podbródkiem albo, co gorsza, z guzikami kamizelki.

Dzi jednak po raz pierwszy w yciu dzi kował niebiosom, e jest bardzo wysoki, bo wystarczyło mu nieco wyci gn szyj i zaraz ujrzał Fairbridge'a wychodz cego z Kresyda przez oszklone drzwi.

Na tarasie było pusto. Kresyda zdawała sobie spraw , ze dobrze wychowana panna nie spaceruje przy ksi ycu z rozpustnym nikczemnikiem. Je li si na to decyduje, sama jest sobie winna albo.. .padła ofiar szanta u. Na sam my l o tym, e ojciec za kradzie trafi do karnej kolonii, m ciło jej si w głowie. Mimo to zebrała siły i oznajmiła stanowczo:

- Nie wyjd za pana, milordzie.
- Zobaczymy - mrukn ł.

Niespodziewanie obj ł j i przyci gn ł do siebie. Drug r k wsun ł w kasztanowe włosy i brutalnie poci gn ł za fryzowane loki.

-Precz! Go pan...

Bezceremonialnie przycisn ł j do balustrady i usiłował pocałowa . Zrozumiała, e zmierzaj c do celu, nie cofnie si przed adn nikczemno ci .

Zebrała siły, próbuj c go odepchn , i w tej samej chwili usłyszała znajomy głos.

-Co ty wyprawiasz, Fairbridge!

Natr t uniósł głow i wyprostował si , a Kresyda natychmiast odskoczyła. Było jej słabo. Oddychała spazmatycznie, próbuj c si uspokoi . Kilka szpilek do włosów le ało na kamiennych płytach tarasu.

Dzi ki Bogu, e Jack przybiegł jej na pomoc. A z nim Meg i hrabia Rutherford.

-Chciałem przypiecz towa swoje zar czyny, Hamilton.

Pociemniało jej przed oczyma, jakby została uderzona. Fairbridge mówił dalej:

-Twoja protegowana wła nie mnie przyj ła. Ty i twoi przyjaciele mo ecie pierwsi zło y mi gratulacje.

W drzwiach tarasu zebrał si ju spory tłum. Gapie z ciekawo ci ledzili niecodzienne wydarzenie. Tłumione okrzyki i oczy szeroko otwarte ze zdumienia wiadczyły, e wszyscy słyszeli zaskakuj c nowin .

Przera ona Kresyda nabrała powietrza, eby stanowczo zaprotestowa , ale nim si odezwała, Jack powiedział:

-Rozumiem. ycz szcz cia. - Okr cił si na pi cie i wszedł do sali balowej. Tłum rozst pił si przednim i zamkn ł na powrót,

szemrzc i patrz c za odchodz cym.

Gdyby nie balustrada za plecami, Kresyda osun łąby si bezwładnie na kamienne płyty. T sknym wzrokiem odprowadziła ukochanego. Patrzyła na niego, a znikn ł jej z oczu.

Meg podbiegła do niej, odepchn łą Fairbridge'a i powiedziała z przek sem:

- Ciekawe. Jest pan tego pewny, milordzie? Bez w tpienia w najbli szym czasie zechce pan si porozumie z moim m em oraz panem Hamiltonem. Teraz nie pora na takie rozmowy.

- Słuszna uwaga - wtórował hrabinie m . - Hamilton i ja rozmówimy si z tob , Fairbridge.

Wzi li mi dzy siebie Kresyd i wrócili z ni do sali balowej. Daremnie szukała wzrokiem Jacka w tłumie go ci odzianych w jedwabie i najdro sze sukno. Zauwa yła go, kiedy był przy drzwiach. Pewny krok i harda postawa wiadczyły, e nie zamierza wróci .

- Ty musisz zosta - usłyszała głos Rutherforda.

Zrobiło jej si słabo. Jak to? Przez cały wieczór wszyscy b d si na ni gapi . To nie do zniesienia! Popatrzyła na Marca, zdecydowana sprzeciwi mu si , cho brakło jej sił. Nie odwrócił wzroku.

- Jedno melodramatyczne wyj cie to dosy na dzisiaj- tłumaczył łagodnie. - Je li ty równie demonstracyjnie opu cisz sal , ludzie b d odt d codziennie domaga si takich atrakcji. Wyprostuj si i podnie głow . U miech, prosz . Zastanów si , co zrobisz Jackowi, kiedy go dostaniesz w swoje łapki.

Na sam my l o tym Kresyda wypr yła si jak drapie nik czyhaj cy na ofiar i odparła machinalnie.

- Ale on jest za wysoki!

Marc zachichotał.

- W takim razie, moja droga, radz ci stan na krze le.

- Radz waln go krzesłem. To definitywnie zako czy wasze porachunki - podsun łą stoj ca po drugiej stronie Meg.

Kiedy Meg weszła do sypialni, Marc pytał co uniósł brwi.

- Jak si uporamy z dzisiejsz awantur ? – zagadn ł po chwili milczenia.

- Zamordujemy Jacka.

Zawzi to ony wprawiła go w zdumienie.

- Kochanie, nic na to nie poradzimy, e Fairbridge o wiadczył si Kresydzie, a ona go przyj łą - odparł, podchodz c bli ej i bior c j w

ramiona. - Wszyscy tego oczekiwali.

Gdy przytuliła się do niego, pocałował ją w czubek głowy.

- Wiem, ale to niespodziewane ogłoszenie zarzynać wydaje mi się podejrzane. Kresyda w pierwszej chwili osłupiała. Oczekiwałam, że wszystkiemu zaprzeczy, ale Jack odezwał się pierwszy i nagadał głupstw. Teraz zamknęła się w sobie i nie chce mi nic powiedzieć.

Marc czuł, że cała jest napięta, więc zaczął ją głaskać po plecach i ramionach.

- Głupek - wymamrotała.

- Kto? Ja?

Meg zachichotała.

- Nie tym razem. Mam na myśli Jacka. Wszyscy uważają Kresydę za jego podopieczną. Odtrącając ją dzisiaj, poważnie skomplikował biedaczkę sytuację. Jeśli teraz da kosza Fairbridge'owi, wyjdzie na kapryśną kokietkę.

- Owszem. - Marc nadal głaskał ją. - Nieścisza chyba, że to ją powstrzyma, prawda?

- Co go napadło? - zdenerwowała się Meg. - Czy nie widzi, że Kresyda jest nieszczerliwa? Na miłość boską, przecie ona go kocha! Jak może być wobec niej taki okrutny!

- Owiadczył się — przypomniał Marc, czując się w obowiązku broni przyjaciela.

Meg prychnęła z pogardą.

- Mówiła mi. Zrobił to z obowiązku.

- To dziwne, jakie głupstwa wygaduje mężczyzna, kiedy jest wytrącony z równowagi. Trzeba pamiętać, że miłość potrafi zabić człowieka z tropu - odparł.

- Chcesz powiedzieć, że Jack ci uwiadomił, że wreszcie, jak bardzo jest w niej zakochany?

Marc wybuchł śmiechem.

- Owszem. Dziś zrozumiał, co się z nim dzieje. A teraz zapomnijmy na jakiś czas o jego kłopotach. Teraz się z nimi nie uporamy, więc zamiast gadać próżności, chodźmy do łóżka. Jest po trzeciej. Rodek nocy.

Kresyda siedziała skulona na okiennym parapecie, słuchając deszczu dzwoniącego o szyby. Niewiedząc, czym wzrokiem wpatrywała się w ciemność. Potwierdziła sobie starą prawdę, że pieniądze szczęścia nie dają. Sporo już w życiu przeszła, ale gdyby nie ten przeklęty spadek, miałyby teraz wglądny spokój. Z krzącających w towarzystwie plotek

wywnioskowała, że Andrew ponownie zwrócił na nią uwagę tylko dlatego, że miała dziesięć tysięcy funtów, a on potrzebował pieniędzy. Z niesmakiem myślała o tym, że spadek otrzymany przez ojca może zostać roztrwoniony przez utytułowanego nikczemnika. A gdyby rzuciła się tych pieniędzy? Jakie obwarowania zostały przewidziane w testamencie? Chadwick i Simms z kancelarii adwokackiej tłumaczyli jej prawnicze zawilości związane z cesją należącej do niej, lecz niewiele z tego zapamiętała. Trzeba się z nimi naradzić. To wietni prawnicy; na pewno podsuną jej korzystne rozwiązanie.

Następnego ranka wysłała do nich list przez posłańca, który wkrótce przyniósł odpowiedź. Po południu odwiedziła kancelarię.

Przyjrzęła się panu Simms, któremu szczerze i otwarcie wyznała, co jej leży na sercu. Prawnicy wyjaśnią pokrótce, jakie warunki powinna spełnić, aby dysponować majątkiem.

- Czy wszystko jasne, panno Bramley?

Kiwnęła głową i popatrzyła na adwokata, który był mizernej postury.

- Powtórz najważniejsze informacje, aby się upewnić, czy wszystko rozumiem. Ani ja, ani mój ewentualny mąż nie możemy swobodnie dysponować kapitałem. Wypłacane są tylko procenty. Gdybym miała dzieci, cała suma zostanie im przekazana po mojej śmierci. – Kresyda zmarszczyła brwi. – A jeżeli nie wyjdę za mąż lub jako matka nie będę miała własnego potomstwa? Co wtedy? Czy mój majątek zostanie dziedziczony po mnie?

Pan Simms uśmiechnął się pobłażliwie.

- Nie ma obawy. Z pewnością znajdzie pani męża. Ale gdyby zmarła pani bezpotomnie, mąż nie otrzyma kapitału, ponieważ zgodnie z warunkami umowy pieniądze zostaną oddane panu Hamiltonowi albo jego spadkobiercom.

Jak to? Kresyda zupełnie się w tym wszystkim pogubiła.

- Nie rozumiem. Dlaczego?

Teraz dla odmiany pan Simms nie krył zdziwienia.

- Takie rozwiązanie wydawało mi się najrozsądniejsze, gdy na prośbę pana Hamiltona przygotowywałem akt darowizny. Pani przyszły mąż nie miałby żadnych praw do tej sumy. Panu Hamiltonowi bardzo zależało na tym, aby nie stała się pani łakomym kąskiem dla łowców posagu.

Kresyda zadrżała. Mimo tych rodków ostro no ci stało się najgorsze. Ale dlaczego Jack zastrzegł sobie, aby «ostatecznie ci to jemu przekazano należącej do ciebie spadku? Jakich użył kruczków prawnych, aby postawił na swoim? Aż szanuj się panie prawniku!

powinien... Gdyby umarła bezpotomnie, pieniądze powinny wrócić do 3jea. Niech sam nimi dysponuje i wskaże nowego spadkobiercę. Mógłby przekazać pieniądze kolegom lub macierzystej uczelni. A może Jacka uczynił swoim dziedzicem? To by wiele tłumaczyło. Nadal pozostały jednak liczne niejasności.

Zmarszczyła brwi, analizując usłyszane przed chwilą wiadomości. Przypomniała sobie wzmiankę prawnika o akcie darowizny sporządzonym na życzenie pana Hamiltona i nagle zrozumiała, w czym rzecz. Skuliła się, jak-by ktoś jej zadał mocny cios. Wszystko jasne, ale trzeba się upewnić.

-Panie mecenasie, kto kazał mi przekazać tę sumę, mój ojciec czy pan Hamilton?

Pan Simms już wcześniej wydawał się mocno skonsternowany, ale teraz niemal osłupiał.

-Pan Hamilton! To przecież oczywiste. Sam dysponuje swoimi pieniędzmi.

Kresyda nie pamiętała, co było dalej i jak opuściła kancelarię. Faktem jest, że bez przeszkód dotarła do powozu, gdzie czekała towarzysząca jej pokojówka. W drodze powrotnej przez cały czas zastanawiała się nad konsekwencjami swego odkrycia. Wsłuchana w uliczny zgiełk i stukot kołskich kopyt, uderzających o bruk, rozważała usłyszane niedawno słowa prawnika.

Jack ofiarował jej pieniądze. Z własnych środków ufundował posag. Łza powoli spłynęła jej po policzku. Dlaczego ją upokorzył? Była tak wzburzona, że nie potrafiła logicznie rozumieć. Ilekroć zaczynała analizować fakty, zaraz Jack stawał jej przed oczyma. Wspominała kłótnie i pocałunki.

Niemal czuła jego usta na swoich wargach i obejmujące ją ramiona. To wystarczyło, żeby znów cała płonęła. Nie potrafiła doszukać się w jego postępowaniu logiki. Po dał jej, to pewnie. Ona również gotowa była przyznać, że go pragnie. Czy żywił do niej głębsze uczucie? Mało prawdopodobne, żeby mężczyzna ofiarował dziesięć tysięcy funtów dziewczynie, której nie lubi, i za którą nie czuje się odpowiedzialny. W tym wypadku rodzina winna za mało. Trzeba poszukać wyjaśnienia.

O wiadczył mi się, pomyślała Kresyda. Owszem, ale tak mu nakazywał honor. Sam powiedział, że nie było innych przyczyn.

Była w nim zakochana, ale nie zdradzała się z tym. Trudno zakładać, że i on ukrywa się ze swoją miłością. Właściwie dlaczego

miałby j pokocha ? W przeciwie stwie do niego nie posiadała zalet, które rzucają na kolana. Jack jest przystojny, szarmancki, rycerski, trochę szalony. I taki kochany.

Z ponur min postanowiła, że nigdy nie wyjdzie za m . Wykluczone. Fairbridge dostanie kosza. Choćby jej groził doniesieniem na ojca, nie pozwoli, żeby ten szubrawiec dostał choćby pensja z darowizny Jacka.

Powóz stanął. Kresyda siedziała nieruchomo, zastanawiając się, jak broni ojca przed zakusami Fairbridge'a, który na pewno będzie się mścił, jeżeli nie zdoła zaciągnąć jej przed ołtarz. Dobry procent od dziesięciu tysięcy funtów to niezły zastrzyk gotówki, a tamten dla pieniędzy gotów był na wszystko. Gdyby tylko mogła zwrócić darowiznę, natychmiast by się od niej odczepił. Niestety, w dokumentach nie było odpowiedniej klauzuli. Zapytała o to pana Simmsa, który natychmiast wykluczył tak ewentualność. Nie miała prawa swobodnie dysponować otrzymanym kapitałem.

- Panienko? Co ja nie panience dolega? Zatraskany głos wyrwał ją z zadumy. Ujrzała stangreta

Rutherfordów, który stał w otwartych drzwiach powozu, żeby pomóc jej wsiąść. Po jego minie poznała, że czeka od dłuższego czasu.

Zmieszana zeszła po schodkach i przeprosiła za kłopot. Po namyśle uznała, że najważniejsze jest bezpieczeństwo papy. Widziała tylko jeden sposób, żeby mu je zapewnić. W tym celu musiała posłać po Jacka.

Przyjechał następnego ranka w porze niadania. Dela-field zaanonsował go tonem zdradzającym dezaprobatę.

- Pan Hamilton chce się widzieć z panienką. Czy mam go wprowadzić ?

Kiedy zamykał drzwi jadalni za porannym natrętem, omal nimi nie trzasnęła. Jego zdaniem wizyta o tej porze była ogromnym nietaktem.

Kresyda siedziała przy stole i piła kawę. Natychmiast odstawiła filiżankę i popatrzyła na gościa. Posłała po niego, ale sędziła, że przyjedzie dopiero po południu. Wśród młodych dam wstawała załóżka około dwunastej. Po balu należało się wyspać i nabrać sił przed następnym. Jak mógł nadość tak wcześnie? Bywalczy salonów uważali dziewczęta rano za rodek nocy. Dziś niewyspana ze zgrzyoty Kresyda gotowa była przyznać im rację, ale wewnętrzny zegar nie dał się przestawić, więc mimo wszystko obudziła się przedwcześnie.

- Chciała mnie pani widzieć, panno Bramley - powiedział lodowatym tonem, przy którym chłód wiecznych niegów można było

uzna za tropikalny ar.

- Tak, Tak, istotnie - wykrztusiła. Skąd u niej to koszmarnie jkanie? Jak on miał by taki przystojny mimo ponurej miny i gniewnie zaciśniętych ust? Gdyby próbował się uśmiechnąć, chyba zwichnęłby sobie szczękę. Wielka szkoda, że nie istnieje prawo zakazujące młodym czyżnikom o długich zgrabnych nogach noszenia obcisłych spodni do konnej jazdy w obecności panien, które niedawno wstały z łóżka. Od takiego widoku wszystko się w człowieku przewraca, a to fatalnie wpływa na trawienie. Kresyda chętnie wprowadziłaby również ustawę, według której barczystych dżentelmenów obowiązywałby zakaz obnoszenia się ze swojej posturą. Niechby trochę skapcianieli, zamiast uprawiać innych w zakłopotanie.

Jack podszedł do krzesła stojącego po drugiej stronie stołu i pytał co uniósł brwi. Kresyda spłonęła rumieńcem.

- Proszę. Zechce pan usiąść, panie Hamilton. Czy mogłabym zaproponować filiżankę kawy?

Wydawało jej się, że jeszcze bardziej spochmurniał. Zjawił się w stroju do konnej jazdy, więc pewnie chciał jak najszybciej wyjść i doświadczyć wierzchowca.

Jednak usadowił się wygodnie i wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Chętnie wypiłbym filiżankę. Proszę czarną.

Nie musiał jej tego mówić. Doskonale znała wszystkie jego przyzwyczajenia. Kawa tylko czarna. Herbata z kroplą mleka. Nienawidził cukru i słodczy. Rzecz jasna z wyjątkiem pierników prababci. Sięgnęła po dzbanek, wyrzucając sobie, że marnie przygotowała się do tej rozmowy. Powinna spisać najważniejsze kwestie. Nie zastanowiła się nawet, czy najpierw zapyta go o rzekomy spadek, czy od razu się przyzna, że wie o darowiznie. Trzeba było tak i zastanowić się nad tym, jak mu powie, że chciałaby ją zwrócić. Pod żadnym pozorem nie wolno zdradzić, że Fairbridge jej szantażuje.

- Nie spotkałem pani na wczorajszym balu - rzekł obojętnie.

- Bo mnie tam nie było. - W skupieniu łąła kawę do filiżanki. Skoro uznał za stosowne skomentować rzecz oczywistą, również dobrze mogła pójść w jego lady, by zyskać na czasie. Nie musiał wiedzieć, że wieczorem została w domu, ponieważ cierpiała na silne migreny. Nic dziwnego, skoro przez całe popołudnie wyplakiwała oczy.

- Nie mogłem przy tych pieniądzy - oznajmiła prosto z mostu.

Wydawało się, że ust przypominających cienki kresk nie może na bardziej zacisnąć, ale jej się to udało.

- Prosz ? - spytał, wyprostowany, jakby kij połkn 1. Bo e drogi, je li teraz zaczn si j ka , uzna mnie za głupi g , pomy lała.

- Chodzi o rzekomy spadek - odparła dobitnie. - To mydlenie oczu. Nie ma adnych pieni dzy.

- Ale s ! - burkn 1 opryskliwie. - O co chodzi...

- Nie było zapisu - przerwała, staraj c si nie rozplaka : Łzy piekły j pod powiekami. - Pieni dze s , ale nie ma spadku. Wszystko wymy life , prawda? A potem namówiła pap , eby scedował na mnie rzekomy zapis. Te wszystkie machinacje dotyczyły twoich pieni dzy. Wiedziały , e nie przyj 1abym od ciebie posagu, wi c u yłe podst pu.

Pierwszy 1yk kawy poparzył mu usta, a od jej słów zrobiło mu si gor co. Jak si dowiedziała? To pytanie niemal rozsadzało mózg. Zacisn 1 powieki, jakby poczuł ból. Posagowe pieni dze spełniły swoje zadanie. Pojawił si kandydat na m a. Zło ogarn 1a Jacka, gdy pomy lał, e ludzk szumowin skusiło te dziesi tysi cy.

- Kresy do, sk d o tym wiesz? - zapytał, sil c si na spokojny ton.

Znu onym głosem opowiedziała o wizycie u prawników i na koniec dodała:

- Gdy poj 1am, e pieni dze s od ciebie, uznałam, e nie mog go po lubi . Mniejsza o konsekwencje. Chc ci zwróci te pieni dze.

Jack za ni nie nad 1ał. O co chodzi?

- Kresydo, ta suma nale y do ciebie. S na to dokumenty. Mo esz ni dysponowa w ograniczonym zakresie, ale dopiero po lubie. Nie darz sympati m czyzny którego wybrała , ale nie mam wpływu na twoje decyzje. Nie jest w mojej mocy odebra ci posag albo zniech ci do lubu.

Kresyda pokr ciła głow .

- Nie, Jack. Moja sytuacja jest bardzo skomplikowana, ale ju postanowiłam, e nie wyjd za Andrew. Nie mog pozwoli , eby rozporz dzał twoimi pieni dzmi. Tak na pewno nie post pi ! Nie chc wychodzi za m . Z pewno ci nie po lubi tego szubrawca po tym, jak groził...

Jack miał wra enie, e umilkła w pół zdania, jakby z obawy, e powie za du o. Czuł, e go zbywa, ale nie miał poj cia, o co jej chodzi. Wszystkie przesłanki wiadczyły dobitnie, e mał e stwo z Fairbridge'em jest dla niej wstr tne, ale na razie nie miał w to uwierzy . A je li dał si omami ? Tam na tarasie powinna jasno powiedzie . Ale czy mogła?

- Kresydo, je li chcesz go po lubi ...

- Ale skąd!

Popatrzył na nią, całkiem zbity z tropu.

- Naprawdę? W takim razie dlaczego nie odmówiła mu tamtego wieczoru? - achnął się gniewnie. - Odwiedził mnie wczoraj. Usiłował wymóc moją zgodę na ogłoszenie waszych zarzyczeń w gazetach!

- Przecież dałam mu kosza - odparła z cichym rozpaczą w głosie. Porażony Jack zamilkł natychmiast.

- Odmówiła? Czemu zatem.

Dygnęła całym ciałem, przesunęła dłoń po ramionach, zacisnęła je wokół talii i skuliła się, jakby chciała się ogrzać albo zasłonić przed ciosem. Przeze mnie tak cierpi, kajał się w duchu Jack.

- Andrew nie uznaje odmowy - tłumaczyła zduszonym głosem. - Gdy powiedziałam „nie”, rzucił się na mnie. Potem wszedł na taras, a za tobą inni go cie. Skorzystał ze sposobności i ogłosił zarzyczenia. Resztę znasz.

- Dlaczego nic nie powiedziała?

- Nie zdarzyło ci się nigdy, że ze zdumienia nie potrafiłaś wykrztusić słowa? - spytała gniewnie. - Nawet gdybym była w stanie mówić, nie dopuściłbyś mnie do głosu. - Nie potrafiła dłużej nad sobą panować. - Odmówiłam! Krótko i jednoznacznie! Do głowy mi nie przyszło, że Andrew ogłosił zarzyczenia. - Drżącymi dłońmi otarła łzy. - A ty mu gratulowałaś. Kolejne zaskoczenie. Co miałam powiedzieć? Było mi słabo. Tego mi tylko brakowało, abym dostała torsji albo zemsta,

Wzburzony Jack z trudem panował nad uczuciami, gdy uwiadomił siebie, że uniesiony gniewem pomógł Fairbridge'owi, a potem odszedł, bo jeszcze chwila, a udusiłby nikczemnika, na oczach wszystkich przerzucił pannę przez barge i niczym jaskiniowiec zaniósł do swej groty.

Wiedział od Marca i Parbury'ego, że po jego wyjściu przez resztę wieczoru Kresyda chodziła z podniesionymi głowami i uśmiechała się promiennie, choć zapewne marzyła, aby zaszyła się w kącie i płakała do woli.

Ledwie oparł się teraz pokusie, aby ją objąć, mocno przytulił i pocieszył. Nie wolno mu. Nie miał. Natychmiast doszła do głosu przemożna chęć, aby wziął ją jak swoją, ponad wszelką wstydliwość dać jej do zrozumienia, że należy wyjechać do niego. Odmówiła Fairbridge'owi swojej ręki. Chciała to ogłosić wszem i wobec, jeszcze

nim si dowiedziała, kto dał jej posag. To wcale nie znaczy, e miał u niej szanse. A mo e jednak?

- Strac twarz, je li za niego nie wyjd ?

Pytanie Kresydy sprawiło, e wrócił do rzeczywisto ci.

- Sk d e - odparł zduszonym głosem. Nast pna w tpliwo wstrz sn ła nim do gł bi.

- A je li... B dzie w ciekły. Czy mo e zrobi krzywd papie? Je eli doniesie...

- Ty i twój ojciec jeste cie najzupełniej bezpieczni. - Rozgniewany Jack zmru ył oczy, ale starał si panowa nad zło ci . - Fairbridge dostanie za swoje. Cholerny b kart! Popami ta go, je li spróbuje zło y doniesienie przeciwko wielebnemu Bramleyowi.

- Jack, błagam, tylko nie wyzywaj go na pojedynek!

Zerwała si na równe nogi i patrzyła na niego oczyma szeroko otwartymi z przera enia. Zaciśn ła usta, słysz c zmieniony głos. Uparta, szlachetna wariatka! Broniła nawet swoich nieprzyjaciół. Tyle wycierpiała przez tego brutala, a jednak nadal si o niego martwiła.

- Jack!

Serce mu si ciska ło, gdy podeszła bli ej, spowita mu linem lekkim jak obłok mgły. Chwy ciła go za r k .

- Musisz mi przyrzec, e tego nie zrobisz! Gdyby został ranny albo zgin ł, chyba bym oszalała. Błagam. Nie wolno ci si pojedynkowa !

Martwi si o niego? Powoli wstał, uniósł rami i wielk dłoni przykrył ma r czk . A wi c troch jej na nim zale ało? Czy z owej iskry współczucia i serdecznej troski

rozgorzeje płomie równie gwałtowny jak jego nami tno ? Podniósł jej r k do ust i zło ył na niej pocałunek. Zadr ała, gdy musn ł delikatn skór . O nieba! Trzeba ponowi o wiadczyny! Z pewno ci zdołaj przekona , eby je przyj ła. Ale czy warto? Pół Londynu bez wahania potrafiło odpowiedzie na to pytanie. Dlaczego osoba najbardziej zainteresowana nie mo e tego dostrzec?

Westchn ł gł boko, jakby zamierzał skoczy na gł bok wod .

- Kresy do, raz ju prosiłem, eby zechciała zosta moj on .

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Tak, doskonale pami tała tamt chwil . Serce jej si krajało, kiedy o tym my ła. Gardło miała ci ni te i nie mogła wykrztusi

słowa, wi e tylko kiwn ła głow .

- Czy zechciałaby raz jeszcze rozwa y t propozycj i mimo wszystko zosta moj on ?

Kresyda czuła si podłe. Jack starał sie chroni , zadbał nawet o posag. Najch tniej zwróciłaby mu cał sum , lecz zasady przyj te w akcie darowizny uniemo liwiły takie posuni cie. Nie było sposobu, eby j komukolwiek przekazała. Jedyna furtka to zam pój cie, którego wyrzekła si definitywnie. Chaotyczny tok my li natrafił na powa n przeszkod . Kresyda znalazła si w pułapce, któr zastawił na ni zło liwy los. Z gorycz podziwiała jego bezwzgl dn logik .

Nie nale y jednak pochopnie od egnywa si od mał e skich planów, skoro to jedyny sposób, eby spłaci dług nie wiadomie zaci gni ty u Jacka. Przy okazji zapewni ojcu wzgl dne bezpiecze stwo. O nie! Wykluczone! Nie powinna tego robi , skoro Jack jej nie kocha.

A wła ciwie co j powstrzymuje? Wi kszo m czynz z jego sfery brała lub dla osi gni cia rozmaitych korzy ci. Chodziło o pieni dze, wpływy, rodzinne koneksje, tak e o spłodzenie dziedzica. Przy odrobinie szcz cia ze wspólnego po ycia rodziło si serdeczne przywi zanie, Kresyda dot d ani my łała si tym zadowoli . Pragn ła miło ci. Chciała, eby Jack j pokochał. Gotowa była przyzna , e gdyby nie poznała ukochanego, wystarczyłoby jej mał e stwo z rozs dku oparte na zdrowej kalkulacji i wzajemnym przywi zaniu. Niestety, spotkali si zbyt pó no. Có mogła mu ofiarowa ? Fataln reputacj i... jego własne pieni dze. Na jej miło ci chyba mu nie zale ało. Jakie to ma znaczenie, e ona czuje inaczej? Nie kłamałaby, składaj c mał e sk przysi g . Chciała ukry t miło gł boko w sercu, ale parali ował j l k, e zdradziłaby si w noc po lubn .

- Có mog ci ofiarowa ? - spytała zbolłym głosem. - Nie mam maj tku ani wysoko postawionych krewnych. Wniosłabym ci w posagu jedynie fataln reputacj i moj ... - Zacisn ła palce, eby nie wyrwało jej si miłosne wyznanie.

- Masz posag, Kresydo - odparł z naciskiem. - Dla mnie to wła ciwie bez... - Umilkł, nie ko cz c zdania.

Kresyda westchn ła spazmatycznie.

- Owszem - przyznała z namysłem. - Twoje pieni dze. Skoro tak, nie mam wyboru. Musz przyj o wiadczyny. - Utkwiła wzrok w dywanie. Jeszcze chwila i z rozpaczy zacznie wylewa potoki łez.

Jack czuł si tak, jakby w sali wicze dostał pi ci w brzuch. Uknął mistern intryg , eby Kresyda była zabezpieczona na

przyszło , a tymczasem szlachetne zamiary obróciły si przeciwko niemu. Teraz miała wra enie, e jest w sytuacji bez wyj cia. Na jej twarzy malowało si przygn bienie.

- Kresydo, czy dla ciebie honorowy dług to jedyny powód, eby my si pobrali? - zapytał. Wydawało mu si , e wzdrygn ła si , słysz c jego głos.

- Potrafisz wymieni inne?—odparła, bardzo zasmucona.

Zauwa ył, e jeszcze bardziej spochmurniała. Nie dawało mu to spokoju, ale nast pne słowa były dla niego prawdziwym wstrz sem.

- Po dałe mnie. Nic wi cej. Sam mówił, e to nie jest dostateczny powód, eby wzi lub. Zaproponował nawet, ebym została twój kochank , wi c...

- Tylko dlatego, e podejrzewałem ci o kokieteri . S dziłem, e umy lnie próbujesz mnie owin wokół palca, i dlatego chciałem ci da do zrozumienia, jak niebezpieczny mo e by zwykły flirt. To miała by dla ciebie nauczka - wyjąwił szczerze.

- Potem wyst pił z o wiadczynami, bo uznał, e tak trzeba.

- O wiadczyłem si , bo chciałem ci chroni . Poza tym...

Nie pozwoliła mu doko czy zdania.

- Wiem, e czujesz si odpowiedzialny za...

- Do diabła z odpowiedzialno ci ! - krzykn ł, wyci gaj c do niej ramiona. - Pragn łem ci ...

- Nie! - krzykn ła przera ona i cofn ła si odruchowo. Gdyby jej dotkn ł, zdradziłaby si natychmiast. Serce wyrwało si do niego, t sknota przyprawiała j o fizyczny ból. Je li Jack zbli y si do niej, p kn wszelkie bariery. Oddychała gł boko, próbuj c nad sob zapanowa . -Andrew te mnie pragn ł. To nie wystarczy ani mnie, ani tobie. Teraz zwabiły go pieni dze. Dla ciebie wa ny jest honor, dla mnie równie . Nie mam wyboru.

Jack znieruchomiał. Popatrzyła na niego przez łzy. Nadal wyci gał do niej r k .

- Mylisz si , moja droga. Zale y mi na tobie, i to bardzo. Kresy do, ja ci kocham. - Spokojny, nieco zduszony głos sprawił, e odniosła wra enie, i zmusił si do wypowiedzenia tych słów. Zapewne sił woli nakazał sobie równie , eby wyci gn do niej ramiona. Niech je wreszcie opu ci! Bała si , e zapominaj c o skrupułach, ulegnie pokusie i rzuci si w nie, aby pozosta w jego u cisku na cał wieczno .

- Powiedziałe wcze niej, e chcesz mnie po lubi , bo tak ci nakazuje honor - przypomniała. - Nie przychodzi mi do głowy aden

powód, dla którego mógłby mnie pokochać. Wcze niej ani razu nie dała mi do zrozumienia, a tyś dla mnie to uczucie, więc nie mam podstaw, by ci wierzy. Jednak moje poczucie godno ci wymaga, abym przyjechała o wiadczyny. To jedyny sposób, aby odzyskał swoje pieniądze.

Serce omal nie pękło jej z bólu, gdy zacisnęła usta i opuściła ramiona, choć powinna się cieszyć, że odeszła mu ochota, aby ją objąć. Oczywiście miała pełne łez. Cofnęła się znowu i powiedziała:

- Wybacz, Jack, ale musisz ci teraz pojechać. Najwysza pora napisać do lorda Fairbridge'a.

- Dała mu kosza, prawda? - zapytał tak opryskliwie, że ona się skuliła.

- Tak.

- W takim razie nie ma potrzeby, aby my po raz drugi dawali mu do zrozumienia, że nic nie wskórał. Ogłoszenie naszych zarządzeń będzie najlepszą odpowiedzią.

Kiwnęła głową. Nie potrafiła zdobyć się na nic więcej. Była tylko się nie rozpląkała, nim dojdzie do drzwi. W swoim pokoju może iśka do woli. Najpierw musi jednak minąć Jacka, który zagradza jej drogę. Stoi nieruchomo niczym kamienny posąg.

Zrobiła krok. Potem drugi. Znakomicie. Wolno ruszyła do wyjścia. Myślała jedynie o poruszających się stopach. Z ociąganiem minęła Jacka. Pochyliła głowę. Barwny wzór na perskim dywanie zmienił się w bezładną plamę czerwonych i niebieskich plam. Może Jack wycignie rękę i zatrzyma ją, zamknie w mocnym uścisku, nazwie uroczym głuptasem, zapewni o swojej miłości, która będzie trwałym fundamentem ich małżeństwa? Gdyby tylko zechciał ją pocałować i raz jeszcze powiedzieć, że kocha...

Krok po kroku doszła do drzwi. Wyprzedził ją w tej chwili. Serce w niej zamarło, w tła nadzieja zgasła.

Otworzył szeroko drzwi.

Jeszcze jeden krok i wyszła do holu, który w porównaniu z jadalnią wydał jej się zimny. Przygnębiona i zboleła szczykała z bami, tłumiąc łkanie. Potwierdziły się najgorsze obawy. Jack pozwolił jej odejść.

- Dopilnuj, aby po balu wydawanym przez Meg w gazetach ukazała się notatka o naszych zarządzeniach. Ogłoś je podczas kolacji.

Był tak wzburzony, że nie zdołał powiedzieć nic więcej. Z całego serca pragnął chwycić ją w ramiona i pocałować, a potem wciągnąć do

jadalni, zamknął drzwi na klucz i udowodnił, że za nią szaleje i kocha nad życie. Ale to daremne. Uznałaby pewnie, że kieruje nim żądza. Nie mógł upaść tak nisko jak Fairbridge, który próbował ją zniewolić.

Najwyśmiałym wysiłkiem zmusił się do tego, aby zamknąć drzwi i słuchać z dala. Nie widział, kim wzrokiem był dziurzył po białej powierzchni i zastanawiał się, gdzie popełnił błąd. Rzecz jasna, na początku znajomo ci mylnie ocenił Kresyd i długo nie chciał się do tego przyznać, jakby uparł się, aby przypisać jej wszystko, co najgorsze. Dlaczego? Przecież nie jest głupcem, prawda? Trudna do opanowania żądza dodatkowo pogarszała sprawę. Teraz gotów był to przyznać. Odkąd poznał Kresyda, stracił apetyt i miał zmienne nastroje. Dlaczego wczoraj nie powiedział, że ją kocha?

Z łatwością odpowiedział sobie na to pytanie. Miłość go zaskoczyła. Inaczej wyobraził sobie dziewczynę, którą obdarzy uczuciem. Idealna narzeczona miała być cicha, spokojna, ustąpiła. W każdym wypadku nie wyrzuciłaby mu życia do góry nogami. Ale przecież z takim on zanudziłby się na śmierć.

Kresyda nieustannie go zaskakiwała. Dziś, na przykład, zdecydowała się go połączyć, aby odzyskać marne dziesięć tysięcy funtów, których braku nawet by nie zauważył. Cóż za ironia losu: połączyła ich pieniądze.

Zdegustowany podszedł do stołu, usiadł i dopił letnią kawę. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przynajmniej się już zarządzi. Skoro przyjął ją, ponieważ tak nakazuje poczucie godności, jako kobieta z zasadami na pewno nie zmieni zdania. Z tej pewno ci czerpał ponurą satysfakcję.

Odwrócił głowę, słysząc, że drzwi się otwierają. Napotkał spojrzenie Meg, która rzuciła zdawkowo.

- Gratuluj.

- Nie kpij ze mnie. Co ja mam teraz zrobić? Powiedziała ci, dlaczego przyjął moje oświadczenie?

Meg kiwnęła głową i usiadła na krześle.

- Nie było moją intencją zastawiać na niego pułapki. - Na samą myśl o tym zrobiło mu się słabo. - Nie kocha mnie. - Automatycznie sięgnął po dzbanek i napełnił kawę filiżankę Meg.

- Tak ci powiedziała? Że nic do ciebie nie czuje? - Meg upiła łyk kawy.

Zdesperowany przegarnął palcami ciemne włosy.

- Nie musiała nic mówić! Co mam myśleć, jeśli dziewczyna nie ukrywa, a wychodzi za mnie, bo chce zwrócić posagowe dziesięć tysięcy funtów?

Z irytacją popatrzył na Meg, która tak się trzęsła od tłumionego miechu, a ledwie mogła utrzymać filiżankę i spodek. Jack a poczerwieniał ze złości, więc opamiatała się natychmiast.

- Niewiele dowiedziałam się od Kresydy. Oznajmiła, a o wiadomościach powtórnie, a ona ci przyjechała, bo musi zwrócić posag. I to był koniec rozmowy, bo wybuchnęła płaczem. Wyznała jej miłość, prawda? Jeśli tak, obawiam się, że ci nie uwierzyła. Ton powzięcia w głosie Meg dotknął go do żywego.

- Jak możesz! Oczywiście ci powiedziałem, że ją kocham! Problem w tym, że ona nic do mnie...

- Bzdura! - oburzyła się Meg. - Jest taka przygnębiona, bo szaleje za tobą, jej zdaniem bez wzajemności. W przeciwnym razie dlaczego tak by rozpacziała?

Bal w Rutherford Hall dopiero się zaczynał. Po pierwszym walcu Kresyda zeszła z parkietu, wsparta na ramieniu Jacka. Łudziła się, że jeśli przez chwilę postoi bez ruchu, głupie serce przestanie kołatać, nie robiła sobie jednak wielkich nadziei.

- Jutrzejsze gazety opublikują wiadomości o naszych zaręczynach.

Kresyda zdała sobie sprawę, że głos Jacka brzmi osobliwie, niemal ponuro.

- Jack. - Spojrzała mu w oczy. Nie była w stanie wykrztusić nic więcej. Czemu wydaje się taki zatroskany? Co go trapi? Kiedy zaczynał się taniec, nic mu nie brakowało do szczęścia, ale pod koniec był sztywny i naburmuszony. Patrzył na nią bez uśmiechu. Co znowu przeszkadzało? A może Jack miał już do tej gry pozorów?

Podszedł do nich lord Petersham, aby poprosić ją do następnego tańca, który zarezerwował wcześniej. Gdy Jack patrzył za odchodzącymi, ukradkiem odetchnął z ulgą. Kiedy nie patrzył na Kresydę albo nie czuł jej obecności, bez trudu panował nad własnymi potrzebami, aby wywabić ją z sali balowej i zaciągnąć do ustronnego saloniku, gdzie mógłby zaspokoić narastające potrzeby.

Ubiegły tydzień był dla niego torturą. Nieustannie ukrywał pragnienia, bał się wybuchu tłumionych uczuć.

Unikał bliskości. Pozwalał sobie dotknąć Kresydy jedynie wówczas, gdy wspierała się na jego ramieniu albo podczas tańca. Gdy wieczorami

wracali do domu powozem Rutherfordów, odczuwał przemożący pokusę, aby przytulił ją i całował do utraty tchu. Opierał się ze wszystkich sił, bo wiedział, do czego to doprowadzi. Nie mógł pozwolić, aby jej pierwsze miłosne zbliżenie nastąpiło w powozie. Zasługiwała na cudowną noc w małej sypialni. Wszystko inne było mizernym namiastkiem.

Westchnął szpatycznie. Delikatny, zwodniczy i uwodzicielski zapach róż przeniknął jego ubranie. Przed oczyma miał wzniesioną ku niemu, zatroskaną twarzyczkę Kresydy. Czuł, że coś jej leży na sercu. Chyba zdawała sobie sprawę, jak bardzo jej pragnie. Czy to ją przerażało? Nic dziwnego. Sam był mocno wystraszony siłą tego uczucia. Jedno nie ulegało wątpliwości: czas dzielący ich zarzączył i lub będzie z pewnością rekordowo krótki.

- Kochana panno Bramley, wyglądasz dziś pani zachwycaj co! Gdzie Andrew? Widziała go pani? Wszędzie pani szukała.

Kresyda znieruchomiała, gdy spowity obłok ulubionych pachnideł lady Fairbridge. Nabrała powietrza, chcąc odpowiedzieć, lecz zamiast tego kichnęła. Dostojna matrona nie zwróciła na to uwagi i paplała dalej.

- Witaj, Petersham. Zrób mi grzeczność i zostaw nas na chwilę same. Musz zamienić dwa słowa z panną Bramley.

Kresyda uśmiechnęła się promiennie do lorda Petershama, podała mu rękę i powiedziała:

- Dziękuję za cudowny taniec. Z niecierpliwością czekam na następną.

- Ja również, moja droga - zapewnił, z galanterią pochylał głowę nad jej dłoń. - Zawsze do usług, lady Fairbridge - dodał na odchodnym i ukłonił się zdawkowo.

Kresyda starała się trzymać na wodzy krewki temperament. Z wymuszonym uśmiechem zwróciła się ku rozmówczyni, która natychmiast przeszła do rzeczy. Już po pierwszej uwadze Kresyda miała kwadrans min.

- Obserwowałam cię, gdy ta czyła z panem Hamiltonem, moja droga. Petersham jest niegroźny, ale przed Jackiem radz mi się na baczność. Od tygodnia uważnie cię obserwuję i wiem, że Hamilton rezerwuje dla siebie wszystkie walce. Nie miej mi tego za złe, jeżeli powiem, że trochę mnie to dziwi. Oczywiście jest twoim kuzynem...

- Proszę wybaczyć, ale nie rycz sobie takich uwag - przerwała Kresyda, siląc się na spokój, chociaż wszystko się w niej gotowało.

Urodziwa twarz zmieniła si ę w nieszczerze uśmiechniętą maskę .

Lady Fairbridge jeszcze bardziej się rozpromieniła.

- Ju dż dobrze, dobrze! Domylam się , e ty i Andrew porównali cię si ę jakiegoś czasu temu, ale nie ma potrzeby, eby droczyła się z nim, kokietując innych panów, bo sprawiasz mu wielką przykrość . - Zniżyła głos do szeptu. -Wspomniał , e znowu ci się oświadczył. Chcę tylko powiedzieć , e daj wam swoje błogosławieństwo, więc możecie bez obaw...

- Odmówi mi swojej ręki - wpadła jej w słowo Kresyda.

Lady Fairbridge zrobiła wielkie oczy.

-Nie mówisz serio, prawda? Jak możecie na odtrącić Fairbridge^ - powiedziała piskliwym głosem.

Kresyda poczuła się zakłopotana, gdy kilka osób z zaciekawieniem odwróciło głowy; Miała doświadczenie skandalu. Lady Fairbridge najwyraźniej podzielała jej odczucia, bo dodała ciszej:

-Droga panno Bramley, poszukajmy spokojniejszego miejsca, gdzie możecie na by porozmawiać na osobno. Tam wszystko sobie wyjdzie nym.

Kresyda uznała , e to dobry pomysł. Niech matka uświadomi temu natychmiastowi , e dostał kosza.

- Bardzo chętnie, milady. Zaraz dowiem się pani, co postanowiłam.

- Znakomicie, moja droga - wzdychając czytała si ę lady Fairbridge. - Jestem pewna , e we dwie znajdziemy rozsądne wyjście z trudnej sytuacji. Możemy e pójdziemy do biblioteki?

- Doskonale - zgodziła się Kresyda.

Jack, który z daleka czuwał nad ukochaną , odetchnął z ulgą . Dobrze si ę stało , e to lady Fairbridge przypadkiem niezbyt miły obywatel zek poinformował syna, jak si ę sprawy mają . Nie życzył sobie , eby Kresyda sama rozmawiała z tym nikczemnikiem. Chętnie obdarłby go ze skóry, ale musiał przyznać , e dobre obyczaje nakazują rozstrzygać takie spory w cywilizowany sposób. Z ponurą miną wziął kieliszek szampana od przechodzącego obok lokaja. Trudno, musi się podporządkować wymogom głodu i zimowej mroźności, chociaż metody stosowane przez zapalczywych dzikusów wydawały mu się o wiele zabawniejsze.

W bibliotece nie było nikogo. Oświetlała ją jedna mała lampa. Na narym stoliku koło drzwi leżała zapomniana w pośpiechu szpada Marca. Przed południem był z Jackiem w szkole fechtunku. Meg i Kresyda złożyły im niezapowiedzianą wizytę i z ciekawości obserwowały pokaz szermierki w wykonaniu mistrzów. Wszyscy razem wrócili do Rutherford

do pó no, a w ogólnym zamieszaniu przed balem Marc zapomniał odłożyć broń na miejsce.

Kresyda stanęła twarzą w twarz z lady Fairbridge i oznajmiła:

- Odrzuciłam o wiadczyzny pani syna. Po tym, co nas poróżniło, taki zwizek byłby nie do przyjęcia i dla mnie, i dla mojego ojca.

Dostojna matrona nadęła się jak ropucha.- Co ty gadasz, dziewczyno? Dałam swoje błogosławieństwo, a on mi mieliby? Mam rozumieć, że polujecie na lepszą partię? Uważaj, żebyś się nie przeliczyła. Mogłaby ci zniszczyć.

- Raz już pani próbowała, mam rację? - odcięła się Kresyda. - Te ohydne plotki! Pani je rozsiewała.

Lady Fairbridge prychnęła z jawnym pogardem.

- Co ty sobie wyobrazasz, głupia dziewczynko? Miałabym się tak poniżyć? Moja kuzynka, Kate Stanhope, wymyśliła ten cały intryg. Ta kretynka obawiała się, że Hamilton o wiadczy się tobie, a nie jej Alison. - Roze miała się drwić. - Te pomysły! Taki bogacz miałby zaproponować małżeństwo głupiej górcie z prowincji. Wykluczone! On nie musi eni się dla pieniędzy. Niestety, sędziacy, którym szczerze cię nie dopisało, więc nie mogą być równie wybredni. Po lubisz Andrew, dziewczyno, bojaś się tego mężczyzny. W przeciwnym razie zniszczysz go.

- Mówi nie ma! - wybuchnęła Kresyda. - A pani synalek niech idzie do diabła!

Usłyszała szmer otwieranych drzwi i odwróciła się natychmiast.

- Widzisz, mamo. A nie mówiłem, że jest krnąbrna? - Do biblioteki wszedł lord Fairbridge. - Sam się nie zajm. - Ukłonił się matce. - Dzięki, że ją tu zwabiła.

Lady Fairbridge podeszła do drzwi.

- Masz dziesięć minut - powiedziała na odchodnym i zamknęła je za sobą.

Dziesięć minut? Na miłość boską, co to ma znaczyć? Przeraona Kresyda zdała sobie sprawę, że znalazła się w pułapce. Wpatrywała się w Andrew, który szedł ku niej powoli, lecz nieustępliwie. Cofnęła się odruchowo i stanęła tak, żeby dzieliła ich sofa. Za plecami miała kominek. Obejrzała się, szukając pogrzebacza, ale go tam nie było. Odetchnęła głębiej. Trzeba natychmiast powiedzieć, że zarządziła się z Jackiem. Nie widziała innego sposobu, żeby go powstrzymać.

Lord Fairbridge roze miał si drwi co.

-Nie jestem głupi, moja droga. Usun łem zawczasu całe elastwo. Zaniechaj oporu. Wkrótce zostaniemy przyłapani na gor cym uczynku. Nie masz wyboru. Musisz przyj moje o wiadczyny.

Ogarni ta w ciekło ci nie była w stanie trze wo my le .

- Niedoczekanie twoje!- krzykn ła.-Jeste szalony! Jak s dzisz, co na to powie mój kuzyn?

- Nic mnie to nie obchodzi. - Wzruszył ramionami. -Wyzwie mnie na pojedynek, a ja go zastrzel . Poza tym dlaczego miałby si sprzeciwia ? Proponuj ci mał e stwo. Nie licz na lepsz parti , je li moja matka zacznie przeciwko tobie intrygowa . Teraz kr y po sali balowej i zastanawia si gło no, gdzie te tak nagle znikn łem. Za chwil moja kuzynka Alison Stanhope przypomni sobie, e widziała, jak szedłem do biblioteki, i z grup znajomych pójdzie mnie szuka . Je li to b dzie konieczne, zastan ci w moich obj ciach ze spódnic podkasan do pasa.

Andrew był wysoki i silny. Nieraz musiała si przed nim broni . Niespodziewanie przyczał si , jednym skokiem przesadził kanap i rzucił si na swoj ofiar . Niewiele my l c, kopn ła go w kolano.

- O Bo e! - j kn ł. - Zaraz ci dopadn , ty dzika kocico.

Nie rzucał słów na wiatr. Usłyszała trzask rozrywanej tkaniny. Andrew szarpał niecierpliwie karczek sukni. Z całej siły ugryzła go w r k . Gdy zakł ł i rozlu nił u cisk, Kresyda uderzyła go pi ci w nos, wyrwała si i odskoczyła, ale nie mogła wybiec z biblioteki, bo zagroził jej drog do drzwi. U miechn ł si drwi co i otarł zakrwawiony nos.

Kresyda dyszała ci ko, zbieraj c siły do walki. Nie mogła dopu , eby j skompromitował, bo wówczas straciłaby wszelkie szanse na upragniony lub z Jackiem. Za wszelk cen musi trzyma si z daleka od Fairbridge'a i dopa drzwi. Doskonale znała ten dom, wi c je li umknie z pułapki, b dzie uratowana.

Łatwo powiedzie ! Zanim naci nie klamk , b dzie miała na karku tego łotra. Nagle przypomniwała sobie o narym stoliku, ledwie widocznym w półmroku biblioteki, i le cej na nim szpadzie. Niedaleko stamt d do drzwi. Postanowiła zaryzykowa . Rzuciła si ku Andrew, odepchn ła go tak mocno, e upadł, i jednym skokiem dopadła broni. Gdy gramolił si z podłogi, kln c szpetnie, odwróciła si i uniosła srebrzyste ostrze.

Serce waliło jej jak młotem, ale rzuciła lodowatym tonem:

- Szach i mat, milordzie.

- Tak s dzisz, moja droga?

- Owszem. Teraz niełatwo b dzie przekona gapiów, e ochoczoz rzucałam si panu w ramiona. Nie wygl dam na szcz liw oblubienic .

Z korytarza dobiegło gło ne wołanie. Drzwi otworzyły si szeroko.

- O, biblioteka! Mo e tu si ukrył? - Młody Guilfoyle zajrzał do rodka. - Och, przepraszam, co tu si dzieje? Lady Fairbridge...

- Słyszałam. Zastąpiła w sam por i błagała, eby odnalazł pan jej syna - wtr ciła opryskliwie Kresyda.

- Tak. W rzeczy samej. Szczerze mówi c, raczej nie w por - mamrotał zakłopotany młodzieniec.

- Spiesz jej na pomoc - oznajmił gładko Fairbridge. - Moja narieczona b dzie musiała poczeka na kolejn lekcj szermierki.

Kresyda otworzyła usta, chc c zdemaskowa gagatka, ale nim zd yła si odezwa , usłyszała znajomy głos:

- Co ty pleciesz, Fairbridge?! - zawołał Jack, a szemrz cy gapie natychmiast przycichli i rozst pili si przed nim jakby z obawy, e ich staranuje. - Twoja narieczona?

Poszukał wzrokiem Kresydy i u miechn ł si szeroko, widz c j ze szpad w r ku. Kochana dziewczyna! Prawdziwa Amazonka! Odwa na i nieust pliwia jak mało kto.

- Prosz , prosz - rzekł Marc, który deptał mu po pi tach. - Twoja Kresyda to wojownicza istota. Chcesz si z ni o eni ? Na twoim miejscu miałbym si na baczno ci.. ycz szcz cia.

Jack nie zwracał uwagi na jego paplanin .

- S trzy powody, dla których nie masz prawa nazywa panny Bramley swoj narieczon - pouczał spokojnie Fairbridge'a.- Po pierwsze, uczyniła mi ten zaszczyt i przyj ła moje o wiadczyny. Po drugie, stosowna notatka uka e si w jutrzejszych gazetach. Za jej zgod .

Gapie zebrani w bibliotece szeptali mi dzy sob , pochylaj c głowy. Jack czekał cierpliwie, a si uspokoj .

- A trzeci powód? Wyjaw go nam, Jack - wtr cił lord Parbury, stanowczym gestem odsuwaj c młodego Guilfoyle'a i staj c obok przyjaciela.

- Chyba nie mam innego wyj cia - odparł Jack i dodał tubalnym głosem: - Oto mamy wszyscy widomy dowód, e taki parszywy kundel jak Fairbridge nie ma adnych szans u pi knych pa .

Na moment zapadła grobowa cisza, ale Jack nie musiał długo czeka

na łatwy do przewidzenia skutek wypowiedzianych przed chwilą słów.

- Jak miesz, zuchwały b karcie! dam satysfakcji. Natychmiast wska sekundantów - pieklił si Fairbridge. Jack obserwował go z wyrazem zło liwej satysfakcji.

- Wedle yczenia, milordzie - odparł natychmiast. -Rutherford i Toby Carlton ustal warunki w moim imieniu. Twoja kolej, Fairbridge. Załatwimy spraw od razu. Pospiesz si . Nie zamierzam spó ni si na kolacj .

- Co ty gadasz? Sekundanci jutro ustal warunki. Nie znasz kodeksu honorowego?

Jack u miechn ł si zło liwie.

- Wr cz przeciwnie. Mog go zacytowa z pami ci, ale tobie przyda si solidna powtórka. Wyzwałe mnie, wi c to ja wybieram czas, miejsce i oczywi cie bro . -Rozejrzał si po obszernej bibliotece. - Tu jest do miejsca. Do pierwszej krwi. Rutherford ch tnie po yczy nam szpady. Powtarzam raz jeszcze: wska sekundantów.

- Daj spokój, Hamilton! Robisz z igły widły. - Guilfoyle próbował załagodzi sytuacj .

- Tak pan s dzi? - odparł Jack protekcyjnym tonem. - Ten szubrawiec jaki czas temu przyrzekł, e po lubi pann z dobrego domu, lecz nie bez udziału swej matki, znanej intrygantki, wycofał si z obietnicy i chciał z panny zrobi swoj kochank . Gdy odmówiła, u ył siły, eby postawi na swoim. Bezpodstawnie szanta ował jej ojca, intrygował przeciwko niemu i zostawił go bez rodków do ycia. A dzi zamierzał pozbawi pann Bramley dobrego imienia i nastawał na jej cze . Jak pan nazwie takiego człowieka, Guilfoyle? Nadal uwa a pan, e to błahostki?

Młody m czyzna pobladł i milczał.

- Wyznacz sekundantów, łotrze! — zawołał Jack, podchodz c do Andrew.

- Panowie - zacz ł niepewnie Fairbridge. Nikt si nie zgłosił, wi c burkn ł: - Sam to załatwi . Chc obejrze bro .

- Ja b d działa w jego imieniu - wtr cił nagle Guilfoyle.

- Panno Bramley, prosz mi odda szpad . B dziemy jej potrzebowa - oznajmił Rutherford,

Zapadła cisza. Kresyda stała nieruchomo. Nagle zmru yła oczy.

- Dam j Jackowi - odparła i pewnym krokiem ruszyła ku narzeczonemu. Mijaj c Fairbridge'a, przystan ła i spojrzała na niego

z pogard .

- Plotkarze ci zniszcz - rzucił drwi co. - Na pewno zdajesz sobie z tego spraw .

Z jawnym politowaniem pokiwała głow .

- Owszem. Bywam naiwna, ale nie jestem idiotk . - U miechn ła si promiennie. - A skoro i tak b d plotkowa , dam im dodatkowy powód. Do pierwszej krwi, tak?

Płynnym ruchem uniosła szpad i z całej siły ci ła go w rami powy ej łokcia.

W bibliotece zapanował chaos. Fairbridge kwiczał z bólu, Jack podbiegł do Kresydy i odci gn ł j na bok, sekundanci rozpaczliwie wyliczali paragrafy kodeksu honorowego, szukaj c wyj cia z sytuacji, gapie rozmawiali z o ywieniem. Po chwili Rutherfordowi udało si przywróci spokój. Ustalono, e honorowa walka nie odb dzie si , bo ten, kto dał satysfakcji, nie mo e stan do pojedynku. Natychmiast wyprowadzono Fairbridge'a z biblioteki i wezwano medyka.

- To był doskonały pomysł, moja droga – szepn ł Marc, staj c za Kresyd . - Jack niew tpliwie posiekałby tego łotra na kawałki i musiałby uchodzi z kraju, a ty z nim, jak s dz . Lepiej wam si b dzie yło u niego w Leicestershire ni jako banitom skazanym na tułaczk po Europie.

O ywione dysputy prowadzone w niewielkich grupkach przez wiadków niedawnych wydarze ucichły, gdy odezwał si Jack:

- Bardzo prosz , wyjd cie st d wszyscy. Chc rozmówi si na osobno ci z moj narzeczon .

Wkrótce biblioteka opustoszała.

- Kresydo, co te ci strzeliło do głowy? - zacz ł karc cym głosem.

- Chciałam... A gdyby został ranny albo zgin ł? Ja bym tego nie prze yła! - oznajmiła płaczliwie. - Je li uwa asz, e jestem skompromitowana, zerwij zar czyny. Zwracam ci dane słowo.

Rozbrojony pocałował j czule i mocno przytulił.

- Musimy si pobra , i to szybko, mój skarbie. Kocham ci . Pocz tkowo nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale teraz wiem, e od kilku tygodni jestem w tobie zakochany.

- Z wzajemno ci .

- Jestem twój, Kresydo. A ty? Czy chcesz nale e do mnie?

- Tak. Na zawsze - zapewniła z gł bi serca.

Dziesi dni pó niej Kresyda i Jack stan li na lubnym kobiercu. Był pogodny ranek, a promienie sło ca wpadały do rodka przez okna starego ko ciółka w Ratby. Niewielkie, lecz starannie dobrane grono przyjaciół zjechało na lub ze stolicy. Kresyda nie yczyła sobie tłumy go ci. Cieszyła si , widz c tutaj wszystkich, którzy wiele dla niej znaczyli.

Pa stwo młodzi wzi li sobie do serca słowa mał e skiej przysi gi, które były dla nich najpi kniejszym błogosławie stwem. Nabo e stwo odprawił wielebny Bramley. Gdy uroczysto dobiegła ko ca, wzruszona Kresyda u miechn ła si do m a, a on spojrzał na ni rozkochanym wzrokiem. Wiedziała, o czym w tym momencie my li. Nareszcie moja. Na zawsze.